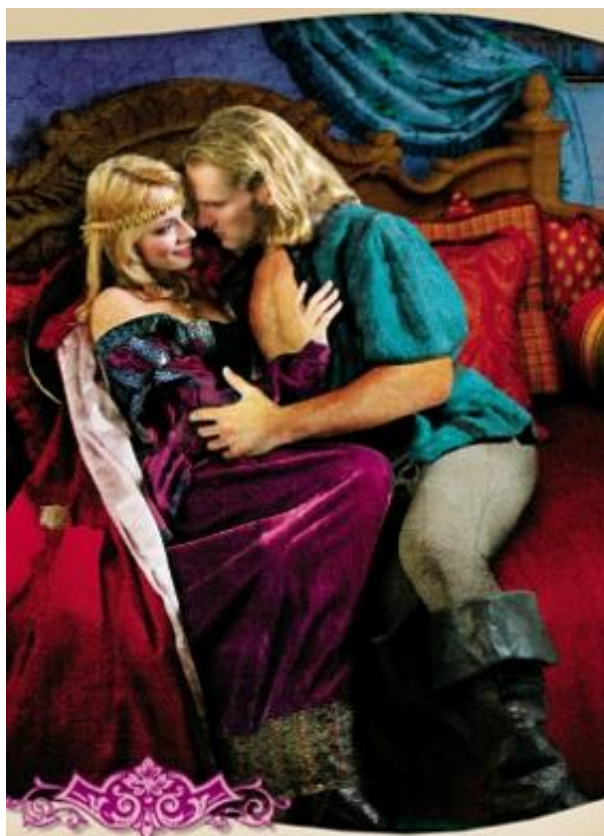




Amanda McCabe



Grzeszne przymierze

Prolog

Wenecja, 1525 r.

Widziała swoją ofiarę.

Z okiem przy dziurce w ścianie Marguerite oglądała sceny, które rozgrywały się w dole. Zamtuz nie należał do najelegantszych w tym mieście. Nie był to jeden z tych pałaców o aksamitnych łóżach, gdzie serwują najlepsze wina i słodczyce, a także najpiękniejsze kobiety, oczywiście za najwyższą cenę. Nie można jednak powiedzieć, aby była to brudna spelunka, w której mężczyzna powinien uważać na sakiewkę oraz swoje „klejnoty”, jeśli nie chce stracić jednego lub drugiego. Był to po prostu zwyczajny, barwny burdel, przesiąknięty zapachem kurzu, potu i wina, gdzie śmiechy i jęki rozkoszy, prawdziwe lub udawane, przeplatają się z sobą. Miejsce dla mężczyzn z artystycznych sfer czy wędrownych aktorów przybyłych na karnawał. Miejsce, którego właściciela odpowiednio zmotywowana kobieta może bez trudu przekupić.

Marguerite Dumas zdarzało się bywać w znacznie gorszych miejscach.

Wyteżyła wzrok, skupiając się na swojej ofierze. Tak, to musiał być on! Pasował do szczegółowego opisu i rysunku. To ten sam człowiek, którego widziała na placu Świętego Marka. Trzeba mu jednak przyznać, że zupełnie nie pasował do jej stereotypu nieokrzesanego Rosjanina. Czyż nie powinien być niedźwiedziej postury i równie kudłaty? Równie cuchnący? Gała Francja wie przecież, że Moskale to gbury mieszkający w kraju, gdzie panuje ciemnota, nosi się brody do kolan, rzuca resztki jedzenia na podłogę i wyciera nosy w obrus.

Skrzywiła się z obrzydzeniem. Czego jednak można się spodziewać po ludziach uwięzionych wśród lodów i śniegów? Pozbawionych francuskiej elegancji i kultury?

To właśnie Francja, czyli obowiązek wobec króla i ojczyzny, kazała jej przybyć tej nocy do weneckiego burdelu.

A jednak trochę szkoda, pomyślała, spoglądając na Rosjanina. Jest taki urodziwy!

Nie miał żadnej brody, wręcz przeciwnie, był starannie ogolony. Migoczące płomienie pochodni wydobywały z mroku twarz o wytwornych rysach, wystających kościach policzkowych i zmysłowych ustach. Włosy długie do pół pleców, w odcieniu starego złota, lśniące i jedwabiste, wręcz prosiły się o dotyk kobiecej ręki. Dwie dziwki, które siedziały mu na kolanach, były najwidoczniej tego samego zdania, bo przeczesywały palcami jasne pukle i z chichotem cmokały go to w ucho, to w szyję.

Pozostałe kobiety, zaniehbując swoich klientów, skupiły się wokół niego, aby choć przez chwilę pławić się w otaczającej go złocistej aurze, posłuchać dźwięcznego śmiechu oraz podziwiać nieskazitelną cerę i piękne oczy.

To jawne uwielbienie nie robiło jednak na nim żadnego wrażenia. Rozparty w fotelu jak wschodni pasza, z odrzuconą do tyłu głową, zdawał się przyjmować je jako coś oczywistego. Już wcześniej zrzucił kaftan, a rozchełstana biała koszula odsłaniała gładki, połyskujący od potu muskularny tors oraz jedno mocarne, szerokie ramię.

Nie był to więc żaden ospały rosyjski niedźwiedź, lecz przebiegły kocur, który nieodpartym wdziękiem maskuje groźną siłę.

Cóż, szkoda niszczyć takie piękno, niestety trzeba będzie to zrobić. On oraz jego moskiewscy przyjaciele, żeby nie wspomnieć o hiszpańskich i weneckich kupcach, z którymi się zadawał, stanowili zagrożenie dla francuskich interesów, przecierając wzdłuż Wołgi i wybrzeża Morza Kaspijskiego nowe szlaki handlowe z Moskwy do Persji. Kolidowało to z francuskim handlem przyprawami, futrami i jedwabiem, a do tego nie można przecież dopuścić. Sprawa stała się jeszcze bardziej

pałaca po niedawnej klęsce króla Franciszka pod Pawią, kiedy to cesarskie wojska wręcz rozniosły w proch i pył francuską armię.

Tak więc Mikołaj Ostrowski będzie musiał umrzeć.

Po raz ostatni spojrzała z żalem na obnażoną, złocistą skórę, po czym opuściła klapkę w ścianie. Teraz trzeba wykonać rozkaz. No cóż, robiła już dla Francji takie rzeczy, a nawet gorsze. Nie może sobie pozwolić na żadne rozterki z tej tylko przyczyny, że cel okazał się nadzwyczaj urodziwy. Szmaragdowa Lilia nigdy jeszcze nie zawiodła i nie zawiedzie.

Na obdrapanej ścianie malutkiego pokoiku, oświetlonego blaskiem świec oraz światłem wpadającym przez pojedyncze okno, wisiało małe lustro, z którego spoglądała na nią kompletnie obca osoba. Marguerite przybierała już rozmaite wcielenia. Była starą wieśniaczką, żydowską przekupką, mleczarką albo damą z towarzystwa. Nigdy jednak wcześniej nie przebierała się za dziwkę. Pomyślała, że może to być nawet całkiem interesujące.

Długie platynowe włosy, zazwyczaj opadające lśniąca falą na ramiona, teraz były ukarbowane, zaś kaskady loczków upięto z tyłu głowy i utapirowano nad uszami. Jej tak wychwalaną w Paryżu cerę, jak krew w mlekiem, pokrywała warstwa ryżowego pudru, na policzkach widniały jaskrawe kręgi różu, a zielone oczy otaczała gruba smolista kreska.

Nie była już sobą, powszechnie znaną na francuskim dworze pannę Marguerite Dumas, ani tą szacowną damą, która w biały dzień przechadzała się po placu Świętego Marka z twarzą skromnie ukrytą pod woalką, śledząc Mikołaja Ostrowskiego, przebranego za akrobatę, zonglera czy klauna, maskującego prawdziwą tożsamość uśmiechem i dźwiękiem dzwoneczków. Podobnie jak czyniła to ona, tyle że na swój sposób.

No tak! Teraz była Bellą, prostą włoską dziwką, przybyłą do Wenecji na karnawał, aby zarobić garść dukatów. Dziwką, która miała przykuć uwagę Mikołaja Ostrowskiego, mimo iż stanowił on cel wszystkich kobiet w tym burdelu.

Cofnęła się, aby obejrzeć w lustrze swą kreację. Kupiła ją tego popołudnia od handlarki starzyzną. Uszyta ze szkarłatnego jedwabiu, musiała niegdyś należeć do wielkiej kurtyzany. Teraz jednak złoty haft był lekko zmatowiały, obrąbek nadpruty, a i szwy wyblakły. Mimo to wciąż była ładna i dobrze leżała na drobnej, szczupłej figurze.

Obciągnęła mocniej dekolt, odsłaniając ramię oraz jedną pierś. Hm... Wiedziała, że ma ładny biust. Ani za duże, ani za małe piersi były pięknie uformowane i białe jak alabaster. Może miała to być rekompensata za niezbyt długie nogi oraz brzydkie blizny na brzuchu? Na tle biustów innych dziwek jej piersi wypadały jednak zbyt blado, wobec czego sięgnęła po słoiczek z różem i odrobiną szkarłatnego kremu posmarowała obnażony sutek. Tak! To przykuwa wzrok. Musnęła jeszcze różem wargi i skropiła się za uszami jaśminowymi perfumami, których ciężki, egzotyczny zapach tak bardzo różnił się od delikatnej woni jej ulubionej esencji z lilii.

Wreszcie była gotowa. Pozostało jeszcze tylko unieść sute spódnice i sprawdzić, czy sztylet tkwi na swoim miejscu. Był tam, przypasany do uda, z lśniąca klingą i idealnie wyostrzonym czubkiem.

Marguerite opuściła suknie i wymknęła się z pokoiku. Korytarzyk na tyłach głównych pomieszczeń był wąski i tak niski, że musiała pochylić głowę. Był też pusty, ale nawet tutaj słyszała jęki i śmiechy, brzęk sztućców i szkła, a także świst bicia, atrakcji preferowanej przez klientów o bardziej wyszukanych gustach. Miała nadzieję, że nie jest to ulubiona rozrywka Rosjan, bo gdyby musiała się obnażyć pod bat, nie zdołałaby ukryć sztyletu.

Na końcu korytarza znajdowały się wąskie, strome schody. Zeszła nimi, ostrożnie stąpając na wysokich obcasach. Niskie drzwiczki otwierały się na wielką, pełną gwaru, śmiechu i wesołych pokrzykiwań salę.

Wrażenie było takie, jakby nagle znalazła się w innym świecie. Hałasy odbijały się echem od niskiego, okopconego stropu, gryzący dym z kominka mieszał

się z ciężkim zapachem tanich perfum oraz kwaśnym odorem roznamiętnionych ciał i rozlanego piwa, a podłoga kleiła się od brudu.

Stała przez chwilę w progu, lustrując salę uważnym spojrzeniem. Wokół kominka zgromadzili się amatorzy kart i kości. Sądząc po sporych stosach monet, a także po skupionych twarzach graczy, gra musiała się toczyć o wysoką stawkę. Serwowano rozmaite napitki, jadła też nie skąpiono. Artykułem pierwszej potrzeby były jednak dziwki, a klienci mieli w czym przebierać. Niskie i wysokie, grube i chude, blondynki i brunetki. Był nawet młodzieniec ubrany w niebieską satynową suknię. On także prezentował się całkiem nieźle z tą swoją gładką cerą i masą czarnych, jedwabistych loków. Wrażenie psuła tylko męska, wystająca grdyka.

Marguerite otaksowała wzrokiem swoje konkurentki na tę jedną noc. Była piękna i wiedziała o tym od dziecka, odkąd ojciec zabrał ją na królewski dwór, lecz nie popadła z tego powodu w próżność. Urodę uważała wyłącznie za akcesorium przydatne w pracy, zwłaszcza podczas takich zadań jak to. Pomyślała, że nie powinna mieć najmniejszych problemów z usidleniem Mikołaja, skoro jest ze wszystkich najpiękniejsza, ładniejsza nawet niż ten chłopak w błękitnej sukni.

Poza tym liczba konkurentek znacznie zmalała, gdyż z otaczającej Mikołaja grupki wiele już odeszło, by obsłużyć innych klientów. Tak naprawdę groźne były już tylko te dwie, które siedziały mu na kolanach, wierząc się i chichocząc.

Marguerite wyprostowała się, eksponując śnieżny biust w obramowaniu purpurowych jedwabów, i z uniesioną głową przesunęła się obok Rosjanina oraz jego wielbicielek. Na tyle wolno, by mógł poczuć zapach jej perfum i dostrzec biel obnażonej piersi. Przy okazji omiotła trenem sukni jego wysokie buty. Minąwszy go, odwróciła głowę z zagadkowym uśmiechem i poszła dalej, tam, gdzie nalewano piwo.

Mogła już tylko czekać. Z doświadczenia wiedziała, że aura niedomówień bywa na ogół bardziej skuteczna niż jawna adoracja, której, jak widać, miał pod dostatkiem. Sącząc piwo, uważnie obserwowała salę w wiszącym na ścianie popęka-

nym lustrze. Dwie dziwki nadal siedziały na kolanach Mikołaja, ale widać było, że przestał już zwracać uwagę na ich bujne wdzięki. Wychylony do przodu, spoglądał w jej kierunku, marszcząc jasne brwi.

Odwróciła się więc lekko w jego stronę, aby zademonstrować ładny profil, i zniecierpliwiona mocniej ścisnęła kufel. Mikołaj Ostrowski musi podejść do niej pierwszy, zanim zrobi to ktoś inny! Nie tracąc czasu, spojrzała mu prosto w oczy, a na koniec, odrzuciwszy głowę do tyłu, obwiodła wargi językiem.

Szybko przekonała się, że sposób okazał się bardzo skuteczny. Nie minęło parę chwil, a już poczuła, że Mikołaj stoi za nią. Był taki gorący, choć nie napalony, jak większość mężczyzn. Raczej rozkosznie ciepły, niczym letnie słońce z jej rodzinnej Szampanii, muskające delikatnie skórę. I pachniał jak lato ziołowym mydłem i słonym potem. Tak pachnie prawdziwy mężczyzna.

Odwróciła się i posłała mu zalotny uśmiech. Choć zdążył już poprawić koszulę, pozostała na tyle rozchylona, że widać było sprężyste jasne włoski porastające tors. Złoto na złocie.

- Dobry wieczór, panie - powiedziała, pilnując, by w jej głosie nie pozostał nawet cień francuskiego akcentu.

- Dobry wieczór, pani. - Skłonił się nisko, jakby byli w pałacu dożów, a nie w zadymionym zamtuzie.

Zauważyła, że oczy miał niebieskie i czyste jak niebo, na którym można wypisać wszystko, każde życzenie, pragnienie lub obawę.

Oczy te spoglądały na nią bardzo uważnie, choć wciąż tliły się w nich isierki rozbawienia. Będzie więc musiała zachować nadzwyczajną ostrożność, niestety.

Gdy na moment zwarli się wzrokiem, poczuła lekki dreszczyk niepokoju i zaczęła żałować, że nie włożyła maski, choć to śmieszne, bo gruby makijaż był sam w sobie wystarczającym przebraniem. Poza tym po tej nocy już się nigdy więcej nie zobaczą.

Marguerite otrząsnęła się. Nie pora na takie dywagacje. Musi tylko wykonać zadanie i zniknąć.

- Nie widziałem cię tu wcześniej - powiedział.

- Bo jestem nowa. Na imię mi Bella. Przyjechałam ze wsi na karnawał, żeby zarobić trochę grosza. - Kiwnęła, by przyniesiono im piwa. - A więc często tu bywasz, panie?

- Wystarczająco często, kiedy jestem w Wenecji.

- Tak też myślałam! - rzuciła ze śmiechem. - Głowę dam, że te blade, kapryśne kurtyzany z pałaców nie są w stanie zadowolić takiego jurnego mężczyzny. - Przyniesiono im piwa, więc wręczyła mu jeden puchar. - Na zdrowie!

- Na zdrowie. - Wypił haust kwaśnego napoju. - Istotnie, Wenecja jest pełna najpiękniejszych kobiet, pani. Nie widziałem tak urodziwych nigdzie, a przecież podróżowałem po wielu krajach. Wolę jednak towarzystwo bardziej podobne... do mnie.

- Do pana? - Zerknęła na młodzieńca w błękitnej sukni.

Mikołaj roześmiał się, a jej znów przypomniało się lato w rodzinnych stronach i musujące szampańskie wino.

- Nie to miałem na myśli, tylko coś bardziej prozaicznego. - Musiała mieć zdumioną minę, bo znów się uśmiechnął. - To takie powiedzenie popularne w mojej ojczyźnie.

- A więc pan także nie jest stąd?

- Nie, mógł cię jednak zwieść mój świetny włoski - odparł z uśmiechem. - Jestem z Moskwy, choć dawno już tam nie byłem.

- Aha, to wszystko tłumaczy.

- Niby co, pani?

- Pańską jurność. Słyszałam, że Moskwa przez większą część roku jest pokryta śniegiem, macie więc mnóstwo czasu, by grzać się przed kominkiem albo w ciepłym łóżku.

- Szczera prawda. - Nagle objął ją w talii i przyciągnął bliżej. Zaskoczona, instynktownie zeszywniała, by po chwili oprzeć się ulegle o jego ramię.

Przez dzielące ich warstwy jedwabiu i sukna czuła jego napierającą, pobudzoną męskość.

- Widzę, że tej nocy nie będzie lodu, mój panie.

- Stopniał pod słońcem Italii... prawie.

Z zalotnym uśmiechem zarzuciła mu rękę na szyję. Włosy miał jak śliski, chłodny jedwab. Zanurzyła weń palce i zaczęła wdychać ich świeży zapach.

- Pewna jestem, że słońce Italii mogłoby dokończyć dzieła, panie. Nigdy więcej nie poczułbyś zimna.

Pocałował ją tak nagle, że nawet nie zdążyła pomyśleć. Mogła tylko zareagować, odpowiedzieć... Pocałunek nie był ani szorstki, ani brutalny, lecz miękki i delikatny. Mikołaj muskał wargami jej wargi, kusząc ją, by przeszła za nim na słoneczną stronę i zapomniała o wszystkim. I na moment rzeczywiście zapomniała. Nie była już ani Marguerite Dumas, ani Szmaragdową Lilią, tylko kobietą, którą całował przystojny mężczyzna, a ona topniała w jego ciepłe, uścisku silnych ramion i pod dotykiem wprawnych ust. Przytuliła się do niego i nagle zaczęło jej się wydawać, że stają się jednością.

Cofnęła się oszołomiona. To jej przydałby się okład z lodu, by ochłoneła i na zimno zaplanowała dalszą strategię. Musi zapomnieć o tej... rozkoszy i pożądaniu. O pragnieniach. Szmaragdowa Lilia nie ma przecież żadnych potrzeb, zwłaszcza cielesnych. Zaś Mikołaj Ostrowski to tylko cel, nic więcej.

Skoro tak, czemu tak trudno jej o tym pamiętać, kiedy spogląda w jego jasnoblękitne oczy?

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Ależ pan gorący tej nocy...

- Mówiłem już, że to zasługa słońca Italii.

- Więc chodź ze mną, panie, to cię ochłodzę.

Gdy ujęła Mikołaja za rękę, jego palce zacisnęły się mocno wokół jej palców, zupełnie jak kajdany.

Poprowadziła go ku drzwiczkom, a potem wspięli się po schodach na piętro. Mikołaj musiał się pochylić, żeby nie uderzyć głową o wystające belki. Znów otuliła ich cisza, a hałaśliwy, barwny świat pozostał gdzieś tam, w dole. Marguerite słyszała łomot własnego serca, przeniknął ją chłód. Nadszedł czas, by działać.

Pod drzwiami pokoiku Mikołaj przyciągnął ją do siebie i przyparł do ściany. Serce szybciej zabiło jej w piersi. A więc odkrył jej sekret? Czyżby wpadła w jego sidła?

Wbrew tym obawom, nie poderżnął jej gardła, tylko wciąż tulił ją w półmroku, spoglądając na nią tymi oczyma z innego świata, jakby mógł zajrzeć w głąb jej skalanej duszy.

- Skąd pochodzisz, Bella? - zapytał cicho.

Akcent miał bardziej wyraźny, jakby słowa zmroziła rosyjska nuta.

- Już mówiłam - odparła z uśmiechem. - Ze wsi, z dalekiej prowincji. To dla nas najbardziej owocna pora roku, ale chcąc zarobić trochę grosza, trzeba być w Wenecji.

- Od dawna jesteś dziwką, moja miła?

Roześmiała się.

- Jak nic będzie już z dziesięć lat co najmniej.

- Nie do wiary! Nadal masz wszystkie zęby, promienne oczy... - Musnął palcami jej obnażoną, miękką pierś, a potem obwiódł kciukiem poróżowany sutek, przyprawiając ją o drzenie. - I taką gładką skórę.

- Urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą, panie. Ojciec zawsze mi to powtarzał. - Tylko to było zgodne z prawdą z tego wszystkiego, co powiedziała Mikołajowi. Ojciec rzeczywiście często tak mówił do niej, gdy była dzieckiem, sadzając ją sobie na ramieniu, aby mogła lepiej obejrzeć gwiazdy połyskujące nad Szampanią.

Potem jednak gwiazda przygasła, a Marguerite wylądowała w weneckim burdelu z tym pięknym, zagadkowym mężczyzną.

- Pod szczęśliwą gwiazdą na niebie Italii...

- Właśnie. A i panu nieba musiały być przychylnie, skoro jest pan tak urodziwy - rzuciła żartobliwie, lecz taka była prawda. Zwykły śmiertelnik nie miał prawa odznaczać się takim wdziękiem i urodą. Był zatem wybrańcem bogów. Aż do tej nocy.

Tak więc dla nich obojga wybiła nieuchronna godzina.

- Skoro fortuna tak bardzo nam sprzyja, co tu robimy, panno Bello? - wyszeptał, jakby czytając w jej myślach. - Dziwka z komediantem, zmuszeni zarabiać ciałem i śpiewem na miskę zupy. Sądysz, że stać nas na tę noc?

- Nie jestem aż taka droga. - Wspiąwszy się na palce, wyszeptała mu do ucha:

- Nie dla ciebie. Myślę, że jesteśmy podobni do siebie. Ty i ja. Komediant i ladacznica w jednym. Oboje też kochamy swój kraj, choć żadne z nas nie chce się do tego przyznać.

Zdumiony jej słowami, cofnął się, patrząc na nią uważnie. Nie puściła go jednak, lecz przyciągnęła bliżej i zaczęła namiętnie całować.

- Nie jesteś z żadnego ziemskiego kraju - wyszeptał, obsypując drobnymi pocałunkami jej szyję, ramiona i dekolt. - Pochodzisz z baśniowej krainy wróżek i wrócisz tam o świcie.

- Nawet jeśli tak, to przed nami jeszcze wiele godzin. Wykorzystajmy jak najlepiej tę noc.

Gdy Mikołaj zaczął całować jej pierś, głośne jęki Marguerite połączyły się z jękami innych dziwek. Mroczna, duszna namiętność spadła na nią niby gęsty obłok, pozbawiając sił. Czy to nie dziwne, że choć rozpalona, dygotała jak z zimna? Półprzytomna poczuła, że Mikołaj chwyta jej spódnicę i podciąga niecierpliwie.

Dotknięcie zimna na obnażonym udzie sprawiło, że nagle otrzeźwiała. O nie! Jeżeli zobaczy ukryty sztylet, wszystko przepadło! Cofnęła się ze śmiechem.

- Mamy przed sobą całą noc, mój panie! Nie musimy gzić się pod ścianą. - Pchnęła go na wąskie łóżko we wnęce pod jedynym oknem. Potem, kiedy już wykona zadanie, będzie mogła uciec przez to okno po dachach Wenecji. Nie do żadnego baśniowego królestwa, lecz do zakrytej gondoli, gdzie dziwka Bella zniknie na zawsze.

Niemal rzuciła go na posłanie, a sama stała nad nim przez chwilę, przyglądając mu się w świetle księżyca. Jego złote włosy rozsypały się na pomiętej, nieświeżej pościeli. Taki piękny, że aż nierealny, patrzył na nią z ironią. Upadły anioł...

- A więc możemy się gzić na łóżku jak cywilizowane istoty? - zapytał.

- Właśnie. - Nachyliła się i czubkami palców obwiodła zarys mięśni jego torsu. Łuki żeber i płaskie tarcze sutków. Co za cudo, jakby mapa egzotycznej, niezbadanej krainy. Czowała, jak jego serce bije coraz szybciej, pobudzone pieszczotą. - Nie śpieszmy się. Wykorzystajmy każdą minutę. - Ucałowała czubek jego piersi, kłapiąc go delikatnie zębami. Jego skóra miała słony smak.

Zadrżał i mocniej wczepił palce w jej włosy. Czowała, jak się pod nią porusza z ciałem napiętym niczym struna. Widocznie wpadł już w sidła pożądania. Ona, niestety, nie może sobie na to pozwolić.

- Ile będzie mnie to kosztowało? - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Ułożyła się na nim i wyszeptwała:

- Twoją duszę.

A potem postąpiła tak, jak zwykle w takich przypadkach. Miała to przećwiczone. Podsunęła spódnicę, jednym wprawnym ruchem wyszarpnęła sztylet i uniósłszy się lekko, wzniosła ostrze. Oczy Mikołaja lśniły srebrzyście w blasku księżyca, a nagi tors stanowił idealny cel. Musi tylko wbić mu sztylet w serce - i będzie o jednego wroga Francji mniej.

Jednak te oczy, te nieludzkie, wszystkowiedzące oczy patrzyły na nią twardo i bez lęku, paraliżując ją swym spojrzeniem.

Wystarczył jeden moment, jeden srebrzysty błysk, aby utraciła przewagę. Mikołaj chwycił ją za nadgarstek i ścisnął tak mocno, że aż kości zatrzeszczały, a z ust wyrwał się okrzyk bólu. Sztylet wysunął się ze zdrtwiałych palców i upadł z brzękiem na podłogę. Mikołaj zagarnął ją pod siebie i przygwoździł do łóżka. Nie był już rozleniwionym, rozpustnym komediantem, tylko groźnym, bezlitosnym zabójcą. Jak ona.

Marguerite doskonale władała szpadą, sztyletem i łukiem. Świetnie sobie radziła zarówno w dworskiej konwersacji, jak i w ulicznej burdzie. Znała też wiele sztuczek, które rekompensowały drobną posturę oraz kobiecą słabość. Umiała też, niestety, rozpoznać moment, w którym nie miała najmniejszych szans, a tak było właśnie teraz. Wyczytała to z jego oczu. Była zgubiona.

Mimo to odczuwała dziwny spokój, jakby już unosiła się nad swoim ciałem, oglądając tę scenę z góry. Ofiara stała się jej katem, lecz była to zasłużona kara za grzechy. Ten dzień musiał kiedyś nadejść. Szkoda tylko, że nie mogła dostać przed śmiercią rozgrzeszenia! Teraz już nigdy nie spotka się w niebie ze swoją matką.

Widziała natomiast mściwego anioła, który unosił się nad nią w ciemnościach. Podniósł jej sztylet i obejrzał ostrze, zarazem przyciskając Marguerite drugą ręką oraz mocarnym ciałem. Czowała siłę i sprawność jego mięśni, dzięki którym potrafił utrzymać się na linie.

Patrzył na bezlitośnie zabójczy, cienki, idealnie wyważony sztylet, z rękojeścią przyozdobioną niewielkim szmaragdem.

- Dlaczego ja? - zapytał chrapliwym głosem. - Czemu próbowałaś zabić biednego komedianta?

- Nie jest pan żadnym biednym komediantem, o czym oboje doskonale wiemy - odparła po francusku. - Tak samo jak ja, ma pan swoje sekrety, panie Ostrowski.

- A jakież to są te twoje sekrety, panno Jakcitam? - zapytał w tym samym języku.

Zaśmiała się gorzko.

- To już nieważne. Zawiodłam, ale mój sekret zabiorę z sobą do grobu.

- Naprawdę? Na to jeszcze długo będziesz musiała poczekać. Odnoszę wrażenie, że wróżki, podobnie jak koty, mają wiele żywotów. Jesteś młoda i z pewnością masz dokąd pójść.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, ale twarz miał jak z kamienia. Był tak piękny i zimny jak posągi na placu Świętego Marka. Gdzie się podział namiętny kochanek?

- Co to ma znaczyć?

- To ma znaczyć, panno Jakcitam, że nie umrzesz tej nocy. Ja też nie, choć pewnie wolałabyś, żeby było inaczej. - Zamachnął się sztyletem, ale nie wbił go jej w serce, lecz odciął szeroki pas jedwabiu od spódnicy. A potem, trzymając sztylet w zębach, związał ciasno ręce i nogi Marguerite.

- Co robisz? - wykrzyknęła zaskoczona. - Ja bym cię zabiła! Mam rozumieć, że darujesz mi życie? Nie szukasz zemsty?

- Och, zemszczę się, ale nie tej nocy. - Skończył wiązać węzeł wokół jej nadgarstków, tak ciasny, że nie mogła nawet kiwnąć palcem. - Zrobię to któregoś dnia, kiedy będziesz się tego najmniej spodziewać. - Złożył delikatny pocałunek na jej wargach, ona zaś poczuła znajomy smak ziół, piwa oraz jej własnego rózu. Nadal też pachniał jak letnia łąka. Co za kawał sukinsyna! - Nie mógłbym zniszczyć tak rzadkiej piękności - wyszeptał. - Zwłaszcza po tym, jak zakosztowałem twoich wspaniałych usług... co prawda niekompletnych. Na razie, panno Jakcitam.

Zakneblował jej usta, potem otworzył okno, przez które to przecież Marguerite miała uciec. Widząc jej rozwścieczony wzrok, mrugnął szelmowsko, zręcznym ruchem przerzucił nogi przez parapet i zniknął.

Mimo knebla próbowała krzyczeć, wyginała plecy i wierzgała nogami, ale na próżno. Była zbyt mocno związana. Co tu kryć, wpadła we własne sidła, a ten drań, ta ruska świnią, nie miał nawet na tyle przyzwoitości, by ją zabić zgodnie z wymogami kodeksu wszystkich szpiegów i skrytobójców. Przynajmniej we Francji.

„Zemszczę się”. Tak powiedział. Ta piękna, bezczelna ruska świnia. Jeszcze czego! Niedoczekanie! Znajdzie go pierwsza i dokończy robotę bez względu na wszystko. Choćby przyszło jej ścigać go na koniec świata, na bezkresne, skute lodem pustkowie Rosji.

Szmaragdowa Lilia nigdy przecież nie zawiodła.



Rozdział pierwszy

Pałac Fontainebleau, styczeń 1527 r.

Marguerite Dumas z podniesioną głową wolno sunęła korytarzem, ignorując szepty dworzan. W rękę ścisnęła list od króla.

Wiedziała, że nadejdzie ten dzień. Nowe zlecenie. Nowa misja dla Szmaragdowej Lilii. Oby tylko zakończyła się lepiej niż ostatnia!

Na końcu korytarza, gdzie zaczynały się wąskie, ciemne schody, przystanąła. Tutaj na pewno nikt jej nie zobaczy. Zamknęła oczy, bo nagle ból ścisnął jej skronie. Nie była to jednak żadna choroba, tylko wspomnienie Wenecji i tego przystojnego rosyjskiego drania. A także gorzkiego smaku klęski i upokorzenia.

Król nie powiedział jej nic, kiedy wróciła do Paryża z przykrą wiadomością o ucieczce Mikołaja Ostrowskiego. Nie powiedział też nic, kiedy odsyłał ją do obowiązków damy dworu księżniczki Madeleine, które usprawiedliwiały jej stałą obecność na dworze. Przez następne miesiące usychała z nudów, spacerując z innymi damami po ogrodach, czytając księżniczce i tańcząc na balach. A także odrzucając zaloty aroganckich dworaków.

Ci uperfumowani gogusie, wciąż próbujący skraść jej całusa w półmroku, na nic nie mogli jej się przydać. Jeden tylko człowiek naprawdę się tu liczył, mianowicie król Franciszek. Niestety wciąż traktował ją z chłodną rezerwą, ledwie kiwając głową, gdy mijali się w ogrodach lub sali balowej.

Marguerite wiedziała, o czym wszyscy w krąg szepczą: że ona i król byli kochankami, lecz rozstali się, gdy król związał się z księżną de Vendome. Gdyby tylko znali prawdę! Nigdy by w nią nie uwierzyli.

Jej samej trudno było uwierzyć w pewne rzeczy podczas tych gnuśnych, spokojnych dni w komnatach księżniczki. Czy naprawdę wysyłano ją do najdalszych krańców Europy z misją zlikwidowania wrogów Francji? Czy

wykorzystywała swoją inteligencję i zdobyte w pocie czoła umiejętności, by odnosić sekretne zwycięstwa nad tymi, którzy zagrażali jej królowi? Nie, to chyba niemożliwe.

Dopiero nocami, samotna w wielkim łożu z baldachimem, uświadamiała sobie, że to prawda. Kiedyś jej życie było jedną pasjonującą przygodą, zdobyła też poczesne miejsce w wielkim świecie. Miałyby teraz stracić wszystko, nad czym tak pracowała, z powodu jednej pomyłki, jednej błędnej kalkulacji?

Miałyby zostać za chwilę odprawiona? To bez sensu, zwłaszcza teraz, gdy jej szczególne umiejętności mogły się okazać bardziej przydatne niż kiedykolwiek. Po upokarzającej klęsce króla pod Pawią, gdzie uległ siłom Świętego Imperium Rzymskiego i musiał się wyrzec praw do Italii oraz oddać synów jako zakładników - nadal przebywali w Madrycie - nastały dla Francji ponure dni. Jej wrogowie znów podnosili zuchwale głowę.

Marguerite przeczuwała, że będzie potrzebna w tych nowych, ciężkich czasach. Czemu więc oddelegowano ją do tańców oraz gry w karty? Tylko z powodu tego Rosjanina o niebiańskich oczach?

Niech go wszyscy diabli!

Wyglądało jednak na to, że jałowe dni dobiegły końca. Ścisnęła królewski list tak mocno, że pieczęć wbijała się jej w dłoń. Czowała, iż nadszedł czas rehabilitacji.

Wspinając się po wąskich stopniach prywatnej klatki schodowej, słyszała coraz wyraźniejsze odgłosy młotków i piły. Był to jeden z widomych oznak najnowszej obsesji króla, czyli budownictwa. Od niesławego powrotu z Hiszpanii Franciszek zdawał się opętany manią remontów i wciąż rozbudowywał swoje zamki.

Ostatnio w centrum uwagi króla znalazło się Fontainebleau. Była to jego ulubiona rezydencja, położona wśród lasów pełnych zwierzyny. Od świąt Bożego Narodzenia, na których cieniem położyła się nieobecności królewskich synów, prace

toczyły się pełną parą. Burzono starą siedzibę Ludwika Świętego i Filipa Pięknego, a jej miejsce miała zająć ogromna, nowoczesna budowla.

Marguerite uniosła rąbek aksamitnej spódnicy, by przestąpić kupę gruzu. Z góry posypał się kamienny pył, więc umknęła do wielkiej galerii. Jako jedno z niewielu pomieszczeń w pałacu była już prawie gotowa. Długi ciąg wypolerowanych, tętniących echem parkietów, jasne stiuki, drewniane boazerie z intarsjami z ciemnego drewna, na ścianach bogate kwiatowe motywy, pogańscy bogowie oraz boginki, a także armia tłusciutkich amorków, która czekała już na to, by ktoś zappełnił sąsiadujące z nimi puste miejsca.

Na drugim końcu galerii, nad stołem pokrytym szkicami, pochyłał się sam król Franciszek. Zajęty rozmową z signorem Fiorentinem, jednym z włoskich mistrzów, którzy nadzorowali budowę tych wspaniałości, nie zauważył nadejścia Marguerite. Zwolniła więc kroku, by mu się lepiej przyjrzeć i wyczytać z jego twarzy jakąś wskazówkę co do jego intencji - lub jakiś znak świadczący o tym, że jej wybaczył.

Franciszek był mężczyzną słusznej postury, więc znacznie górował nad jej drobną postacią. Ciemnowłosy, z modną szpiczastą bródką, powierzchowność miał isticie królewską. Nic jednak nie mogło ujść uwagi jego piwnych oczu, spoglądających przenikliwie znad wydatnego nosa Walezjuszy. Po klęsce pod Pawią i uwięzieniu wydawał się chudszy i nieco przygarbiony, a jego atletyczne niegdyś ciało stało się suche i kościste.

Nadal jednak pozostał wykwintnym elegantem i nawet w zwykły dzień, jak teraz, nosił kaftan ze szkarłatnego aksamitu, haftowany srebrem i złotem, a na nim, dla ochrony przed chłodem, purpurową opończę bez rękawów obszytą srebrnym lisem. Gdy nachylał się nad projektem, szkarłatny biret, wyszywany perłami i drogimi kamieniami, zasłaniał jego oczy przed wzrokiem Marguerite.

- Będzie ich dwanaście, Wasza Królewska Mość - mówił Fiorentino, wskazując puste miejsca na ścianach galerii. - Oczywiście same sceny mitologiczne, stanowiące alegorię świątłych rządów Jego Królewskiej Mości.

- Hm, tak, rozumiem - rzekł król i nie podnosząc wzroku, zawołał: - Ach, panna Dumas! Ze wszystkich dam w moim królestwie, ty masz najlepsze wyczucie piękna. Co sądzisz o planach signora Fiorentina?

Podeszła bliżej i zerkając na rysunki, wsunęła do rękawa zwój z królewskim listem. Pierwszy szkic przedstawiał Danae w długiej szacie z granatowego jedwabiu, bardziej przypominającą damę dworu niż antyczną heroinę, kochankę samego Zeusa. Jednak tło - połamane kolumny i pogieęte krzewy oliwne oraz asystujące Danae pulchne cherubinki i wystrojone dwórki - było bardzo udatnie przedstawione, tworząc niezwykle elegancką scenerię.

- Jakie to śliczne - powiedziała szczerze. - A format i rama z kolumn sprawiają, że obraz idealnie pasuje do tego miejsca. Gdy pod wieczór padną nań promienie zachodzącego słońca, szata Danae będzie się skrzyć jak niebo letnią nocą. Użyj pan kobaltu i płatków złota?

- Wasza Królewska Mość ma rację! Panna Dumas ma oko szczególnie wyczulone na piękno. - Uszczęśliwiony mistrz klasnął w ubrudzone farbą ręce.

- Bene - powiedział król. - Danae zostaje. Możesz natychmiast zaczynać.

Gdy malarz oddalił się pośpiesznie wraz ze swym pomocnikiem, Franciszek uśmiechnął się do Marguerite.

- Przejdziemy się po ogrodach, panno Dumas? Zrobiło się cieplej, a chciałbym usłyszeć twoje zdanie o nowej fontannie, którą właśnie sprowadziłem. Przedstawia Dianę, boginię łowów i dzielną wojowniczkę. To twoja ulubienica, nieprawdaż?

- Spacer z Waszą Królewską Mością to dla mnie wielki zaszczyt - odparła. - Niestety niezbyt dobrze znam się na fontannach.

- Egremont pożycz ci opończy - powiedział król, wskazując na jednego z dworzan, który natychmiast podał jej obszytą futrem pelerynę. - Nie chciałbym, żebyś się przeziębila, kiedy mam dla ciebie tak ważne zlecenie.

Starając się nie okazywać podniecenia, narzuciła opończy na ramiona. Ważne zlecenie? Nowa misja? Czyżby Szmaragdowa Lilia znów miała wyjść z ukrycia?

- Naprawdę, Wasza Królewska Mość?

- Tak. Czyż moja córka nie znalazła w tobie oparcia po śmierci matki? Jesteś jej ulubioną damą dworu.

- Też bardzo przywiązałam się do księżniczki - odparła zgodnie z prawdą. Księżniczka Madeleine była uroczym, bystrym dzieckiem, lecz opieka nad nią to żadne wyzwanie. A ona miała przecież znacznie większe ambicje. Musiała także zatroszczyć się o swoją przyszłość. Pomyślała o ukrytym pod łóżkiem kufierku z pieniędzmi. Było ich wciąż za mało, aby mogła kupić sobie wymarzoną winnicę oraz święty spokój.

- Doprawdy? - Franciszek sprowadził ją do zamkowych ogrodów. Podobnie jak pałac, też były w trakcie gruntownych transformacji. Wyrywano stare rośliny, by zgodnie z obecną modą zastąpić je nowymi sadzonkami. Teraz jednak wszystko zastygło skute lodem i przysypane migoczącym szronem.

Odesławszy gestem towarzyszących im ludzi, król poprowadził Marguerite ku wąskiemu przejściu. W zimnym, nieruchomym powietrzu głosy odchodzących dworzan odbijały się echem od ścian zamku.

- Jakie to smutne, że moja córka będzie musiała obyć się przez jakiś czas bez twego towarzystwa - odezwał się Franciszek.

- A będzie musiała?

- Tak, panno Dumas. Pojedziesz do Anglii, a Szmaragdowa Lilia wraz z tobą. Anglia! A więc plotki okazały się prawdziwe. Franciszek pragnął zawrzeć przymierze z królem Henrykiem, by stworzyć nowy bastion przeciwko potędze cesarstwa.

- Jestem gotowa, Wasza Królewska Mość.

Franciszek uśmiechnął się.

- Moja droga Marguerite, zawsze gotowa nam służyć.

- Jestem Francuzką i służę, jak umiem, mojej ojczyźnie.

- I robisz to dobrze. Na ogół.

- Tym razem nie zawiodę. Przysięgam.

- Oby tak było, bo to misja szczególnej wagi. Wysłałam poselstwo w celu zawarcia przymierza z królem Henrykiem VIII Tudorem oraz zaaranżowania małżeństwa między jego córką, królową Marią, a moim Henri.

Marguerite zamyśliła się. Pomimo flirtu z angielskim sojusznikiem, jak dotąd nic z tego nie wynikło. Pod wpływem królowej angielskiej Katarzyny, ciotki cesarza, Anglia zawsze dryfowała w kierunku Hiszpanii. Niespełna jedenastoletnią królową Marię zaręczano już z różnymi hiszpańskimi książętami, a nawet, jeśli wierzyć pogłoskom, z samym cesarzem Karolem.

- A co z Hiszpanami? - zapytała cicho.

- Chodzą plotki, że król Henryk nie żyje już tak zgodnie jak ongiś ze swoją królową. Katarzyna się starzeje, a Henrykowi wpadła ponoć w oko Anna Boleyn, młoda dama, która kiedyś była rezydentką na dworze francuskim. Wpływ Katarzyny na politykę Anglii może już nie być tak znaczący, zaś Henryk skłania się coraz bardziej ku francuskiej opcji. Będę wielce usatysfakcjonowany, jeżeli dojdzie do podpisania tego traktatu.

Marguerite świetnie rozumiała królewskie nadzieje. Przymierze z Anglią mogło oznaczać, iż dla Francji nadejdą wreszcie lepsze czasy. Z drugiej strony nigdy dotąd nie miała do czynienia z Hiszpanami. Mimo pozornej pobożności i pokory potrafili równie fanatycznie bronić swojej sprawy jak Francuzi, a może nawet bardziej zażarcie. Powiadano, że w religijnym ferworze często się umartwiali, biczowali i nosili włosiennice, wskutek czego byli ponurzy, a zarazem przebiegli jak węże.

- Wasza Królewska Mość, myślę, że Hiszpanie tak łatwo nie popuszczą - rzekła z namysłem. - Podobnie jak królowa Katarzyna. Słyszałam, że znów szuka hiszpańskiej partii dla swojej córki.

- Właśnie dlatego wysłałam cię do Anglii. Głową poselstwa będzie Gabriel de Grammont, biskup Tarbes, i jestem pewien, że się dobrze spisze, podobnie jak jego

ludzie. Jednak kobiety widzą to, czego mężczyźni nie dostrzegają, i wejdą tam, gdzie żaden mężczyzna nie ma wstępu. Zwłaszcza kobiety tak przebiegłe jak moja Szmaragdowa Lilia. Miej oko na królową, a zwłaszcza na ambasadora Hiszpanii, Diega de Mendozę. Niewykluczone, że coś knują za plecami Henryka.

- A jeżeli tak, to co?

Franciszek zasepił się i wbił wzrok w oszroniony, skuty mrozem ogród.

- Wtedy będziesz wiedziała, co robić. - Sięgnął pod opończę i wręczył jej mały zwój. - Oto twoje instrukcje. Wyjeżdżasz za dwa tygodnie. Jeszcze dziś wieczorem przyślę ci krawców. Masz zamówić wszystko, co będzie ci potrzebne na dłuższy pobyt. - Z tymi słowy odszedł.

Marguerite została sama. W ogrodach panowała cisza. Nie było słyhać ani ptaków, ani pokrzykiwań ogrodników czy plusku fontann. Tylko wiatr poświstywał cicho, gdy rozwijała pergaminowy zwój.

Instrukcja była krótka i zwięzła. Krewniak króla, hrabia de Calonne, był członkiem poselstwa wraz ze swoją małżonką, Claudine. Marguerite miała być jej damą do towarzystwa i w tej roli brać udział w wizytach u królowej Katarzyny, a także w balach i turniejach.

Wiedziała jednak doskonale, co kryło się między wierszami. Na tych balach miała flirtować z Anglikami, kiedy już sobie popiją, i wyciągać z nich różne sekrety, z których wagi, o czym wiedziała z praktyki, jakże często nawet nie zdawali sobie sprawy. Miała również obserwować królową i hiszpańskiego ambasadora, a także pilnować, by zmienny jak chorągiewka na wietrze król Henryk tym razem wytrwał przy swojej decyzji. Miała się też przyjrzeć tej Annie Boleyn i ocenić, czy rzeczywiście zdobyła jakieś wpływy i czy nie dałoby się jej przeciągnąć na stronę francuską.

A gdyby ktoś stanął Francji na drodze, miała go zlikwidować. Szybko i dyskretnie.

Była to najważniejsza misja, jaką jej powierzono, najtrudniejszy sprawdzian umiejętności. Kulminacja wszystkiego, czego się nauczyła. Jeżeli spisze się dobrze, jeżeli traktat zostanie podpisany, a umowa małżeńska między królową Marią a księciem Orleanu zostanie przypieczętowana, otrzyma hojne wynagrodzenie. Może nawet będzie mogła się udać w podróż na poszukiwanie jedynej mężczyzny, który ją pokonał, i wziąć na nim odwet.

Chodzi oczywiście o tego Rosjanina, Mikołaja Ostrowskiego.

Cichy szelest kroków tak bardzo ją przeraził, że odwróciła się gwałtownie, przybierając obronną pozycję.

Był to Pierre LeBecque, młody ksiądz zatrudniony przez biskupa Grammonta. Na jej widok zmrużył oczy i cofnął się, marszcząc brwi.

Marguerite opuściła ręce, ale wciąż była gotowa do ucieczki. Nieczęsto widywała ojca Pierre'a, choć kręcił się na dworze, załatwiając różne sprawy biskupa, ale nawet jeśli go spotkała, nie zwracała na niego większej uwagi. Teraz jednak poczuła dreszczyk pełznący wzdłuż kręgosłupa, który tak często ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem.

Co takiego mógł przynosić jej ten młody ksiądz, długi i chudy jak tyczka? Sprawiał wrażenie, jakby dźwigał wyłącznie brzemień pokory na swych kościstych barkach, a jednak czuła na sobie jego uważne spojrzenie. Nie takie, jak u innych, pełne zachwyty i uwielbienia dla jej urody, ale takie, którym przenika się kogoś na wskroś i wydobywa jego sekrety.

Pozory często mylą. O tym także wiedziała.

- Ojciec. - Otuliła się szczelniej opończą. - Jakież to sprawy sprowadzają cię tu w tak zimny dzień?

Nie uśmiechnął się, tylko spojrzał na nią z powagą. Twarz jego, posepna i jakby przyprószona szronem, wydawała się zbyt stara jak na tak młody wiek.

- Niosę wiadomość dla króla od biskupa Grammonta.

- Doprawdy? Co za chwalebny dowód lojalności wychodzić na dwór w taki mróz, kiedy wszyscy grzeją się przy kominkach.

- Jednak nie pani - zauważył nie bez racji.

- Zapraǳnęłam zażyć świeżego powietrza, ale wracam już do swoich komnat.

- W takim razie pozwoli pani, że odprowadzę ją do pałacu.

Nie wiedząc, jak elegancko pozbyć się niechcianego towarzystwa, Marguerite skinęła głową, po czym odwróciła się i ruszyła przed siebie. Ojciec Pierre poszedł za nią, zamiatając ścieżkę sutanną.

- Wiem od biskupa, że będzie nam pani towarzyszyć w podróży do Anglii - odezwał się beznamiętnym tonem.

Ach tak? Wieści, jak widać, szybko się rozchodzą. Ledwie została wyznaczona do nowej misji, a ten namaszczoney klecha już o tym wiedział!

Ciekawe, co jeszcze ukrywał w zanadrzu.

- Tak, istotnie. Hrabina de Calonne potrzebuje damy do towarzystwa. To dla mnie zaszczyt, że wybór padł właśnie na mnie.

- Odważna z pani osoba, jak widzę. Mówi się, że angielski dwór to brudasy i gbury.

- Słyszałam, że bywają gorsi.

- Tak?

- Owszem. Na przykład Turcy. Albo Rosjanie. Podobno noszą brody tak długie, brudne i skołtunione, że lęgną się w nich szczury.

Ojciec Pierre spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Naprawdę?

- Tak słyszałam. - Wzruszyła ramionami. - Co prawda niewielu spotkałam Rosjan, oczywiście poza ambasadorami rezydującymi w Paryżu. Noszą niemodne, futrzane pelisy, ale maniery mają całkiem dobre. - Był też jeden taki, który nie miał wcale brody, tylko włosy tak złote i miękkie jak letni poranek i który wciąż przychodził jej na myśl w najmniej odpowiednich chwilach. - Anglicy nie mogą

przecież być tak prymitywni, by hodować szczury w brodach. Jestem pewna, że nasz pobyt w Anglii okaże się bardzo udany.

- Mimo to będziemy na zagranicznym dworze, gdzie rządzą cudzoziemskie obyczaje. Mam nadzieję, że bez skrepowania będzie pani przychodzić do mnie po... poradę, panno Dumas.

Poradę? Potrzebne jej jego porady! Dygnawszy uprzejmie, odpowiedziała:

- Dobrze wiedzieć, że w razie czego będzie w pobliżu francuski ksiądz, aby wysłuchać mojej spowiedzi. Życzę miłego dnia, ojcze Pierre.

- Miłego dnia, panno Dumas.

Rozstali się u stóp wielkich, marmurowych schodów, które wciąż czekały na przeróbkę. Idąc na górę, wśród pyłu i pokrzykujących robotników, Marguerite czuła na plecach zimne spojrzenie księdza.

A niech go! Z rezygnacją wzniosła oczy do nieba. Czy oprócz normalnych obowiązków będzie musiała przez cały pobyt w Anglii unikać tego dziwnego człowieka? Pomyślała, że czeka ją kilka naprawdę trudnych tygodni.

Rozdział drugi

Morze uspokoiło się wreszcie po serii zimowych sztormów, które zmieniły krótką w zamierzeniu podróż w niekończącą się mordęgę. Tego jednak dnia słońce przebiło się przez grubą warstwę chmur, barwiąc niebo i wzburzone fale bursztynową poświatą. Chłodne, wilgotne powietrze pachniało deszczem, który na szczęście jednak nie spadł. Wszyscy liczyli na to, że dobra pogoda utrzyma się aż do chwili, gdy zejda na ląd.

Podparty łokciami o burzę, Mikołaj Ostrowski zapatrzył się na otaczający go bezmiar wód. Już wkrótce wylądują w Dover i będą musieli się nieźle pośpieszyć, jeśli chcą zdążyć do Greenwich przed Francuzami. Ciężkie zadanie z taką liczbą kobiet, służby i bagaży, ale nie mieli wyjścia.

Mikołaj zaśmiał się gorzko. Trzeba być naprawdę głupcem, żeby podróżować przez cały kontynent, kiedy każdy, kto ma choć odrobinę rozumu, grzeje się przy kominku, czekając na przyjście wiosny! A wszystkiemu winna przyjaźń. To przez nią pakował się w tarapaty, gdziekolwiek się udał.

Sięgnąwszy do wewnętrznej kieszeni kaftana, wyjął list od swojego, druha, Marca Velazqueza, który wielce niefortunnie doręczono mu, kiedy w małym miasteczku położonym we włoskich Alpach szykował się na spokojną zimę z winem i pięknymi kobietami. Właśnie skończył kolejną uciążliwą misję, której omal nie przypłacił życiem. Znowu! Chyba więc zasłużył sobie na kilka miesięcy błęgiego nieróbstwa, czyż nie?

Niestety, posłaniec zapukał do jego drzwi. Tych drzwi, które miały go skutecznie odgrodzić od świata.

List, teraz skropiony słońcą morską bryzą, brzmiał następująco:

Komu, jeśli nie Tobie, mój przyjacielu, mogę powierzyć takie zadanie. Moja matka opuściła niedawno klasztor Świętej Teresy i wyszła powtórnie za mąż. Mąż

jej, księżę de Bernaldez, został wysłany z misją do Anglii wraz z nowym ambasadorem, Diegiem de Mendoza, jej krewniakiem. Sprawa jest bardzo delikatnej materii, gdyż Francuzi próbują zawrzeć nowy układ z królem Henrykiem. Trzeba ich zniszczyć za wszelką cenę! Tak twierdzi mój ojczym. Matka uparła się towarzyszyć mu do Anglii, a ja bardzo się o nią lękam. Jest taka delikatna, zaś lata spędzone w klasztorze po śmierci mego ojca nie przygotowały jej do życia na dworze królewskim. Błagam Cię więc, abys zechciał towarzyszyć mojej matce i zadbało jej wygody, gdyż muszę pozostać w pobliżu Wenecji. Moja Julietta lada dzień spodziewa się pierwszego dziecka. Wiem, Przyjacielu, że to trudne zadanie, ale nikomu nie ufam tak jak Tobie. Będę Twoim dozgonnym dłużnikiem, a już i tak mam wobec Ciebie spory dług wdzięczności.

Mikołaj złożył list i znów zapatrzył się na zimne, szare morze. Jak mógł odmówić? Prośba starego druha i opieka nad bezradną damą to jego odwieczne słabości. Odpisał więc Marcowi, że spełni jego życzenie, bo jak mógł postąpić inaczej? Dodał przy tym, że spodziewa się, iż jeśli będzie to chłopak, otrzyma na imię Nicolas, a jeśli dziewczynka - to Nicola, po czym wyruszył na spotkanie Eleny Marii Velazquez, nowej księżnej de Bernaldez.

Już wkrótce przekonał się, że jego przyjaciel nie doceniał swojej matki. Owszem, była miła i słodka, ale klasztor ani trochę nie zmiękczył jej żelaznej woli. Z determinacją zdolną obalić góry postanowiła ożenić Mikołaja z jedną ze swoich dworek, zanim wyjadą z Anglii, zaś jego protesty, iż wiedzie życie wysoce nieodpowiednie dla wykwintnych dam, ani trochę jej nie zniechęciły.

- Przy dobrej żonie usatkujeś się, Mikołaju. Stworzy ci dom jak Julietta mojemu synowi - mówiła. - Nie pragniesz mieć rodziny?

W sukurs przyszła mu morska choroba, która dopadła księżną Elenę oraz większość dam. Na szczęście, gdyż nie miał czasu, by wyteżać umysł, jak jej unikać, a zarazem planować trudną misję w Anglii!

Oficjalnie miał pełnić rolę mistrza ceremonii poselstwa hiszpańskiego, który dba o stosowne rozrywki mające olśnić Anglików i Francuzów, demonstrując zarazem hiszpańskie bogactwo, pobożność oraz siłę w obliczu wszelkich wyzwań. A ponieważ przez całe lata był wędrownym aktorem i akrobatą, miał ku temu stosowne kwalifikacje, przydatne również i w tej drugiej, tajnej misji. Miał więc nie tylko chronić księżną Elenę i jej męża, lecz przy okazji zadbać o interesy cara Rosji. Car Wasyl III od dawna handlował ze Wschodem, a teraz planował ekspansję na Zachód.

To trudna sztuczka utrzymać równowagę pomiędzy Francją, Hiszpanią, Anglią, Wenecją i Rosją, balansując na bardzo cienkiej linii. I jakie to odległe od przyjemnej zimy, którą sobie zaplanował! A jednak na myśl o nowej misji krew szybciej krążyła mu w żyłach. Treścią jego życia była przecież maskarada, w czym nikt nie był od niego lepszy. Angielska misja stanowiła wyzwanie, z jakim od dawna nie miał do czynienia, i był na nie gotowy. Poza tym, jeżeli wszystko pójdzie po jego myśli, będzie to również jego ostatnia niebezpieczne zadanie.

Z pochwy u pasa wyjął sztylet i zaczął nim balansować na dłoni odzianej w skórzaną rękawiczkę. Błysk szmaragdu zdobiącego rękojeść krył w sobie groźbę, a zarazem obietnicę.

Mikołaj podrzucił sztylet, a potem tak złapał, by ujrzeć małą lilię wrytą w naostrzonej stali. Nosił go przy sobie wszędzie na pamiątkę spotkania z osławioną Szmaragdową Lilią, skrytobójczynią, przed którą drżały europejskie dwory, politycy, bogacze i szpiedzy wszelkiej maści. Nie tylko ją bowiem spotkał, ale i pokonał, choć może bardziej dzięki uśmiechowi losu niż umiejętnościom.

Nikommu nigdy nie mówił o tej nocy w weneckim burdelu, nawet Marcowi i Julietcie. Gdyby nie ten sztylet, nie mógłby dać głowy, że to nie był sen. Poza tym wciąż nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, które wywarły na nim zielone jak szmaragd oczy. I to od pierwszej chwili, gdy ujrzał je poprzez zadymioną salę weneckiego zamtuza.

Szmaragdowa Lilia z tymi srebrzystymi włosami była rzeczywiście piękna jak anioł lub wróżka, lecz jej powab tkwił w czymś więcej niż tylko urodzie. W końcu mają ją tysiące kobiet. Rzecz kryła się w oczach, tak zimnych i przenikliwych. A jednak na ich dnie tlił się żar, którego nie sposób ugasić.

Co za głupota z jego strony, że darował jej życie, okazując litość, której ona z całą pewnością by mu nie okazała. To takie do niego niepodobne. Znana z bezwzględności Szmaragdowa Lilia nigdy mu tego nie wybaczy, że dała się wystrychnąć na dudka. Dopadnie go, kiedy będzie się tego najmniej spodziewał.

Może właśnie dlatego ją ocalił, porzucając związaną na pomiętej pościeli. Wiedział bowiem, a przynajmniej taką miał nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkają. Przecież będzie chciała odebrać swój sztylet.

Cały problem tkwił w tym, że po następnym spotkaniu jedno z nich - albo oboje - będzie gnić z grobie.

Znów podrzucił sztylet, by go złapać czubkami paków. Aż do tamtego feralnego dnia miał poważniejsze zmartwienia niż piękne, zielonookie morderczynie.

Księżna Elena wyszła tymczasem na pokład w towarzystwie dwóch dam, które pokonały już morską chorobę. Wyglądała jak pobożna hiszpańska matrona. Delikatnie przyprószone srebrem ciemnobrązowe włosy były ukryte pod wyszywanym perłami czepkiem z woalką. Na ciemnoczerwonej sukni zarzuciła czarną pelerynę, która chroniła przed lodowatym wiatrem. W rękach trzymała modlitewnik o złotonych brzegach, a na piersi połyskiwał krzyż wysadzany klejnotami. Jednak w łagodnych piwnych oczach malowała się determinacja.

Marc musiał to po niej odziedziczyć. Velazquezowie zawsze umieli postawić na swoim.

- Ach, tu jesteś, Mikołaju! - zawołała, podchodząc bliżej. - Kapitan mówi, że dziś dobijemy do brzegu.

Wskazał odległy horyzont, gdzie białe klify przeświecały przez mgłę.

- Owszem, lada moment, madame.
- Bogu niech będą dzięki. - Przeżegnała się. - To nie była przyjemna podróż.
- Nie jest to dobry pomysł, aby wyruszać w środku zimy. Księżna westchnęła.
- Zwłaszcza dla kogoś, kto przywykł do wygod na łądzie, tak jak ja! Marc

nalegał, żebym została w Madrycie i tam czekała na powrót Carlosa, ale czegoś nie rozumie. On i jego żona są zawsze razem, a ja od dawna nie zaznałam przyjemności małżeńskiego stanu. - Zmarszczyła brwi, a on już wiedział, czego może się dalej spodziewać. - Rozkosze domowego ogniska są nieocenione, Mikołaju. Gdybyś znał zalety...

Gdy wreszcie się jej pozbył, odsyłając wraz z damami pod pokład, aby skończyły się pakować, statek podpłynął do skalistego wybrzeża, którego białe klify zdawały się ich serdecznie witać.

Ciężka podróż morska nareszcie dobiegała końca, Mikołaj obawiał się jednak, że to dopiero początek jego udręki.

Rozdział trzeci

Otulona opończę Marguerite siedziała na pokładzie barki płynącej w górę Tamizy. Aby móc lepiej podziwiać widoki, zsunęła kaptur obsyty sobolim futrem. Anglicy byli tacy dumni z tej swojej małej rzeczki, wzdłuż której wznosiły się magnackie rezydencje. Eskortujący ich do Greenwich dworzanie króla Henryka raz po raz wskazywali kamienne wieże i ceglane budowle, rezydencje Carewów, Howardów i Pole'ów.

Marguerite prychnęła pogardliwie. Szkoda, że nie widzieli przepięknych, baśniowych zamków nad Loarą. Zaraz by im zrzęda mina, tym wyspiarskim pyszałkom.

Musiała jednak przyznać, że ci Anglicy byli całkiem przystojni. Jeśli wierzyć plotkom, król Henryk lubił się otaczać młodymi ludźmi, którzy tryskają humorem i energią. Eskortujący ich młodzieńcy zdawali się to potwierdzać. Wysocy, silni i żwawi, odziani byli bardzo bogato, choć oczywiście nie tak gustownie jak Francuzi. Skorzy zarówno do żartów, jak i do pochwał, potrafili z miejsca wypatrzeć ładną twarzyczkę. Każdy z nich już skłonił się jej dwornie, a przecież była jedną z mniej ważnych osób w poselstwie francuskim.

Udając, iż ogląda rzekę, śledziła kątem oka tych hożych młodzieńców. Nawet jeżeli byli przebiegli i zdradliwi, jak wszyscy mężczyźni, potrafili dobrze to ukryć. Cień podejrzliwości nie skaził przystojnych twarzy, a nuta fałszu roześmianych głosów.

Pomyślała, że jej misja będzie znacznie łatwiejsza, niż się spodziewała - albo o wiele trudniejsza.

- Panno Dumas, była już kiedyś pani w Anglii?

Obok niej usiadł na ławce jeden z angielskich dworaków, kruczowłosy Roger Tilney.

- Nie, nigdy - odparła z uśmiechem. - Byłam w Italii, ale nie tutaj. Anglia jest fascynująca.

- Proszę poczekać, aż dopłyniemy do Greenwich. Król przygotował wspaniałą niespodziankę. Każdego dnia będzie mnóstwo rozrywek od świtu do północy.

- Mnóstwo rozrywek? - Roześmiała się. - A ja myślałam, że mężczyźni mają ważniejsze sprawy na głowie.

- Nie można przez cały czas tylko pracować, zwłaszcza jeśli ma się pod bokiem takie miłe atrakcje.

Gdy przysunął się bliżej, Marguerite przekonała się, że Anglicy nawet pachną inaczej niż Francuzi. Zapach wody kolońskiej Tilneya był raczej korzenny niż kwiatowy i dominował nad zapachem wełny i skóry.

Hm, ten młody dworak zdecydowanie miał rację. Nie można przez cały czas tylko pracować. Lecz właśnie to było jej obowiązkiem. Praca przez całą dobę. Tylko raz zapomniała się na moment i od razu wszystko poszło nie tak. Ten Rosjanin wiele ją nauczył.

- Uwielbiam tańce - powiedziała. - Czy przewidziano tak frywolne rozrywki?

Tilney roześmiał się. Poprzez grubą pelerynę poczuła uścisk jego ręki na ramieniu.

- Tańce to jedna z pasji króla Henryka.

- Miło słyszeć. Dwór, na którym się nie tańczy i nie słucha wesołej muzyki, można nazwać...

- Hiszpańskim?

Gdy parsknęli śmiechem, Marguerite poczuła na sobie karcący wzrok ojca Pierre'a. Odwróciła się, nie zamierzała bowiem zwracać uwagi na jego humory.

- Słyszałam, że Hiszpanie mają za nic sprawy doczesne... Zaraz, czy wasza królowa nie jest Hiszpanką? Co sądzi o tańcach?

Tilney wzruszył ramionami.

- Królowa Katarzyna na ogół bywa wesoła. Jest też bardzo pobłażliwa, ponadto słynie z miłego uśmiechu i pogodnego usposobienia. Może sama już nie tańczy, ale nie ma nic przeciwko balom.

- Na ogół?

Tilney otworzył usta, aby odpowiedzieć, lecz nagle się rozmyślił i wskazując na brzeg rzeki, powiedział:

- Panno Dumas, proszę spojrzeć, oto pałac w Greenwich. Barka nagle zwolniła, więc Marguerite wychyliła się, aby lepiej widzieć. Pałac w Greenwich nie był jasny i pełen wdzięku jak Fontainebleau po przebudowie zaplanowanej przez króla Franciszka. Nie kryła się w nim żadna zwodnicza delikatność, niczego nie udawał. Był po prostu potężną twierdzą, domem, a zarazem symbolem władzy.

Stromy dach był szary jak niebo nad ich głowami, zlewające się z siwym dymem buchającym z kominów. Natomiast ściany były z czerwonej cegły w starym burgundzkim stylu. Zamiast przestarzałych murów i fos, wąskie okienka, połyskujące jak tysiąc czujnych oczu, spoglądały na rzekę.

- Piękny pałac - stwierdziła. - Świetne miejsce na widowiska i turnieje.

- Wzniesiono go wokół trzech dziedzińców, idealnych do gry w kręgle. Są też korty tenisowe i szranki.

- Chyba rzeczywiście jest tu bardzo wesoło - rzekła z uśmiechem. - Tańce, kręgle, tenis...

- Obawiam się, że zacznie nas pani uważać za frywolną nację! Proszę tam spojrzeć, oto kościół franciszkanów. Królowa jest ich patronką i zawsze są tutaj, aby nam przypominać o sprawach ducha.

- A także dlatego, byście się mogli natychmiast wyświadczyć w razie potrzeby?

- To też, panno Dumas, to też.

Gdy barka przybiła do brzegu, Tilney musiał dołączyć do reszty dworzan, a Marguerite poszła sprawdzić, czy Claudine de Calonne jej nie potrzebuje. Młoda

hrabina spodziewała się dziecka, więc nie najlepiej zniosła podróż. Większość czasu przesiedziała z zamkniętymi oczami, słuchając wierszy czytanych przez jedną z dam, podczas gdy druga nacierała jej skronie olejkiem lawendowym. Pomocy Marguerite potrzebowała rzadko albo zgoła wcale.

Plotki o licznych zdradach męża także nie poprawiały jej humoru. Hrabia i hrabina byli kuzynami i pobrali się bardzo młodo, mówiono jednak, że Claudine kochała męża znacznie bardziej niż on ją.

- Dotarliśmy do celu, madame - powiedziała Marguerite, po czym pomogła Claudine włożyć rękawiczki, wygładzić pelerynę i poprawić nakrycie głowy. - Już niedługo spocznie pani w wygodnym łóżku, przy kominku, z kielichem grzanego wina.

Hrabina uśmiechnęła się kwaśno.

- Boję się, że wcisną mnie do zimnego pokoju z tuzinem innych osób, a do picia będzie tylko piwo. Ci Anglicy nie mają pojęcia, co to prawdziwa gościnność!

- Będziemy więc musiały ich tego nauczyć, madame!

- Marguerite skinęła na jedną z pokojówek i obie pomogły wstać hrabinie, aby mogła dołączyć do męża. - Damy im doskonały przykład francuskich obyczajów.

- Dobrze choć, że na powitanie przysłali nam kardynała - powiedziała Claudine, wskazując dostojnika w szkarłatach, który czekał na nich w asyście tyłu mężczyzn w czerni, że wyglądało to tak, jakby się zaplątał pośród stada kruków. - A nie jakiegoś zwykłego księdza.

- Myślę, że król Henryk zna się na protokole - odparła Marguerite, przyglądając się kardynałowi. Musiał to być sam Wolsey, ten groźny, wszechmocny Wolsey, bo był korpulentny i miał długi, wydatny nos, tak dobrze znany z portretów. Nie wiedziała jednak, wszak nikt nie mógł tego wiedzieć, że niemal wszechmocny lord kanclerz już za parę lat wypadnie z łask za niezyskanie papieskiej zgody na królewski rozwód i skończy żywot w więzieniu.

Teraz jednak był u szczytu kariery. Mówiono, że potężny kardynał, jedyny człowiek, któremu król Henryk bezwzględnie ufał, nosi pod szkarłatną szatą włosienicę. Marguerite skłonna była w to uwierzyć, patrząc na jego ziemistą twarz. Wolsey nie wyglądał zdrowo, mimo to wołałaby z nim nie zadzierać. Na szczęście był zagorzałym zwolennikiem traktatu z Francją.

Gdy zeszli na ląd, Marguerite ustawiła się za Claudine. Gra wreszcie się zaczęła.

Obawy Claudine okazały się płonne, gdyż przydzielono jej wprawdzie niewielką, ale osobną komnatę na poddaszu pałacu. Sąsiadujący z nią pokój Marguerite był jeszcze mniejszy, prawie jak komórka. Mieściło się w nim ledwie łóżko i skrzynia. Mimo ciasnoty miejsce było idealne dla jej celów - przeznaczone tylko dla niej, ciche i, jak jej powiedział paź, w pobliżu znajdowała się ukryta klatka schodowa, która prowadziła do ogrodów.

Wymarzona wprost lokalizacja, jeśli wziąć pod uwagę sekretną misję Szmaragdowej Lilii.

Podczas gdy Claudine odpoczywała przed wieczornym festynem, Marguerite rozpakowała swoje kufry. Aksamitne suknie, jedwabne rękawy, satynowe hałeczki i zdobne klejnotami stroiki na głowę zostały wytrzepane, wygładzone i przełożone do skrzyni wraz gałązkami lawendy. Na samej górze umieściła brokatowe trzewiki na wysokich obcasach, koronkowe pończochy oraz szkatułkę z biżuterią i puzderko z przyborami toaletowymi.

Opróżniwszy kufer z kobiecych fatalaszków, wyjęła fałszywe dno, pod którym, owinięte w bawełnę, spoczywały sztylety oraz miecz.

Klingi zostały wykonane specjalnie na jej zamówienie w kuźni królewskiej. Były mniejsze i lżejsze, dopasowane do drobnej figury oraz sił Marguerite, idealnie wyważone, giętkie jak tancerz, a zarazem twarde jak marmur.

Ujawszy miecz, przybrała szermierczą pozę, po czym wykonała kilka szybkich pchnięć. Stał zajęczala na cichą śmiertelną nutą, po czym zapadła grobowa cisza. Co za piękna broń!

Schowała ją z uśmiechem do kufra. Niech tam czeka na stosowną porę. Następnie sięgnęła po jeden ze sztyletów, cienki i delikatny jak stołowy nóż. Został jednak tak zaprojektowany, by można było wepchnąć ostrze szybko i dyskretnie pomiędzy żebra ofiary, utaczając jedynie kropelkę krwi.

Rękojeść zdobiły drobne rubiny, które w przyćmionym świetle połyskiwały jak ślepia węża. Na moment przed oczyma mignął jej stary sztylet, ten ulubiony, z rzadkiej urody szmaragdem.

Przypomniała sobie też, jak go straciła. Przyjdzie jednak taki dzień, że go odzyska.

Uniosła spódnicę i wsunęła sztylet do futerału przymocowanego do podwiązki. Nie wolno jej teraz myśleć o tym Rosjaninie. Nie ma dla niego miejsca w jej obecnej misji, która rozpocznie się jeszcze tego wieczoru podczas powitalnego bankietu. Przedtem musi się jeszcze wykąpać i przebrać w aksamity i perły.

Czemu więc wciąż jej się wydaje, że Mikołaj Ostrowski ściga ją, gdziekolwiek by była, i to już od ponad roku? Te zimnobłękitne oczy...

Zirytowana zatrzasnęła wieko kufra i przesunęła go pod okno. Małe okienko z kryształową szybą znajdowało się tak wysoko, że aby wyrzeć na dwór, musiała wspiąć się na kufer.

Ujrzała jeden z trzech dziedzińców, o których wspomniał Tilney, z pieczołowicie zaprojektowanym ogrodem, teraz pogrążonym w zimowym śnie. Klomby w kształcie rombów i kwadratów pożółkły i wyschły, drzewa stały nagie, a fontanny umilkły. Mimo to mogła sobie bez trudu wyobrazić, że w lecie rozkwitnie tu piękny ogród z masą róż, lilii, fiołków, goździków, pachnących ziół i pnączy owijających się wokół niskich balustrad i pergoli.

Jednak ogród nie był wcale opuszczony, gdyż po białych, zwirowanych ścieżkach przechadzali się ludzie w strojach tak barwnych, że mogłyby im pozazdrościć wszystkie kwiaty. Czy to Anglicy, Francuzi, czy Hiszpanie? Z tej odległości trudno było powiedzieć, ale się dowie. I to już niedługo.

Rozdział czwarty

- Oto nowa hala bankietowa, panie Ostrowski. A tam, na drugim końcu szranków, znajduje się teatr - mówił sir Henry Guildford, królewski mistrz ceremonii, wskazując na długi drewniany budynek, kiedy spacerowali po ogrodach. Nawet o tak późnej porze, po zachodzie słońca, pierwszego dnia tej tak ważnej wizyty, wokół uwijali się robotnicy, którzy wykańczali pośpiesznie nowe budynki. - Tutaj będą się odbywały widowiska i maskarady - mówił dalej, prowadząc Mikołaja w stronę teatru. Po drodze ominęli grupę robotników budujących dwa wysokie jedwabne drzewa: głóg Tudorów i morwę Walezjuszy. - Król jest również amatorem spontanicznych przebieranek, ale nigdy nie wiadomo, kiedy to nastąpi, bez względu na to, jak precyzyjnie wszystko zaplanuję

Usta Guildforda, zaciśnięte w wąską kreskę na pulchnej twarzy, były jedyną oznaką irytacji z powodu tych „spontanicznych” popisów. Jako mistrz ceremonii miał nadzorować wszystkie rozrywki na dworze, a także dbać o kostiumy i rekwizyty oraz obsadę ról. Nie było to łatwe, gdyż jedyna osoba, na której te wymyślne pokazy miały zrobić wrażenie, wciąż wszystko zmieniała!

Mikołaj świetnie go rozumiał. Miał wystarczająco dużo kłopotów z upilnowaniem małej trupy podczas podróży, dlatego też nie zazdrościł Guildfordowi, który musiał zawiadywać całym dworem.

- To chyba wspaniałe uczucie, gdy dysponuje się dla swoich celów tak wielką przestrzenią, sir Henry - powiedział, wskazując teatr.

- Nie jest to tylko moja przestrzeń, panie Ostrowski. Musimy dzielić ją z królewskimi minstrelami i muzykami - odrzekł Guildford. - Na szczęście znalazło się dosyć miejsca na nasze rekwizyty. Dawniej trzeba je było donosić z większej odległości.

Mikołaj przechowywał swoje rekwizyty w malowanym wozie, a wśród masek i dzwonek często ukrywał niebezpieczne narzędzia do bardziej „dyskretnych” operacji. Teraz jednak pokiwał tylko głową ze zrozumieniem.

- Jesteśmy bardzo radzi, że możemy pana tu gościć, panie Ostrowski - ciągnął dalej Guildford. W jego uprzejmym tonie nie było cienia ciekawości, skąd Mikołaj, aktor i na dodatek Rosjanin, wziął się w hiszpańskim poselstwie. - Współpraca z panem będzie wielce pożądana, zwłaszcza iż pan Mendoza powiedział nam, że ma pan spore doświadczenie, jeśli chodzi o włoskie maskarady. Wie pan, wszystko, co z Italii, jest teraz w modzie.

- To prawda. Niedawno przyjechałem z Wenecji.

- Ach, ci Wenecjanie, tak bardzo lubią te swoje maskarady i festyny! Świetnie się składa! Mam tyle obowiązków, a ci głupcy, moi pomocnicy, nie są w stanie nic zrobić, jeżeli się nad nimi nie stoi przez cały czas.

- Z przyjemnością służę pomocą, sir Henry. - Mikołaj z doświadczenia wiedział, że często właśnie aktorzy działający na dworach znali najwięcej sekretów, różne tajne plany i zamiary. Gdyby mógł robić to, w czym był najlepszy, czyli zająć się którymś z widowisk, miałby o wiele łatwiejsze zadanie.

- Król zażyczył sobie każdego wieczoru innej maskarady. Byłbym wdzięczny, gdyby mógł pan w to się włączyć, a przede wszystkim zająć się aktorami. - Sir Henry potrząsnął głową, mruczając coś pod nosem. - Wszystkie damy chciałyby wystąpić, ale żadnej nie chce się pracować. Plotkują tylko i chichoczą, zamiast uczyć się ról i ruchu scenicznego.

Mikołaj roześmiał się.

- Mówią, że dobrze radzę sobie z damami, sir Henry.

- Och, o to mogę się założyć. Zawsze są bardziej chętne, kiedy widzą przystojnego mężczyznę. No tak, a oto i nasz teatr. Mamy jeszcze trochę czasu, żeby się rozejrzeć, zanim do końca się ściemni.

Sir Henry otworzył wysokie podwójne wrota nowego teatru. Były z drewna, rzeźbione w kiście winogron i pęki kwiatów. U samej góry widniały królewskie róże i kraty Tudorów, owoc granatu królowej Katarzyny oraz wiązka strzał Aragonów.

Patrząc na nie, Mikołaj zaczął się zastanawiać, jak długo będą tu wisiały, jeśli plotki o pewnej pannie Boleyn oraz rozpaczy króla z powodu braku syna okażą się prawdziwe. A także jakie kolosalne kłopoty spowoduje usunięcie tych symboli. Jak na razie jednak granaty tkwiły pewnie na swoim miejscu, wieszcząc długie, udane małżeństwo oraz ugruntowaną dynastię.

Sir Henry wprowadził Mikołaja do wnętrza teatru, gdzie wciąż pachniało trocinami i świeżą farbą. Teatr był piękny i całkiem różny od tych, w których Mikołajowi zdarzyło się już występować. Długi, o strzelistych sklepieniach, oświetlony mnóstwem migoczących pochodni, sprawiał wrażenie niebiańskiego przybytku. Jasnoblękitny sufit miał kolor letniego nieba, spod którego zwisała przejrzysta tkanina wymalowana w złote gwiazdy, księżycy oraz znaki zodiaku.

Wzdłuż ścian ulokowano piętrowe łóżka i siedzenia, zaś na drugim końcu sali wielki łuk wyznaczał proscenium. Robotnicy kończyli rozstawiać popiersia oraz posągi z terakoty.

- Co za wspaniała budowla, sir Henry - powiedział Mikołaj z podziwem. - Mówi pan, że to tylko tymczasowe?

- Och, z pewnością znajdziemy dla niej inne przeznaczenie po wyjeździe Francuzów, to jednak tylko fałszywy blichtr, wszystko drewno i pozłota.

Zaprowadził Mikołaja pod łuk, gdzie stało kilka kufrów. Zwoje barwnego atlasu, poduszki i różne ozdoby walały się na podłodze. Sir Henry zaczął czegoś szukać w tym lśniącym bałaganie, a tymczasem gdzieś z mroku zabrzmiał chór

anielskich głosów. Srebrzysty dźwięk rósł i potężniał, wznosząc się ku niebu. Mikołaj zamarł. Był oczarowany.

- To chór z królewskiej kaplicy - wyjaśnił sir Henry. - Ma dać koncert po dzisiejszym bankiecie. Na szczęście nie ja za to odpowiadam. No, nareszcie znalazłem! - Wyciągnął zwój niechlujnie związany wstążką i wręczył go Mikołajowi. - Oto spektakl, który ma się odbyć po wielkim turnieju królewskim, za kilka tygodni. Jeśli pan pozwoli, panie Ostrowski, mianuję pana reżyserem.

Mikołaj przeczytał szybko program.

- „Zielony Zamek”?

- Tak, „Zielony Zamek”. Rzecz może i stara, lecz wciąż ciesząca się największym powodzeniem na naszym dworze. I, jak pan widzi, są w niej role aż dla szesnastu dam.

- Czy już rozdano role?

- Jeszcze nie. Lady Fitzwalter i Lady Elizabeth Howard muszą wystąpić na zmianę, oczywiście. A także panna Anna Boleyn, która przynajmniej umie śpiewać i tańczyć. Jest też jedna wyjątkowo urocza dama wśród Francuzów. Istny anioł, jeśli wierzyć panu Tilneyowi. Może byłby to pożądany dyplomatyczny gest, gdybyśmy ją obsadzili w roli Piękna. Zostawiam to jednak panu, panie Ostrowski. Ja muszę popracować nad „Groźną fortecą”, do której, na szczęście, potrzeba tylko sześciu dam. Powodzenia i stokrotne dzięki! Jutro rano przyślę panu paru moich ludzi do pomocy. - Klepnąwszy jowialnie Mikołaja w ramię, sir Henry oddalił się pośpiesznie do innych obowiązków.

Mikołaj ze smętnym uśmiechem zaczął się bawić zwojem pergaminu. Piętnaście angielskich dam dworu i jedna francuska anielica! Gotowe sobie wydrapać oczy, byle dostać najlepszą rolę. Za każdą z nich stoi też jakiś możny ród oraz jakaś frakcja.

Marc, pomyślał z westchnieniem, serdeczny druhu, mam nadzieję, że docenisz to, co muszę robić w imię przyjaźni!

Po kąpeli Marguerite narzuciła haftowaną koszulę z błyszczącej satyny, a następnie włożyła zieloną aksamitną suknię z rękawami o złotym spodzie oblamowanymi sobolowym futrem. Po raz ostatni spojrzała w lustro, po czym przeszła do komnaty Claudine, by wraz z resztą poczekać na biskupa Grammonta oraz jego świtę, do której należał również mąż Claudine.

Marguerite zauważyła, że odpoczynek dobrze zrobił hrabinie. Nie była już taka blada, wydawała się nawet leciutko zaróżowiona w sukni z ciemnopurpurowego jedwabiu, ze stanikiem luźno zasznurowanym na wydatnym brzuchu. To dobrze, pomyślała. Jeżeli hrabina będzie głównie przebywać w swoim pokoju, zyskam więcej czasu, by się kręcić po królewskim dworze.

Pokojówka skończyła czesać rude włosy Claudine i poprawiła sztywny złoty stroik na głowie. Stroik Marguerite miał nowszy, lżejszy fason, był z zielonego aksamitu obszytego drobnymi perełkami. Rozpuszczone włosy opadały na plecy srebrzystą falą pod krótkim, złotym welonem.

Na widok Marguerite ubranej w tak wykwintną kreację, Claudine zmrużyła oczy i powiedziała:

- Jak młodo pani wygląda, panno Dumas.

- Dziękuję - odparła Marguerite, wygładzając rękawy. - Pewna jestem, że zawstydzimy Anglików w tych ich siermiężnych strojach!

- A jeszcze bardziej Hiszpanów - wtrącił mąż Claudine, który właśnie wszedł do komnaty ze swą wystrojoną eskortą.

- Michel mówi, że co do jednego ubrani są na czarno, zupełnie jak stado kruków!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, po czym ustawili się w orszak, aby się udać na audiencję do królowej Katarzyny. Tam, rzecz jasna, nie będzie już można żartować sobie z Hiszpanów.

Marguerite była bardzo ciekawa spotkania z córą potężnych władców Hiszpanii, Izabeli i Ferdynanda, która od niemal dwudziestu lat była królową Anglii.

Słysnęła z wielkiej pobożności i uczoności, cieszyła się też miłością poddanych, jednak jako ciotka cesarza Karola stanowiła poważne zagrożenie dla francuskich interesów na tej wyspie.

Nie przedstawiała się jednak aż tak imponująco, jak można by się spodziewać, gdy z łaskawym uśmiechem w nienaganej francuszczyźnie witała przybyłych. Wyglądała raczej jak dostojna, pogodna matrona w średnim wieku, niezbyt wysoka i dosyć obfita w kształtach po licznych ciążach, z których doczekała się tylko jednego żyjącego dziecka, królowy Marii.

Jej jasne włosy, teraz już przyprószone siwizną, ukryte były pod czepkiem z pereł i muślinowym welonem. Miała na sobie elegancką suknię z brokatu w czarno-czerwony wzór i krzyż wysadzany rubinami i perłami, a jednak cały ten przepych nie zdołał zamaskować głębokich zmarszczek na okrągłej twarzy. - Jak to miło z pańskiej strony, ekscelencjo - zwróciła się do biskupa Grammonta - iż zechciał pan swą obecnością rozproszyć nudę naszej zimy. - Wyciągnęła rękę. - Na czas waszego pobytu zaplanowaliśmy liczne rozrywki.

- Dziękujemy, Wasza Królewska Mość, za tak łaskawe powitanie - odpowiedział biskup. - Nasze dwa narody od zawsze były połączone węzłem najgorętszej przyjaźni.

Po krótkiej wymianie uprzejmości Grammont podał Katarzynie ramię, by następnie poprowadzić orszak do galerii o ścianach obwieszonych gobelinami, które przedstawiały sceny z życia Dawida. Drogę oświetlały pochodnie niesione przez paziów w zielono-białych strojach.

Marguerite ustawiła się za Claudine, i nagle usłyszała za sobą cichy głos:

- Czy mogę pani towarzyszyć, panno Dumas?

Odwróciła się raptownie, by ujrzeć za sobą odzianego w czerń ojca Pierre'a LeBecque'a, który uprzejmie podsuwał jej łokieć. Patrzył na nią wyczekująco, a oczy lśniły mu w przyćmionym świetle.

Rozejrzała się pośpiesznie, ale nikt nie przyszedł jej w sukurs. Lada moment mieli ruszyć, a ona nie mogła przecież zostać z tyłu.

Skinęła więc głową i ujęła go pod sztywne i kościste ramię. Czemu był taki spięty? Czyżby się czegoś bał?

Nie miała jednak zbyt wiele czasu, by zastanawiać się nad problemami ojca Pierre'a, gdyż orszak wkroczył do olbrzymiej sali bankietowej, gdzie cały świat zdawał się czekać już w połyskliwym ordynku.

Marguerite osłupiała. To jakieś zakłète królestwo, jak z bajek, które opowiadał jej ojciec, kiedy była małą dziewczynką! Kraina bogów i boginek, potężnych czarownic i księżniczek, tak inna od tej solidnej, ceglanej Anglii na zewnątrz. Roger Tilney powiedział jej, że halę tę, długą na trzydzieści cztery jardy i szeroką na dziesięć, wybudowano specjalnie na to spotkanie, i była w stanie w to uwierzyć. Ściany z pozłacanymi gzymsami oraz podłogi tak wymalowano, aby imitowały marmur, zaś niski strop o grubych belkach przysłonięto czerwoną tkaniną wyszywaną w róże i owoce granatu. Spod sufitu zwisały barwne chorągwie.

Bogate, lśniące szaty zgromadzonych potęgowały jeszcze to olśniewające wrażenie. Większość Hiszpanów rzeczywiście ubrana była na czarno lub w kolorze czerwonego wina czy ciemnego bursztynu, tworzyli jednak doskonałe tło dla Anglików w głębokich fioletach, lśniących srebrach, soczystych błękitach i turkusach, karminowej czerwieni oraz słonecznej żółci.

Na końcu sali wznosił się triumfalny łuk z wymalowaną sceną... Och nie! To niemożliwe!

A jednak to możliwe. Malowidło przedstawiało zwycięstwo króla Henryka, który w 1513 roku po czteromiesięcznym oblężeniu twierdzy Therouanne zmusił Francuzów do kapitulacji.

Wniosek z tego, że ten angielski monarcha nie był aż tak wielkim dyplomatą. Zachwyty Marguerite w jednej chwili przerodził się w zimny dystans. Ta bitewna scena była jej bardzo potrzebna, gdyż przypominała, po co się tu tak naprawdę

znalazła. Tak ona, jak i całe francuskie poselstwo. Byli tu po to, by uchronić Francję przed kolejną klęską.

- Witamy, witamy! - Donośny głos przebił się ponad gwar śmiechów i rozmów, odbijając się echem od ścian. Tłum się rozstał. - Ekscelencjo, z miłości dla naszego brata, króla Franciszka, witamy na naszym dworze.

W tym momencie ukazał się król, bo nie mógł to być nikt inny jak tylko sam Henryk Tudor. Podniósł się z tronu ustawionego na podwyższeniu i zszedł po schodkach. Wysoki, o szerokich barach i potężnym torsie, odziany w złoty płaszcz obszyty brylantami i gronostajowym futrem, wyglądał, w przeciwieństwie do królowej Katarzyny, tak właśnie, jak to sobie Marguerite wyobrażała. Na złotorudych włosach, obciętych krótko na modłę francuską, miał czapkę ze szkarłatnego aksamitu, a kwadratowe oblicze otaczała krótka broda.

Witając Francuzów, wręcz promieniał z radości. Marguerite dostrzegła jednak, że nic nie mogło ujść uwagi jego małych, błyszczących oczu. Prześliznęły się również po niej - i nagle otworzyły się szerzej.

Gdy wykonała głęboki dyg, król obdarzył ją uśmiechem. A więc jego słynna skłonność do kobiet to prawda! Czy jednak prawdą było również to, że obecnie świata nie widział poza panną Boleyn?

Która to? - zastanawiała się Marguerite, przyglądając się damom dworu. Nie dostrzegła wśród nich żadnej, która mogłaby konkurować z jej urodą, ale będzie jeszcze miała dosyć czasu, aby poszukać tej Anny Boleyn. Tymczasem posadzono ich za długim stołem po prawej stronie sali. Hiszpanie zasiedli po lewej, zaś król Henryk poprowadził królową na podwyższenie, gdzie zajęli miejsce przy stole wraz z biskupem Grammontem i ambasadorem Mendozą.

Stoły nakryte były obrusami z białego adamaszku haftowanego w róże i burbońskie lilie, a ławy wyścielono miękkimi poduszkami ze złotego aksamitu. Pośrodku stołu znajdowała się szczerozłota solniczka z wrytymi inicjałami H i K. Przed każdym biesiadnikiem umieszczono mały bochenek białego chleba owinięty

w wyszywaną płócienną serwetkę oraz srebrny kielich z wytrawnym alzackim winem. Po chwili zjawiała się służba, niosąc złote półmiski z dziczyzną, kapłonami, przepiórkami, skowronkami i węgorzami, ciastem pomarańczowym oraz pieczonymi minogami - ulubioną potrawą króla Henryka. Na koniec, wśród gromkich oklasków, ustawiono przed monarchą pieczonego pawia przybranego we własne pióra.

Z ukrytej za jednym z gobelinów galerii popłynęła skoczna melodia na lutnie, flety i piszczałki. Wokół rozbrzmiały ożywione rozmowy. Skubiąc kawałek piernika ze złotym listkiem, Marguerite nieuważnie słuchała, co mówi do niej ojciec Pierre. Otaczali ją ludzie, których będzie musiała bliżej poznać, przed którymi będzie musiała się mieć na baczności i których, być może, będzie musiała zlikwidować. Ten wieczór był więc dla niej okazją, by po raz pierwszy rzucić okiem na armię przeciwnika.

Zdawała sobie sprawę, że niewiele się dowie tej nocy. Wszyscy byli w świetnych humorach i mimo lejącego się strumieniami wina bardzo się pilnowali. Oni także nie wiedzieli jeszcze, czego mogą się spodziewać, i nie byli w stanie ocenić prawdziwych sił wroga. Za kilka dni wszyscy zasiądą do negocjacji, a wieczorami rozpoczną się festyny i maskarady. Gdy flirty i animozje znajdą się w pełnym rozkwicie, łatwiej będzie wysondować nastroje i wykorzystać ludzkie namiętności, takie jak zauroczenie, pożądanie, miłość czy altruizm, a także niechęć, wstręt, nienawiść, zawiść czy chciwość.

Tej nocy mogła tylko obserwować i zbierać bezcenne okruchy plotek.

Akrobata w pstrokatej liberii i pasiastych pantalonach wykonał serię salt do tyłu w przejściu pomiędzy stołami. Za nim przemaszerowała rozdokazywana trupa karłów, która prowadziła tresowane psy. Paziowie dolali wina i znów wnieśli półmiski pełne wykwintnych przysmaków. Marguerite śmiała się z błazeństw, próbowała wszystkiego, co przed nią postawiono, ale nie przestawała obserwować.

W miarę upływu czasu rozmowy i śmiechy stawały się coraz głośniejsze, ona jednak wciąż miała oczy i uszy otwarte.

Zauważyła między innymi, że król Henryk nie okazywał cienia niechęci wobec królowej. Troszczył się, by miała pełny puchar i by podano jej najlepsze kęski dziczyzny oraz kapłona. Śmiał się szczerze z błazeńskich żartów i słuchał uważnie, co mu Wolsey szeptał do ucha.

Królewna Maria, kandydatka na narzeczoną księcia Orleanu, drobna jak na swój wiek, blada i jasnowłosa, siedziała obok matki w strojnej sukni z białego brokatu. Sprawiała wrażenie spokojnej i nieśmiałej. Rozmawiała tylko z królową i hiszpańskim ambasadorem w nienagannym kastylijskim dialekcie.

Siedzący po przeciwnej stronie Hiszpanie nie zachowywali się tak hałaśliwie jak Anglicy, ale nie można też powiedzieć, aby byli ponurzy. Rozmawiali i żartowali jak wszyscy wokół, a ich konwersacji przewodziła ładna kobieta w wieku królowej Katarzyny o ujmującym uśmiechu i łagodnych piwnych oczach. Marguerite zobaczyła, jak dama owa, śmiejąc się cicho, wyciąga puchar do siedzącego obok mężczyzny, żeby jej dolał.

Gdy ów wychylił się do przodu, znalazł się w kręgu bursztynowej poświaty kandelabru. Jego długie włosy, złote jak słońce latem, opadły niczym kurtyna, a on jednym płynnym ruchem przerzucił je przez ramię, odsłaniając profil jak z antycznej kamei.

Marguerite zamurowało. Potrząsnęła głową, pewna, że śni! Albo że wypiła zbyt wiele alzackiego wina i ma przywidzenia. Zacisnęła mocno powieki, lecz kiedy je otworzyła, on nadal tam był. Jej Rosjanin! Piękny i roześmiany jak tamtej nocy w Wenecji. Upadły anioł, którego poprzysięgła zgładzić, jeśli ich drogi jeszcze raz się skrzyżują. I oto był tam, oddalony zaledwie o kilka kroków, w ostatnim miejscu, w którym mogłaby się go spodziewać.

Odstawiła kielich z takim impetem, że wino przelało się przez brzeg, ochlapując jej palce. Na białym adamaszku wykwitły krwistoczerwone plamy.

- Ta bezczelna świnia! - mruknęła gniewnie.

- Źle się pani czuje, panno Dumas? - zapytał z troską w głosie ojciec Pierre.

- Nie, wszystko w porządku, dziękuję. - Potrząsnęła głową. - Jestem po prostu zmęczona po podróży.

- Może wypije pani jeszcze trochę wina? To powinno pomóc - powiedział, przywołując jednego z paziów.

Gdy chłopak napełniał jej kielich, Marguerite ukradkiem obserwowała Mikołaja Ostrowskiego. Miała wrażenie, że jej jeszcze nie zauważył. Siedział przy stole, śmiejąc się i żartując z kompanami. Pilnował przy tym, by siedząca obok dama miała najlepsze frykasy na talerzu.

Był zupełnie inaczej ubrany niż w Wenecji! Nikt by się nie domyślił, że tam, na placu Świętego Marka, nosił błazeński strój. Teraz miał na sobie wykwintny kubrak z ciemnoczerwonego jedwabiu obszyty złotą taśmą, a w uchu połyskiwała olbrzymia perła.

Jaką grę prowadził?

Będzie musiała się tego dowiedzieć. I to szybko, zanim on ją odnajdzie.

Rozdział piąty

Gdy zamek pogrążył się we śnie, Marguerite wymknęła się z komnaty. Do rana musiało być już blisko, bo uczta i recital ciągnęły się przez wiele godzin. A i później niełatwo było wyperswadować setkom rozbawionych dworzan, by wreszcie udali się na spoczynek! Teraz jednak wokół panowały ciemności i tylko czasem jakiś paź przemknął bezszelestne korytarzem albo rozległ się cichy szept pokojówek Claudine.

Zbiegła po wąskich schodach oświetlonych pochodniami. Brokatowe trzewiczki na obcasach zamieniła na miękkie skórzane ciżmy, zdjęła halki, a spódnice podwinęła pod kaftanem, żeby jej nie zawadzały.

Przekupiony paź powiedział jej, gdzie Rosjanin miał swoją kwaterę. Znajdowała się w skrzydle pałacu przy innym dziedzińcu, za apartamentami Hiszpanów. Po wyjściu na dwór Marguerite otuliła się szczelniej peleryną, naciągnęła kaptur i pośpieszyła krętą ścieżką, tak zatłoczoną tego popołudnia, a teraz zupełnie pustą.

Przyśpieszyła kroku. Pora działać.

Nie spodziewała się, że tak szybko spotka Mikołaja Ostrowskiego. Ba, sam wpadł jej w ręce niczym dojrzały owoc. Obserwowała go w trakcie uczty i później, podczas recitalu w teatrze. Nie spuszczała zeń wzroku, sama nie będąc przez niego widziana.

Zachowywał się tak nieostrożnie, śmiejąc się i żartując pośród wesołej kompanii! Jak to możliwe, że mimo ciągłego ryzyka udało mu się przeżyć aż tyle lat? Słyszała, że świetnie sobie radził na pełnych intryg dworach Wenecji, Mantui, Neapolu czy Madrytu. Mimo to zdawał się nie zauważać grożącego mu niebezpieczeństwa.

Doskonale jednak wiedziała, że gdyby naprawdę był tak nieostrożny, już dawno by nie żył. Tak bardzo byli do siebie podobni pod wieloma względami. Mieli

za cały oręż jedynie inteligencję, urodę, sztylet i... zdolności aktorskie. W jego oczach nie dostrzegła jednak czujnego błysku świadczącego o ciągłym napięciu, które ona wciąż odczuwała. A przecież obserwowała go uważnie przez cały wieczór.

Koniec końców uznała, że naprawdę jej nie zauważył, miała więc nad nim przewagę. Szczerze mówiąc, rzadko trafiało jej się tak łatwe zadanie. Już niedługo będzie po wszystkim. Przysadziste, pogrążone w głębokim śnie ceglane skrzydło zamku, gdzie kwaterowali Hiszpanie, zamajaczyło tuż przed nią. -

Zwolniła kroku, gdy okrążała marmurową fontannę. Faun na postumencie zdawał się spoglądać na nią znacząco - jedyny świadek, gdy wyjmowała sztylet przypasany do uda. Cel był już tak blisko...

Nagle zza fontanny wysunęła się ręka i zacisnęła się wokół jej ramienia jak stalowa obręcz. Przerazona Marguerite chciała krzyknąć, lecz druga dłoń zatkała jej usta. Ktoś zręcznym ruchem chwycił ją na ręce i przycisnął do twardej piersi odzianej w miękki jedwabny kaftan.

Zaczęła się wyrywać, wierzgać nogami, aż wreszcie udało jej się wyszarpnąć rękę i dźgnąć napastnika sztyletem. W nocnej ciszy rozległ się trzask rozdieranej materii, nie poczuła jednak oporu, czyli ostrze nie zagłębiło się w ciało.

- Do diaska! - zaklął cicho napastnik, po czym ścisnął jej nadgarstek tak mocno, że sztylet wysunął się ze zdrtwiałych palców i upadł na ścieżkę.

No tak! Powinna była się domyślić! To ten Rosjanin. Czyli jej podejrzenia okazały się słuszne. Nie był wcale tak nieostrożny, jak można by na pozór sądzić. Wyszło więc na to, że to ona zgrzeszyła brakiem ostrożności.

Zaczęła się wściekle rzucać i szarpać jak dziki zwierz w stalowym potrzasku.

- Dureń! - wybełkotała w rękę Mikołaja.

- Paryska megiera! - odpłacił pięknym za nadobne i zamknął ją w uścisku.

W jednej chwili stanęła jej przed oczyma tamta noc w Wenecji. Twardy, umięśniony tors i brzuch, zwinne i wyćwiczone, choć z pozoru rozleniwione ciało.

Jedynym jej orężem przeciwko tej ukrytej sile mogły być prędkość i zaskoczenie, lecz kompletnie pokpiła sprawę.

Po raz drugi go nie doceniła. Nie wolno jej powtórzyć tego błędu!

Jeśli, oczywiście, będzie miała na to kiedykolwiek szansę. Przecież może poderżnąć jej gardło, a ciało rzucić na żer angielskich kruków.

Ta myśl sprawiła, że resztką sił spróbowała się wyrwać, był jednak zbyt sprytny, by się jej powiodło.

- A więc znowu się spotykamy, Szmaragdowa Lilio - powiedział drwiącym tonem, co jeszcze bardziej ją rozwścieczyło. - A może powinienem powiedzieć: panno Dumas?

- Możesz sobie mówić, jak ci się podoba - wysapała, gdy wreszcie odetkał jej usta. - Zawsze miałam cię za barbarzyńcę. Za wstrętnego ruskiego świntucha! Cmoknął szyderczo.

- Panno Dumas, sprawia mi pani przykrość, a tyle się mówi o słynnym uroku francuskich dam. Co za przykre rozczarowanie.

- Szkoda mojego uroku dla kogoś takiego jak ty. Po co rzucać perły przed moskiewskie wieprze? I tak ich nie docenią.

- Och, jakże mnie ranisz, moja słodczy. - Odwrócił ją i pchnął tak, iż poczuła za plecami zimną ceglana ścianę.

Jego sylwetka, oświetlona księżycową poświatą, zarysowała się wyraziście na tle czarnego nieba. Złociste włosy lśniąco opadały na jedno ramię. Twarz Mikołaja tonęła w mroku, więc nie mogła nic z niej wyczytać, ale oddech muskający jej policzek był chłodny, a świeży, letni zapach pobudzał zmysły. Choć nie miał żadnego okrycia dla ochrony przed zimnem, jego ciało w cienkich jedwabiach było gorące.

Zadrzała, bo lęk nagle wziął górę nad gniewem.

- To raczej ja powinienem cię przeklinać, moja panno - rzucił lekkim tonem, jakby prowadzili salonową konwersację. - W końcu to pani próbowała mnie zabić, i to już po raz drugi, jeśli się nie mylę.

- Zabrałeś coś, co jest moją własnością.

- Masz na myśli ten piękny sztylet? Teraz należy do mnie. To mój łup, zdobyłem go pewnej pamiętnej nocy w Wenecji.

Przytłoczona jego bliskością i siłą, znowu próbowała się wyrwać. Czuła, że coraz bardziej się w nim zatracza, po prostu tonie... Jakże nienawidziła tego uczucia!

- Powinieneś był wtedy zginąć.

- Może i tak, ale wygląda na to, że zostały mi jeszcze ze dwa lub trzy życia.

Widocznie los ma dla mnie inne plany. Lub raczej dla nas obojga, skoro znowu się spotykamy, choć szanse na to były tak nikłe.

- Los? Wierzysz w zrządzenie losu?

- Oczywiście. A ty nie?

- Wierzę w zręczność i ciężką pracę. Każdy jest kowalem swojego losu, mój panie.

- Ach, więc teraz już „mój panie”, a nie ruski wieprz! Czyżbym urósł w twoich oczach?

Spojrzała na niego w świetle księżyca. Nadal był tak samo przystojny z tym kpiącym uśmiechem na twarzy i błyskiem w błękitnych oczach. Wszystko w nim było idealne - złote włosy i szczupłe, wyćwiczone ciało. Wiedziała jednak, że uroda była tylko narzędziem, bronią jak każda inna, którą można się świetnie posługiwać.

Zazwyczaj taka broń nie robiła na niej wrażenia. Była z zasady nieczuła na męski dotyk, choćby miała do czynienia z adonisem. Czemu więc teraz drżała jak liść w uścisku Mikołaja, a myśli kłębiły jej się w głowie? Pora na szybki odwrót, aby przegrupować siły.

Przywarła do ściany, ale on też się przysunął, a jedwabiste włosy muskały jej szyję i obnażony dekolt nad aksamitnym stanikiem.

- Szanuję godnego przeciwnika - powiedziała.
- Uważasz mnie za godnego przeciwnika?
- Dwukrotnie mnie pokonałeś, co dotąd nie udało się nikomu. Jesteś silny i

przebiegły, panie, ale nie uda ci się po raz trzeci.

Uśmiechnął się szeroko.

- Rozumiem, że podczas pobytu w Anglii będę musiał mieć oczy z tyłu głowy.
- Dniem i nocą, mój panie.
- To uczciwe ostrzeżenie, panno Dumas.

Stali przez chwilę w milczeniu, patrząc sobie w oczy. Marguerite pierwsza odwróciła wzrok i spojrzała na kamiennego fauna, który zdawał się szydzić z jej niemiłej przygody.

- Co tu właściwie robisz? - zapytała. - Pracujesz teraz dla Hiszpanów? Skończyłeś swoją misję w Wenecji?

Jego niski, chrapliwy śmiech przejął ją do żywego.

- Musi pani wiedzieć, że pracuję na własny rachunek. Podobnie jak pani. A jeśli chodzi o to, co robię w Greenwich... No cóż, muszę mieć jakieś tajemnice, czyż nie?

Tajemnice? Życie jest jedną wielką tajemnicą, a jej życie polegało na pielęgnowaniu własnych tajemnic i odkrywaniu cudzych, szczególnie tych głęboko ukrytych. Dlatego dotrze w końcu do jądra tajemnicy Mikołaja.

On tymczasem nachylił się tak, że zburzył oddechem loczki na jej skroniach, i jakby czytając w jej myślach, powiedział:

- Moja droga, pewne rzeczy są tak głęboko ukryte, że nawet ty się do nich nie dogrzebiesz.

- Sekrety to moja specjalność - wyszeptała. - Nie spotkałam jeszcze takiego mężczyzny, który zdołałby ukryć coś przede mną. Zawsze wywiązuję się ze swojego zadania.

- Ach tak, ale ja nie jestem jak inni mężczyźni, panno Dumas. - Złożył przelotny pocałunek na jej policzku. - Przyznam, że z niecierpliwością wyglądam kolejnego starcia. Do zobaczenia!

Dopiero wtedy cofnął ręce powolnym, pieszczotliwym gestem, po czym roztopił się w mroku. Gdyby nie pałący ślad po pocałunku, Marguerite mogłaby pomyśleć, że go tu nigdy nie było.

Rozejrzała się wokół, ale nigdzie nie dostrzegła jasnych włosów i czerwonego kaftana. Była absolutnie sama w zimnym ogrodzie.

- Łotr! - syknęła i nagle uszły z niej wszystkie siły. Miała ochotę osunąć się na ziemię i rozpłakać się albo bić pięściami w wyżwirowaną ścieżkę, aż zaczną krwawić!

Nie czas jednak na takie dziecinne popisy. Łzy nie przyniosą upragnionej satysfakcji, bo nie takiej zemsty szukała. Schowała sztylet i pośpieszyła do swojego pokoiku.

Zaraz nastanie nowy dzień. Nowa szansa, by dopaść Rosjanina i przynajmniej odzyskać sztylet ze szmaragdem.

Tym razem Szmaragdowa Lilia nie zawiedzie.

Po zamknięciu drzwi do swojego pokoju, Mikołaj zasunął je ciężką skrzynią. Szmaragdowa Lilia nie zwykła rzucać słów na wiatr. Prędzej czy później zjawi się po swój sztylet, a wtedy narobi hałasu, chyba że czarcim sposobem wpłynie przez komin, czemu zresztą wcale by się nie zdziwił.

Ta filigranowa Francuzka była inna niż wszystkie znane mu kobiety. Mimo delikatnej, wręcz anielskiej urody, okazała się prawdziwą czarownicą. Wiedźmą ze strasznych bajek, którymi w dzieciństwie karmiła go niańka.

Może jednak zwykła pokazywać pazury tylko przy świetle księżyca, bo na uczcie była uśmiechnięta i czarująca nawet dla tego skwaszonego klechy, który siedział obok niej. Wszyscy mężczyźni nie mogli oderwać od niej oczu. On sam zresztą też, choć nie pokazywał tego po sobie. Udawał, że jej nie widzi; pozwolił jej

poczuć się bezpiecznie, choć tak naprawdę zauważył ją, ledwie wkroczyła do sali z francuskim orszakiem.

Nie mógł jej nie zauważyć, bo zdawała się spowita srebrzystą poświatą. Jego Szmaragdowa Lilia. Kobieta, która roznieciła w nim pożądanie, a zaraz potem próbowała go zamordować.

Wiedział, że będzie go szukać. Mówiono przecież, że nie miała litości dla wrogów Francji. Ot, choćby pan Etampes, który próbował zostać podwójnym agentem dla Hiszpanii! Co za groteskowy koniec. A Mikołaj zrobił jej afront, bo ośmielił się przeżyć.

Jednak przez te miesiące, które upłynęły od tamtej nocy w Wenecji, zdążył zapomnieć, jak potężnym narkotykiem była jej obecność. Egzotyczne perfumy, zimne światło w jej oczach były jak mocne wino, upajające i słodkie. Będzie musiał być na przyszłość bardziej ostrożny i znaleźć sposób, by utrzymać bezpieczny dystans. W przeciwnym razie skończy jak ten nieszczęsny Etampes, signor Farcinelli z Mediolanu... długo by wyliczać.

Roześmiał się. Nagle zrobiło mu się lekko na duchu. Zawsze cenił równą walkę, a Szmaragdowa Lilia albo, jak kto woli, Marguerite Dumas, była doskonałym przeciwnikiem. Mimo drobnej budowy trzeba było sporej siły, by ją przytrzymać i obronić się przed kopniakami i pazurkami. Wiele wysiłku kosztowało go też udawanie, że nie czuje jej miękkiego ciała, gdy ją trzymał w ramionach.

Rozpiął kaftan i rzucił wraz z koszulą na łóżko. Chłód bijący z otwartego okna studził twarz i nagi tors. Słońce wyglądało już zza horyzontu, a złotoróżowa poświata zapowiadała pogodny dzień.

Będzie musiał napisać do Marca i podziękować mu za to, że go tu wysłał. Angielska eskapada nagle wydała mu się niezwykle ciekawa i obiecująca. Kto wie, co jeszcze przyniosą nadchodzące dni...

Rozdział szósty

Pochyliła się nad robótką, udając, iż jest całkowicie pochłonięta haftowaniem maleńkich kwiatuszków na niebiesko-żółtym jedwabiu. Królowa Katarzyna zaprosiła Claudine oraz jej damy do prywatnych komnat, podczas gdy król wraz z panami prowadził „nudne” rozmowy w sali narad.

Marguerite była jednak pewna, iż tutaj działy się rzeczy znacznie ciekawsze niż wokół króla. Mężczyźni, z tymi ich prymitywnymi wybiegami, zawsze pewni siebie i zwycięstwa, mogliby się wiele nauczyć na temat intryg od swoich pań, których łagodne uśmiechy i słodkie pochlebstwa działały skuteczniej niż najostrzejsze sztylety.

Królowa Katarzyna siedziała przy kominku w rzeźbionym, wyściełanym poduszkami fotelu, wykańczając batystową koszulę przeznaczoną dla króla. Od pierwszych dni małżeństwa sama szyła mu koszule i haftowała na nich czarny szlak, więc teraz tym bardziej nie zamierzała z tego zrezygnować. U jej stóp swawoliła ukochana małpka w błękitnym kubraczku, a pstre papużki szczebiotały w klatce pod oknem. Ich głosy mieszały się z szeptami i cichym śmiechem dam, trzaskiem płomieni oraz dźwiękami lutni, na której grała ochmistrzyni królowej, Maria de Salinas.

Rozmowa obracała się wokół spraw związanych z modą, gospodarstwem, oczekiwanym dzieckiem Claudine oraz edukacją królewny Marii. W sumie nic przydatnego, ale Marguerite wiedziała, że cierpliwość popłaca.

Wbiła igłę w cienki biały materiał, wyszywając kolejny płatek bławatka. Jeden ścieg, drugi, potem trzeci, i już niedługo wzór będzie kompletny. To samo dotyczyło słuchania. Nieistotne na pozór szczegóły układały się stopniowo w spójną całość.

- Jakie to śliczne, panno Dumas - odezwała się lady Penelope Percy, jedna z dam królowej, demonstrując swoją robótkę, na której widniały przeraźliwie krzywe

róże Tudorów oraz romby. - Miał to być pokrowiec na poduszkę, niestety, jak wi-
dać, nie mam pani zdolności. Nikt nie będzie chciał siedzieć na czymś takim.

Marguerite roześmiała się, kiwając smętnie głową.

- Prawdę powiedziawszy, lady Penelope, szycie nie należy do moich
ulubionych sposobów spędzania wolnego czasu. Według mnie to raczej nudne
zajęcie.

- Mimo to jest pani w nim nadzwyczaj biegła.

- To skutek mojej pozycji na francuskim dworze. Służę królownie Madeleine,
cóż więc innego mogłabym robić całymi dniami, a z czasem nabiera się wprawy.
Jeżeli pani pociągnie nitkę o tak, będzie bardziej napięta i ścieg wyjdzie równiej.

- Rzeczywiście! Dobry pomysł. - Szyły przez chwilę w milczeniu, po czym
lady Penelope przysunęła się i zapytała szeptem: - Więc nie należy pani do dworu
hrabiny?

- Nie. W jej stanie potrzebna jej była dodatkowa pomoc na czas podróży, a
beze mnie poradzą sobie przez jakiś czas na dworze królowny. Przyznam się, że
ucieszyła mnie ta propozycja, a także okazja poznania Anglii.

- Rozumiem, bo sama chciałabym zobaczyć Paryż! Obawiam się jednak, że
będę musiała pozostać w Greenwich, dopóki ojciec nie znajdzie mi jakiegoś
szpetnego szlachcica na męża - rzekła z goryczą. - Boję się, że nie zaznam w życiu
zbyt wiele radości. - Wydeła wargi.

Marguerite doskonale wiedziała, że sfrustrowane i złe na swój los kobiety są
najlepszym źródłem informacji, trzeba tylko zdobyć ich zaufanie, bo potrafiły być
bardzo zazdrosne i niebezpieczne dla tych, którzy im się narazili... choćby urodą czy
radosnym uśmiechem.

Lady Penelope Percy nie wyglądała jednak na jędzę. Po prostu była bardzo
samotna, niepewna przyszłości, a przy tym dość ładna.

- Tak mi przykro. Kiedy człowiek ma się bawić, jak nie w młodości, prawda?

- No właśnie! Czas na nudę przyjdzie później, kiedy jest się tak starym i grubym jak ... - Penelope urwała, spoglądając znacząco na tęgą, niemłodą królową.

- Trzeba tańczyć, póki można - powiedziała Marguerite. - Jak dotąd, widziałam jednak niewiele oznak nudy na angielskim dworze. Wczorajszy bankiet był nader udany.

- To dlatego, że musimy zabawiać was, Francuzów! - ze śmiechem wyznała lady Penelope. - Lecz zazwyczaj jest znacznie spokojniej. Trochę się tylko poluje i tańczy.

- Nie ma żadnych flirtów? Na dworze pełnym tak przystojnych mężczyzn? Nie wierzę, po prostu nie wierzę! Taka młoda, ładna kobieta jak pani? Musi mieć pani jakiegoś faworyta wśród tych czarujących dworzan.

Lady Penelope zachichotała, pochylając głowę nad robótką.

- Najprzystojniejsi mężczyźni są członkami waszego poselstwa, panno Dumas. Na przykład hrabia de Calonne.

Hrabia? Marguerite nie zwróciła uwagi na męża Claudine, ale pewnie był przystojny. Oczywiście nie tak jak Mikołaj Ostrowski...

Zamknęła oczy, bo na myśl o nim poczuła ucisk w piersi, a potem podniecenie. Nienawidziła tego uczucia. Przypomniła jej się miniona noc, żar jego ciała, gdy tulił się do niej w ciemności, jego oddech i pocałunek. Jego obecność.

Dlaczego wciąż prześladował ją w myślach?

- Więc hrabia się pani podoba? - zapytała, otwierając oczy i wracając do haftu, którego ścięgi zrobiły się nagle zdecydowanie mniej równe.

Lady Penelope wzruszyła ramionami.

- Ma takie piękne, szerokie bary! Założę się, że jest świetnym tancerzem, ale ta jego małżonka wydaje mi się dosyć skwaszona.

Marguerite spojrzała na Claudine, tak bladą i nieatrakcyjną w niefortunnie dobranej brązowej sukni.

- Wiele kobiet w tym stanie bywa w kiepskim humorze.

- Może i tak. - Lady Penelope zachichotała niefrasobliwie, jak to młoda dziewczyna, która nigdy nie była w ciąży. Albo kobieta, która nigdy nie będzie mogła zajść w ciążę, jak ja, pomyślała Marguerite. - Jednak ich mężom należy się jakieś pocieszenie!

Marguerite roześmiała się. To prawda, niestety. Z doświadczenia wiedziała, że mężowie zbyt często i ze zbyt wielu przyczyn potrzebowali „pocieszenia”. Co wcale nie znaczyło, że akurat ona miałyby być tą pocieszycielką.

- Jak pani myśli, kto jest najprzystojniejszy na naszym dworze? - zapytała lady Penelope.

- Obawiam się, że jestem tu zbyt krótko, aby móc coś powiedzieć.

- No to proszę zgadywać. Spośród tych, których pani już poznała.

Znów pomyślała o Mikołaju i jego złotych włosach na tle czerwonego kaftana. Wyglądał jak ogień, w którym mogłaby doszczętnie spłonąć, gdyby podeszła zbyt blisko.

- No, może wasz król Henryk?

- Nie, nie. To prawda, nadal wygląda dobrze jak na swoje lata, ale musiałyby pani walczyć o niego z panną Boleyn, a nie radzę próbować. Ona ma język równie ostry jak pazury.

- Nie widziałam jeszcze tej panny Boleyn. Musi być piękna.

- Piękna? Tego bym nie powiedziała. Nie tak piękna jak pani, panno Dumas. Raczej... interesująca. Przebywała we Francji, kiedy siostra naszego króla była francuską królową, i ma znacznie więcej poloru niż my wszystkie.

- Ciekawe, kiedy ją zobaczę.

- Dziś wieczorem bez wątpienia. Słyszałam, że po kolacji mają być tańce, a ona nigdy nie przepuści okazji, żeby zademonstrować swoje taneczne umiejętności.

- Lady Penelope zniżyła głos do szeptu. - Niby miała być dwórką królowej, ale jest zbyt zajęta swoimi sprawami.

- Naprawdę?

Lady Penelope pokiwała głową. Jedna z dam, blada dziewczyna, która zwała się Jane Seymour, zaczęła czytać fragmenty z „Powieści o róży”, alegorycznego poematu dywagującego o miłości i sławiącego to wszystko, co jest zgodne z Naturą. Panie umilkły i Marguerite nie miała już okazji zapytać lady Penelope, co znaczą owe „swoje sprawy”, choć oczywiście domyślała się, w czym rzecz. Ciekawe, naprawdę ciekawe...

Utkwiła jej też w pamięci uwaga, że panna Boleyn przebywała we Francji, dzięki czemu zdobyła więcej „polom”. Jej samej Mikołaj powiedział, że brakuje jej tego osławionego francuskiego czaru. A przecież trudno być czarującą w walce na noże. Miała jednak wystarczająco dużo wdzięku, by go użyć w razie potrzeby. Może pora, by dla odmiany posłużyć się tym właśnie orężem...

Mikołaj pociągnął za linę, by sprawdzić, czy jest odpowiednio naprężona i solidnie umocowana. Z małej pakamery w teatrze słyszał, jak sir Henry Guildford komenderuje robotnikami. Ich głosy, stukot młotków i zgrzyt pił dobiegały do niego jak przez mgłę; jakby był ukryty w jaskini, gdzie prawdziwy świat nie ma dostępu.

Czy istnieje gdzieś takie miejsce? Jakaś spokojna kryjówka? Nawet jeżeli tak, nigdy nie natrafił na nią w swoich podróżach. Ludzie wszędzie byli tacy sami - w Moskwie, Wenecji, Anglii, Holandii i Hiszpanii. Hałaśliwi i nachalni, piękni i okrutni, próżni i chciwi.

Prawdziwą przystań odnalazł dopiero w przyjaźni. Przypomniała mu ona, że istnieją miłość i dobroć, i że można je znaleźć, jeśli się wytrwale szuka. Od kiedy odkrył przyjaźń, cenił ją głęboko jak najcenniejsze rubiny i złoto. Utraciwszy przed laty bliskich, przewędrował samotnie wiele krajów, dopóki nie znalazł nowej rodziny, Marca i Julietty.

To właśnie ta przyjaźń, tak drogocenna i głęboka, była w stanie sprowadzić go w to gniazdo francuskich, hiszpańskich i angielskich zmij, syczących i plujących jadem. Jednak z chwilą, gdy się tu znalazł, poczuł, jak budzi się w nim dawny duch. Znow ogarnęło go uczucie podniecenia, które daje jedynie świadomość ryzyka.

Tego dnia był dziwnie niespokojny i od rana rozsadzała go energia. Ulżyłby sobie, gdyby mógł powalczyć, ale w Greenwich, przynajmniej na razie, wszyscy zachowywali się nad podziw poprawnie. Oczywiście poza Marguerite Dumas, która jednak znikła mu z oczu. Pewnie siedzi z resztą francuskich dam w komnatach królowej Katarzyny. Może to i dobrze, bo tam nikomu nie zdoła zaszkodzić.

To właśnie ona była po części źródłem rozdrażnienia, a zapewne jedyną jego przyczyną. Skoro chciał się rozładować, pozostawały mu sztuczki akrobatyczne.

Zdjął aksamitny kaftan i skórzane hiszpańskie buty, po czym, ubrany jedynie w koszulę i spodnie, podciągnął się na linę. Stał na niej przez chwilę, bosy, smukły i wyprostowany, próbując złapać równowagę, a potem zrobił kilka ostrożnych kroków. Był cały zeszywniały po dniach bezczynności na pokładzie statku i jazdy na końskim grzbiecie, a nadmiar tłustego jedzenia i dobrego wina do reszty pozbawił go kondycji. Miał szczęście, że Szmaragdowa Lilia nie pokonała go ubiegłej nocy, skoro okazał się na tyle głupi, aby będąc w tak złej formie, zastawiać na nią pułapkę!

Jednak gdy teraz, balansując, szedł po linie, czuł, jak mięśnie rozgrzewają się i stają się prężne i giętkie. Był także w stanie się skupić - Anglia, Marguerite Dumas i matka Marca zostały gdzieś daleko, aż w końcu było już tylko jego ciało i cienka lina.

Przekoziołkował w przód, po czym poderwał się i wykonał przewrót w tył. Raz i dwa, a potem znowu zastygł z wyciągniętymi rękami. Gromkie brawa przebiły lśniąca, delikatną bańkę koncentracji. Podniósł wzrok i zobaczył Marguerite. Stała w drzwiach na tle kotary i klaskała.

Spodziewał się ujrzeć na jej twarzy sarkazm czy chłodną kalkulację, ale się pomylił. Policzki miała zaróżowione, oczy lśniły, a usta rozchyłały się w uroczym uśmiechu.

Wyglądała tak młodo, tak naturalnie, i była taka ożywiona. Jeżeli wcześniej uważał ją za piękność, to teraz zrozumiał, że nie wiedział dotąd, co to prawdziwe piękno.

- Och, panie Ostrowski, to było niesamowite! - wykrzyknęła. - Jak to możliwe, że człowiek potrafi wykonywać takie sztuczki?

Zeskoczył z liny i wylądował pewnie na posadzce, nie podszedł jednak do Marguerite, bo jej nie ufał. Kto wie, czy nie ukrywa ostrza w aksamitnym rękawie? Sobie także nie ufał na tyle, aby się do niej zbliżyć i wejść w krąg tej srebrzystej poświaty, która zdawała się ją zawsze otaczać.

- To kwestia praktyki. Robię to od wielu lat, panno Dumas.

- Musi pan mieć wielki talent. Każdy inny roztrzaskałby sobie głowę!

- Mnie też się to przytrafiło, i to z tuzin razy.

- A jednak pan przeżył, żeby o tym opowiedzieć.

- Mam bardzo twardą czaszkę.

- To prawda. - Podeszedłszy bliżej, zaczęła oglądać linę. - Ojej, jest taka cienka jak mój jedwab do haftu.

- Trudniej utrzymać równowagę, jeżeli lina jest za gruba.

- Naprawdę?

- Może chciałaby pani spróbować? W tych ciężkich spódnicach nie będzie łatwo, ale na pewno potrafi pani ustać na nogach.

Podniosła na niego szeroko otwarte oczy. Nadal wyglądała tak młodo. Mikołaj ze zdumieniem skonstatował, że nie mogła mieć więcej niż jakieś dwadzieścia dwa lata. Co spotkało tę pełną gracji i uroku kobietę, że musiała wybrać takie ciężkie życie, grzeszną egzystencję morderczyni i szpiega?

Nagle zapragnął wziąć ją w ramiona i tulić dopóty, dopóki nie zbledną z wspomnienia, a ona z powrotem stanie się młodą, niewinną dziewczyną.

Och, ta jego przekłeta opiekuńczość! To przez nią nieustannie pakował się w kłopoty.

- Chodź. - Wyciągnął rękę. - Pomogę ci.

Cofnęła się jednak, chowając dłonie w szerokich rękawach. Jej śmiech zabrzmiał cynicznie, a w oczach pojawiły się znane mu lodowate błyski.

- O nie, panie Ostrowski! Jestem pewna, że czekałby pan tylko, aż spadnę. Zbyt sobie cenię swój kark, żebym miała ochotę skrócić go na tej kamiennej posadzce.

Opuścił rękę i odwrócił się, by sięgnąć po kaftan i buty.

- Nie nazbyt pani podejrzliwa?

- Muszę, jeżeli chcę przeżyć.

Włożył kaftan, zapinając perłowe guziczki. W sali nagle powiało chłodem.

- A tak w ogóle co pani tu robi, panno Dumas? Przecież wszystkie panie miały być dziś u królowej.

- Byłam tam, ale moje towarzyszki wybrały się wraz z hiszpańskimi damami na przechadzkę po ogrodach, natomiast ja dostałam liścik od sir Guildforda wzywający mnie do teatru. Lady Penelope Percy mówi, że sir Henry Guildford chce mnie obsadzić w jednym ze swoich przedstawień.

Ach, rzeczywiście, te widowiska. Mikołaj zapomniał o nich na błogich pięć minut.

- Powinienem był się domyślić, że to pani jest tym francuskim aniołem.

- Francuskim aniołem?

- Guildford powiedział, że wśród Francuzów jest dama „piękna jak anioł”, której koniecznie trzeba dać jakąś rolę, gdyż będzie to mile widziany dyplomatyczny gest.

Marguerite roześmiała się.

- Problem w tym, że nie mam zbyt wielkiego pojęcia o aktorstwie.

- Och, pozwolę sobie być innego zdania. Odegrała pani wręcz perfekcyjnie rolę weneckiej nierządnicy.

Zacisnęła wargi, nie pokazując jednak po sobie większych emocji.

- Mam nadzieję, że zawsze będę mogła przyjść do pana po poradę. Rzadko zdarza mi się spotkać tak doskonałego aktora jak pan.

- Gdyby potrzebowała pani pomocy, zawsze jestem do pani usług. - Zaczął zaplatać włosy związane z tyłu wstążką, aby mu nie opadały na twarz podczas ćwiczeń. Zajęcie dosyć kłopotliwe, jako że sięgały do połowy pleców.

Marguerite podeszła bliżej ze wzrokiem wbitym w złotą fałę.

- Szkoda tak je krępować - orzekła.

- Są potargane, a nie mam czasu ich rozczesywać.

- Pomogę ci. Staranna toaleta to coś, w czym jestem naprawdę dobra.

- Założę się, że jest pani dobra w wielu rzeczach. Posługiwanie się grzebieniem jest z nich najmniej ważne.

- Nie dalej jak dziś rano dowiedziałam się, że pięknie haftuję - powiedziała z uśmiechem. - Usiądź, to zrobię porządek z twoimi włosami, zanim pobiegiesz dalej. - Wskazała na taboret.

Mikołaj zawahał się.

- Boję się, że poderzniesz mi gardło. Wybuchnęła dźwięcznym, perlistym śmiechem.

- Ależ nie! Jako anioł mściciel pojawię się wtedy, kiedy będzie się pan tego najmniej spodziewał. W tym momencie jestem tylko zachwyconą męską urodą kobietą. - Wywróciła na drugą stronę brzegi rękawów obszyte ciemnym futrem. - Widzisz, nie mam żadnych sztyletów.

- No, może z wyjątkiem jednego, który nosisz za podwiązką - rzucił bezwiednie Mikołaj, zwiedziony jej uśmiechem i błyskiem w oku.

- Tam nie wolno ci go szukać! Daję ci jednak słowo, że dziś nie będzie żadnych podstępnych ataków.

Usiadł spięty, gotów poderwać się, gdyby wykonała jakiś podejrzany ruch, ale stanęła tylko za nim i rozwiązawszy wstążkę, rozpuściła włosy na ramiona.

- Każda kobieta pozazdrościłaby ci takich włosów - powiedziała półgłosem i zaczęła przeczesywać palcami jedwabiste pasma, rozplątując je delikatnie i jednocześnie masując głowę. - Nie używasz soku cytrynowego? Albo szafranu?

Roześmiał się.

- Po co miałbym wyciskać na włosy sok z cytryny? Nie jestem smażonym łososiem.

- Żeby je rozjaśnić. Robi tak wiele kobiet.

- Używasz czegoś takiego?

- Zazwyczaj nie.

- No tak. Ty użyłabyś raczej magicznych sztuczek, aby nałapać promieni księżycy i ufarbować nimi włosy. A promieni jutrzeńki, aby ubarwić lica.

- Óóó, panie Ostrowski! Zdradza pan moje sekrety. - Zaczęła cicho nucić łagodną kołysankę, której rytm podkreślały zwinne, delikatne ruchy palców.

Mikołaj zaczął się wreszcie odprężać, ukołysany jej głosem i dotykiem oraz zapachem egzotycznych liliowych perfum, spowijającym ją niby srebrzysta sieć. Po tym, jak potraktowała go w Wenecji oraz ubiegłej nocy, nigdy by jej nie podejrzewał o taką delikatność. Ciekawe, ile jeszcze rozmaitych twarzy kryje się za tą piękną fasadą?

Jakże łatwo musiało jej przychodzić wyciąganie sekretów z mężczyzn, tak wrażliwych na damską łagodność i słodycz. A on był przecież takim samym mężczyzną jak wszyscy. Jego ciało prężyło się pod jej dotykiem i myślał tylko o jednym, aby paść w ramiona panny Dumas i na zawsze zatopić się w jej urodzie.

Czy o to jej chodziło? Czy nad tym właśnie pracowała? Żeby go kompletnie rozbroić? Jeżeli tak, to w tym momencie z największą radością by jej na to pozwolił.

Palce Marguerite delikatnie przesuwały się po jego skroniach, policzkach i szyi, by zatrzymać się na ramionach.

- No tak, teraz prezentuje się pan całkiem schludnie.

- Rzeczywiście, jeżeli chodzi o toaletę, jest pani wybitnie uzdolniona. -

Gwałtownie wrócił z obłoków na ziemię. Poczł się tak, jakby zeskoczył z liny po ćwiczeniach.

- Potrafię także dotrzymać słowa, nieprawdaż?

- Owszem, gardło, jak się wydaje, mam nietknięte.

- Na razie, mój panie - rzuciła ze śmiechem.

Wstał i skłonił się. Starannie rozczesane włosy opadły mu na twarz jedwabistą falą.

- Panno Dumas, jestem wielce zobowiązany, że podarowała mi pani jeszcze jeden dzień życia. Nędznego wprawdzie, ale zawsze.

- Nie mam czasu, żeby się teraz z panem rozprawić jak należy. - Zdumiało ją, że wspomniał o jej prawdziwych intencjach. - Muszę poszukać sir Henry'ego...

- Nie ma potrzeby, panno Dumas, bo już tu jest - rozległ się od drzwi głos mistrza ceremonii, który właśnie wyłonił się zza zasłony z plikiem zwojów pod pachą. Za nim stał paź z naręczem atlasowych kostiumów. - Cieszę się, że już zdążyliście się poznać.

- Jak to? - zdumiała się Marguerite.

- Pan Ostrowski był tak łaskaw zaproponować mi, iż zajmie się przygotowaniem widowiska „Zielony Zamek” - wyjaśnił sir Henry, któremu wyraźnie się śpieszyło. - A pani, panno Dumas, musi wziąć najważniejszą rolę, rolę Piękna, bo jest pani wręcz do niej stworzona. Jestem pewny, że będzie wam się świetnie współpracowało! Pan Ostrowski wszystko pani wytłumaczy, bo muszę was zostawić, żeby przygotować pokazy na dzisiejszy wieczór.

Gdy sir Henry odszedł, Mikołaj zwrócił się z uśmiechem do Marguerite, która przyglądała mu się uważnie, delikatnie mrużąc oczy.

- No cóż, panno Dumas, wygląda na to, że będziemy dzielić wspólny los artystów...

Rozdział siódmy

Nic nie poszło tak, jak sobie zaplanowała.

Zaciskając pięści, Marguerite maszerowała ogrodową ścieżką. Policzki miała tak rozpalone, że nawet nie czuła chłodu! Chciała jak najszybciej znaleźć za rogiem budynku, z dala od bardziej uczęszczanych szlaków. Była pewna, że jest czerwona jak burak, a nie życzyła sobie, aby ktokolwiek zauważył jej wzburzenie.

W pobliżu grządek z kuchennymi ziołami kręciło się tylko paru służących i paziów oraz kilka pokojówek, zbyt zajętych swoimi sprawami, aby zwracać na nią uwagę.

Usiadła na kamiennej ławeczce, wyjęła książkę i udając, że czyta, zaczęła głęboko oddychać, żeby się uspokoić. Jak mogła być taka głupia! Po to przecież odszukała Mikołaja, żeby na nim wypróbować swoje wdzięki. Chciała go wpierw omotać, zdobyć zaufanie, a potem wyciągnąć z niego, po co tak naprawdę przyjechał do Anglii. A tymczasem sama jeszcze bardziej się zamotała.

Idąc do teatru, była zdecydowana na zimną grę, ale na widok Mikołaja balansującego na linie, tak silnego i pełnego gracji, zaparło jej dech w piersi. Wykonywał akrobacje z pozoru niemożliwe dla ludzkiej istoty, i zdawał się robić to bez najmniejszego wysiłku. Wzlatywał w powietrze tak lekko i naturalnie jak ptak.

Ptak skazany na odstrzał.

Wstrzymując oddech, patrzyła, jak wykonuje salto do tyłu, lądując pewnie na cienkiej linie. To chyba jakieś czary!

Zręczne ruchy i taneczna gibkość urzekły ją do tego stopnia, że zapomniała o bożym świecie... a także o swoim zadaniu. Patrzyła na Mikołaja jak urzeczona, dopóki nie wylądował na ziemi. Nie był nawet zdyszany, i dopiero kiedy podeszła bliżej, dostrzegła lśniące kropelki potu na jego włosach i opalonej skórze. Wydawał się jakby cały ze złota - antyczny bóg, który zstąpił na ziemię.

Spotkała w swoim życiu wielu mężczyzn mających o sobie bardzo wysokie mniemanie - czasami nawet zasłużone dzięki intelektowi, talentom lub urodzie. A także wielu głupców, którzy nie zdawali sobie sprawy, że są głupcami. Nigdy jednak nie spotkała mężczyzny, który tak bardzo by ją zauroczył, jak Mikołaj Ostrowski. Co stało za tą jego lekkością i swobodą, za pełną gracji leniwą zmysłowością? Co kryło się w tych jasnoniebieskich oczach?

Nagle uświadomiła sobie, że pragnie poznać jego sekrety nie po to, by ich użyć przeciwko niemu lub zagarnąć władzę, ale po to, żeby wiedzieć.

Na moment, w tym ciasnym pokoju, zapomniała o ostrożności, ulegając zauroczeniu jego złocistą poświatą. Tylko na moment, ale to wystarczyło, by zrozumiała, jak wielkim był zagrożeniem - i jak wdzięcznym.

Kiedy zaproponował jej, żeby się przeszła po linie, i wyciągnął do niej rękę, ogarnęła ją dziwna tęsknota. Gorąco zapragnęła tego poczucia wolności, które musiało być jego udziałem, gdy szybował nad nędznym światem. Zatęskniła za tym, co było dla niej nieosiągalne.

Cóż z tego, że oparła się pokusie, by poczuć pod stopami cienką linę, a w dłoni jego dłoń, skoro uległa znacznie groźniejszym pragnieniom i odważyła się dotknąć jego włosów?

Na myśl o tym z jękiem ukryła twarz w książce. Wciąż pamiętała to obezwładniające pragnienie, by zanurzyć palce w chłodny jedwab jasnych włosów. Stojąc tuż za Mikołajem, w tym ciemnym, zakurzonej pomieszczeniu, wdychając ziołową świeżość mydła zmieszanej ze słoną wonią męskiego potu, niczego bardziej nie pragnęła, jak tylko usiąść mu na kolanach i całować go aż do utraty tchu.

Zbyt też dobrze pamiętała smak jego ust z Wenecji, dotyk warg na swym ciele i te zwinne, wprawne palce na piersiach i brzuchu. To oczywiste, że był równie biegły w sztuce miłości, jak w akrobatycznych sztuczkach na linie.

Wstyd przyznać, ale zapomniała się na chwilę, urzeczona charyzmą tego Rosjanina. Uratowało ją przybycie sir Henry'ego, lecz na wieść o tym, że będzie pracowała z Mikołajem, szybko uciekła!

- Idiotka! - ofuknęła siebie. Nie wolno jej ulegać słabości. Przed nią jeszcze wiele dni w Anglii, podczas których przyjdzie jej użyć wszystkich swoich sił i talentów. Dlatego też musi zapomnieć o złotych włosach i gibkim ciele.

Pamiętaj, że ukradł ci sztylet, skarciła się w myślach. Będzie musiała go odzyskać, a także wybadać, jakie to interesy sprowadziły Mikołaja do Anglii z poselstwem hiszpańskim.

Zamknęła oczy i na moment wyobraziła sobie siebie zakutą w lodowej bryle, do której nie dociera światło i ciepło Mikołaja Ostrowskiego. Kiedy je znowu otworzyła, była już spokojniejsza i mogła zebrać myśli.

Opuściła książkę na kolana. Ręce już jej nie drżały. Folgowanie uczuciom do niczego nie prowadzi. Jej reakcja na Mikołaja jest czysto fizyczna, zwykły zew słabego, niewieściego ciała, tak bardzo spragnionego rozkoszy. Jeśli się jednak skupi na pracy, rychło stłumi te niemądre ciągoty.

Nagle usłyszała wybuch śmiechu i ożywione rozmowy po hiszpańsku. Odwróciła się i zobaczyła grupkę pań zmierzającą w jej stronę. Na jej czele kroczyła dama o ujmującym uśmiechu. To obok niej siedział Mikołaj na bankiecie. Ten sam uśmiech rozjaśniał i teraz jej twarz, gdy podchodziła do ławki Marguerite.

- Och, jak widzę, jest pani samotna - odezwała się, szeleszcząc pasową spódnicą i roztaczając woń fiołkowych perfum.

Z bliska wyglądała na starszą, niż się Marguerite początkowo wydawało. Drobniutkie zmarszczki rozchodziły się promieniście wokół oczu i ust, a ciemne włosy srebrzyły się na skroniach. Musiała być bardzo bogata, bo na szyi miała ciężki złoty krzyż zdobiony perłami i drogimi kamieniami, opończa była podbita sobolowym futrem, a w uszach połyskiwały ogromne perłowe kolczyki. Wszystko

wskazywało na to, że jest ważną osobistością w poselstwie hiszpańskim. Jej ciemne oczy spoglądały jednak ciepło i życzliwie.

Marguerite podniosła się, żeby wykonać dyg.

- Czytam, pani...

- To księżna de Bernaldez - poprawiła ją jedna z dam.

- Doña Elena, kiedy jesteśmy na spacerze, droga Esperanzo. Spędziłam wiele lat w klasztorze - zwróciła się szeptem do Marguerite. - Muszę się dopiero przyzwyczaić do sztywnej etykiety, której mój mąż tak pilnie przestrzega.

Mile zaskoczona Marguerite roześmiała się.

- Ja też wolę styl mniej oficjalny. Jestem Marguerite Dumas.

- Wiem, to pani jest tą słynną panną Dumas.

- Słynną? - Och nie! To utrudniłoby jej tylko zadanie. Nawet nie będąc powszechnie znaną, niełatwo jest snuć intrygi na zatłoczonym dworze.

- Oczywiście. Panowie nie mówią o niczym innym, jak tylko o pani wyjątkowej urodzie. Teraz już rozumiem, dlaczego.

- Jest pani bardzo łaskawa.

- Mówię, co widzę, a muszę przyznać, że lubię otaczać się pięknem. Rozjaśnia te szare angielskie dni. Może zechce się pani z nami przejść? Idziemy nad rzekę.

Co za szczęśliwy traf! To rzadkość, żeby okazja tak po prostu sama wpadała w ręce. W nadziei, iż zrekompensuje sobie nierozsądne postępowanie z Mikołajem, Marguerite skinęła głową i powiedziała:

- Pani, będę wielce zaszczycona.

Ruszyła za księżną. Orszak dam okrążył zamek i skierował się ku ścieżce wiodącej wzdłuż Tamizy. Rzeka była spokojna i lśniąca jak wstęga szarego jedwabiu. Nieliczne barki i łodzie płynęły do Londynu i dalej, do morza. Towarzyszki księżnej podjęły przerwana rozmowę, a ich szepty przypominały szum fal bijących o brzegi.

- Jest pani od niedawna zameżna, prawda? - zapytała Marguerite.

- Zaledwie od paru miesięcy. Mój pierwszy mąż był kapitanem statku. Zmarł przed wielu laty. Bardzo go kochałam i po jego śmierci poszukałam azylu w klasztorze. Sądziłam, że spędzę w nim resztę życia.

- Dopóki książe pani nie oczarował? - zażartowała Marguerite.

- Zgadła pani! Jego siostra była przeoryszą tego klasztoru. Poznaliśmy się, kiedy przyjechał ją odwiedzić. Spacerowaliśmy godzinami po ogrodach, a przed wyjazdem poprosił mnie o rękę.

- Co za romantyczna historia!

- I nieprawdopodobna. Tak pewnie pani myśli. Taka stara kobieta jak ja... - Mrugnęła znacząco. - Dlaczego możny książe miałby sobie wybrać taką żonę?

- Nic podobnego! Nie może pani być stara, będąc wciąż tak piękną.

- Umie pani prawie pochlebstwa, jak wszyscy Francuzi.

- Powtórzę po pani: „Mówię, co widzę”.

- A pani jest zamężna?

- Niestety, nie.

- Po raz pierwszy wyszłam za mąż, kiedy miałam piętnaście lat. Mój obecny mąż także ożenił się w młodym wieku i zanim owdowiał, jego żona urodziła mu wiele dzieci. Tak więc oboje spełniliśmy nasz obowiązek za młodu, zakładając rodzinę, zaś w podeszłych latach Bóg pozwolił nam cieszyć się własnym towarzystwem i gorącym uczuciem.

- To brzmi cudownie... Mogę się tylko modlić, żeby i mnie kiedyś spotkało takie szczęście.

- Musiała pani przecież mieć mnóstwo propozycji! - Księżna przyjrzała jej się badawczo. - To dziwne, że jest pani wciąż niezamężna.

Marguerite poczuła, że oblewa się rumieńcem.

- Obowiązki na dworze sprawiają, że jestem bardzo zajęta. Poza tym moi rodzice nie żyją i nie mam nikogo, kto zadbałby o te sprawy.

- Och, moje biedactwo! Jakie to strasznie smutne. - Ujęła ją za rękę. - Od jak dawna jest pani sama na tym świecie?

- Moja matka zmarła przy moim urodzeniu, a ojciec nie żyje od ponad siedmiu lat.

- Jest pani jedynaczką?

- Niestety, tak.

- Sama też mam tylko jednego syna, Marca. Jest moim największym szczęściem, ale żałuję, że nie mogłam dać mu rodzeństwa. - Wyjęła złoty medalion i otworzyła go.

Marguerite zerknęła na podobiznę młodego ciemnowłosego mężczyzny.

- Jest bardzo przystojny.

- O tak. I już wkrótce uczyni mnie babcią!

- To wspaniale. Pewnie chciałaby pani jak najprędzej wrócić do Hiszpanii, żeby obejrzeć wnuka.

Księżna zatrzasnęła medalion, zaciskając usta.

- Niestety, mieszka teraz pod Wenecją, ale mam nadzieję zobaczyć go po powrocie z Anglii.

Tylko kiedy to nastąpi? Marguerite zaczynała się obawiać, że przyjdzie im całymi tygodniami spacerować po ogrodach Greenwich, zanim wreszcie zapadną jakieś postanowienia. Nie miała też żadnego pomysłu, jak wysondować, co księżna wie o Mikołaju.

- Pani pewnie też chciałaby któregoś dnia mieć dzieci, panno Dumas - powiedziała.

W nagłym przebłyску Marguerite przypomniała sobie wierzgające kopyta tratujące jej brzuch, palący ból i swoje młodziutki, pączkujące dopiero w kobiecość ciało, leżące w kałuży krwi.

- Jeżeli taka będzie wola Boga... - A przecież doskonale wiedziała, że Bóg objawił jej już swoją wolę, odwracając się od niej przed laty.

- Gdyby była pani jedną z moich dam, w mgnieniu oka znalazłabym pani dobrego męża - powiedziała księżna konfidenicznym szeptem. - Nawet z klasztoru udało mi się skojarzyć siedem szczęśliwych małżeństw wśród dzieci moich przyjaciół! Mówią, że mam szczęśliwą rękę.

Marguerite roześmiała się.

- Musi to być nader pożyteczny dar! - skomentowała ze śmiechem.

- Sprawia mi to wielką satysfakcję, chociaż są i tacy, którzy mi nie wierzą i wzbraniają się przed tym, co dla nich najlepsze.

- Naprawdę? Mnie pani przekonała. Byłabym szczęśliwa, mogąc złożyć swój los w pani ręce. Jakże żałuję, że nie jestem jedną z pani dam.

Księżna potrząsnęła z żalem głową.

- Och, gdyby mi pani pomogła przekonać biednego Mikołaja...

- Mikołaja? - zapytała Marguerite z miną niewiniątka, czując podniecenie na sam dźwięk tego imienia. Co z niej za idiotka!

- Tak, Mikołaja Ostrowskiego, przyjaciela mego syna. Panno Dumas, on prowadzi takie nieuporządkowane życie! Ciągłe tylko w rozjazdach, bez własnego domu, chociaż jest tak zamożny, że byłoby go stać. Taki czarujący mężczyzna.

- Czy to ten przystojny, co ma takie złote włosy? - zapytała szeptem Marguerite.

- Sama pani widzi! Nawet pani zwróciła na niego uwagę, jak wszystkie kobiety. Tyle razy mu mówiłam, że każda z moich dam byłaby bardziej niż szczęśliwa, mogąc go poślubić, ale wciąż odmawia.

Marguerite zerknęła przez ramię na rozplotkowane damy księżnej. Istotnie, były dosyć ładne, z tą ich gładką cerą i lśniącymi ciemnymi włosami. Zbyt jednak młode, nabożne i... i zbyt hiszpańskie jak dla Mikołaja! Czy któraś z nich mogłaby zrozumieć mężczyznę takiego jak on, skoro nawet ona tego nie potrafiła?

- Czy podaje jakiś powód swojej odmowy? - rzuciła od niechcenia.

- Tylko taki, że w jego życiu nie ma miejsca dla żony. Powtarzam mu jednak, że nie będzie młodszy! Jeżeli nie widzi w swoim życiu miejsca na dom, to je powinien zmienić. Założyć rodzinę, zanim będzie za późno.

Dom... Marguerite z westchnieniem pomyślała, że nie wie nawet, co znaczy to cudowne słowo.

- Musi bardzo przyjaźnić się z pani synem, skoro tak się pani o niego martwi.

- O tak! Uratował Marcowi życie.

- Jak to? - zapytała zaintrygowana Marguerite.

- Nie znam szczegółów. To się zdarzyło w Wenecji. A może w Wiedniu?

Nieważne. W każdym razie uratował mojego syna i zawsze będę mu wdzięczna. A teraz jedźcie taki kawał drogi tylko po to, żeby się mną opiekować! Jaki to dobry człowiek, panno Dumas. Gdyby chociaż pozwolił mi się odwdzięczyć, a szybko znalazłabym mu najlepszą żonę.

Poszły dalej. Choć rozmowa zeszła na lżejsze tematy, Marguerite miała w głowie kompletny mętlik. Czy to możliwe, że Mikołaj przyjechał do Greenwich nie w sprawach politycznych i państwowych, tylko z czystej przyjaźni?

Nie, to raczej niemożliwe. Nigdy o czymś takim nie słyszała. Musi być jeszcze coś, co ukrywał przed tą miłą księżną, a co przywiodło go na to spotkanie. To pewne, że komuś jeszcze służy, jednak czego tu tak naprawdę szuka?

Musiała się tego dowiedzieć.

Rozdział ósmy

Przydzielona Marguerite pokojówka przeszukiwała skrzynię z ubraniami, wreszcie spytała:

- Co chce pani włożyć na ten wieczór?

- Hm? - Spojrzała na nią nieprzytomnie. Siedziała przed lustrem, przesuając z roztargnieniem grzebienie i słoiczki, chociaż miała układać włosy. Jak będzie tak marudzić, spóźni się na bankiet! A przecież nie pójdzie w koszuli i gorsecie.

- A co mi radzisz?

Pokojówka natychmiast wyjęła stanik i spódnicę ze srebrno-białego atłasu.

- Tę, panienko. I rękawy ze złotogłowiu.

Była to jedna z najlepszych kreacji Marguerite, ze złotym i srebrnym haftem oraz stanikiem wyszywanym kryształkami w kwiatowe wzory. Chciała ją zostawić na koniec pobytu w Anglii, pomyślała jednak o ładniutkich Hiszpankach oraz zamiarach księżnej Eleny, aby jedną z nich wyswatać z Mikołajem. Obudziło to w niej irracjonalne pragnienie, by przebić je wszystkie urodą i zawładnąć całą jego uwagą. Tak, aby nigdy nie uległ żadnej hiszpańskiej dzierlatce, która byłaby może dobrą i miłą żoną, ale nie zdołałaby zainteresować go na dłużej.

- A niech to! - zakląła, szarpiąc tak mocno grzebieniem, że wyłamała jeden ząb. Co się z nią dzieje? Nie zależy jej przecież na jego względach. Te nieziemsko niebieskie, obserwujące ją baczenie oczy utrudniają jej tylko robotę. Mikołaj może sobie poślubić nawet pięćdziesiąt Hiszpanek o kurzych mózdkach. Albo sto, a nawet tysiąc! Nic jej do tego.

Przycisnęła palce do pulsujących skroni. Słyszała opowieści o szpiegach króla Franciszka, którzy na skutek życia w ciągłym napięciu postradali zmysły i trzeba ich było trzymać pod kluczem, bo nie potrafili już odróżnić przyjaciela od wroga. Czy z nią będzie tak samo?

- Nie - szepnęła.

- Panienko, czy coś jest nie tak? - zaniepokoiła się pokojówka. Pewnie nieczęsto widywała damy w stanie wzburzenia, bo spokojna i uprzejma królowa Katarzyna trzymała swój dwór żelazną ręką.

- Jestem po prostu zmęczona - odparła po chwili. - Ta biała suknia będzie świetna. Masz dobry gust.

Gdy dziewczyna rozkładała części garderoby na łóżku, sięgnęła po flakonik perfum. Był to zapach opracowany specjalnie dla niej przez królewskiego perfumiarza. Ojciec opowiadał małej Marguerite, że jej matka zwykła skrapiać się zapachem polnych lilii, więc i ona go używała. Świeża słodka woń ożywiła ją, studząc zarazem żar krwi.

Była rzeczywiście zmęczona, to wszystko. Długa podróż, a po niej ten nieustający ciąg bankietów. Nie miała nawet czasu odetchnąć, a co dopiero zebrać myśli. Zaś Mikołaj był tylko dodatkową komplikacją, której nie wzięła pod uwagę.

Prawdę mówiąc, nie rozumiała go, nie potrafiła rozszyfrować. I to kto? Ona, która tak się szczyciła znajomością ludzkich charakterów i umiała spożytkować tę wiedzę dla swoich celów. Lecz oto cały ten jej tajemny kunszt zawiódł w przypadku Mikołaja. Nie miała pojęcia, co tu robił i czego szukał. Jego niefrasobliwość i dobry humor musiały stanowić przykrywkę dla czegoś, czego nie mogła zgłębić.

Chyba że przyjechał tu dla jednej z tych hiszpańskich dam na wydaniu...

Pokojówka pomogła jej włożyć spódnicę na koszulę oraz srebrną halkę, zasnurowała stanik i sztywny gorset, a potem przywiązała delikatne złote rękawy.

Każdy człowiek ma jakieś słabości, jakieś pragnienia. Każdy też ma swoją cenę. Rzecz w tym, że nadzwyczaj trudno było odkryć słabości i pragnienia Mikołaja Ostrowskiego, a i jego cena musiała być astronomiczna. Musiał też mieć jakiś ukryty cel - nikt nie jechałby przecież taki kawał drogi tylko w imię przyjaźni. Miałby się rzucić w to gniazdo os z tej tylko przyczyny, że poprosił go o to przyjaciel? Bez sensu!

O nie, musiał mieć jakiś plan, i to mający jakiś związek z Hiszpanami. Cierpliwość i wytrwałość pomogą jej odkryć jego motywy. A także dowiedzieć się ceny.

Musi jednak zachować maksymalną ostrożność. Żadnych humorów i żadnego głaskania po włosach! Wiedziała już, że pod tym względem nie może sobie ufać.

Włożyła trzewiczki ze srebrnego brokatu, a pokojówka umocowała stroik na gładko zaczesanych włosach. Zrobiony z krochmalonego srebrnego atłasu, miał wzór z kryształków i perełek migoczących w blasku świateł. Efekt był taki, jakby jasne włosy otaczała anielska aureola.

Przeglądając się w lustrze, Marguerite pomyślała, że pokojówka świetnie się sprawiła w kompozycji wieczorowej kreacji. Nikt nie będzie podejrzewał tak niewinnie wyglądającej istoty o ukryte zamiary.

Może tylko poza Mikołajem. Czyż sama nie porównała go do anioła? A przecież i on miał swoje drugie, wcale nie święte oblicze.

Otworzyła szkatułkę z biżuterią i wyjęła klejnot, który rzadko nosiła, lecz niezwykle ceniła. Był to wielki brylant o kwadratowym szlifie na cienkim srebrnym łańcuszku. Podobnie jak perfumy, należał do matki Marguerite. Tej nocy miał dodać jej odwagi.

Gdy rozwarło drzwi do sali bankietowej, wokół rozległ się szmer. Marguerite wspięła się na palce i ponad ramieniem Claudine zobaczyła, że układ stołów został zmieniony. Nie stały już po dwóch stronach sali, osobno dla Francuzów i dla Hiszpanów, lecz tworzyły podkowę zwróconą ku podwyższeniu z królewskim tronem.

- Moi najmilsi goście! - Król Henryk ruszył ku gościom, prowadząc córkę za rękę. Wyglądał jak szarżujący byk przyodziany w purpurę. Królowa Maria miała dobraną odcieniem paśową sukienkę, a z bladej twarzyczki spoglądały wielkie, poważne oczy. - Witajcie na mojej uczcie! - Henryk wręcz tryskał energią i dobrym humorem. - Zasłużyliście sobie na nią pod dniem ciężkiej pracy. A jako że łączy nas

wielka sprawa pokoju, musimy się także zjednoczyć przy bankietowym stole. Moi służący wskażą wam miejsca. Żadnych więcej podziałów!

Wokół rozległy się pomruki aprobaty, ale również protestu.

- Jak można trafić na swoje miejsce przy takim układzie? - zapytała Claudine, gestykulując gniewnie w stronę stołów.

- Musisz się dostosować do królewskich zachcianek, moja droga - syknął jej mąż przez zaciśnięte zęby. - Niedługo będzie po wszystkim.

Marguerite z zaciekawieniem patrzyła, jak służba rozprowadza gości na miejsca, sadzając na przemian Francuzów, Anglików i Hiszpanów. Pomyślała, że świetnie posłuży to jej celom. Dzięki temu, jak podczas spaceru z księżną Eleną, będzie mogła pogawędzić z wrogami, nie budząc żadnych podejrzeń.

Poza tym uwolni to ją od kurateli ojca Pierre'a, który aktem uzurpacji mianował się jej oficjalnym opiekunem, a może wręcz stróżem na czas pobytu w Greenwich. Jego milcząca obecność u jej boku, szelest czarnych szat oraz czujne spojrzenia zaczynały jej działać na nerwy.

Pomachała mu, kiedy mimo protestów został posadzony na drugim końcu stołu, natomiast ją jeden z paziów zaprowadził na miejsce w samym środku podkowy, między Rogerem Tilneyem i księciem de Bernaldezem. Siedząca naprzeciw księżna powitała ją uśmiechem i opowiedziała mężowi o popołudniowej przechadzce nad rzeką.

- A ona cierpliwie wysłuchiwała mojej paplaniny o Marcu i o tym, jak się poznaliśmy, mój kochany. I to bez słowa skargi! Co za wyrozumiałość.

- Och, pozwolę sobie zaprzeczyć, madame - zaoponowała z uśmiechem Marguerite. - Bardzo się ucieszyłam z naszego spotkania, Wasza Książęca Mość. Czuję się samotna w obcym kraju, a pańska żona jest taka miła.

Książę spojrzał na nią ciepło. Był równie urodziwy jak jego żona i miał takie same dobre oczy. Mimo surowej czerni stroju oraz gęstych siwych włosów i brody, w jego wzroku zapalały się czułe, młodzieńcze błyski, ilekroć spoglądał na księżną.

- Rzeczywiście, jest bardzo miła, i cieszę się, że znalazła nową przyjaciółkę. Nie jest jej łatwo znosić rozłąkę z synem, dlatego będę wdzięczny za każdą rozrywkę, jaką jej pani zorganizuje. Może zechciałaby pani po bankiecie zagrać z nami w karty w naszych apartamentach?

- Och tak, proszę powiedzieć tak, panno Dumas - nalegała księżna Elena. - Przyjdzie tylko kilku przyjaciół, więc będzie znacznie spokojniej niż na tych festynach. Chciałabym też panią lepiej poznać.

- Dziękuję, madame. Z radością przyjmuję zaproszenie.

Marguerite rozsiadła się wygodniej na krześle. Była wielce rada z dotychczasowych osiągnięć. Jak na razie szło jej lepiej, niż się spodziewała. Nagle poczuła ostre ukłucie, jakby ktoś dźgnął ją igłą w kark. Potarła ręką pod włosami, a gdy spojrzała na koniec stołu, zobaczyła Mikołaja, który bacznie jej się przyglądał.

Przez moment nie był tego świadomy, że go przyłapała. Maską rozbawienia opadła z poważnej teraz i skupionej twarzy, a ocienione kapturem oczy skierowane były na nią. Mimo to czuła siłę tego spojrzenia. Przeszywało ją na wskroś niby dwa błękitne sztylety, przygważdżając, tak iż nie była w stanie ruszyć się miejsca. Nagle cała ta olbrzymia, zatłoczona sala zniknęła gdzieś, i pozostał tylko on.

Kiedy uśmiechnął się do niej, ocknęła się, on zaś uniósł kielich w żartobliwym toaście. Gdy sala znów wróciła do właściwego wymiaru, Marguerite zobaczyła, że siedzi obok niego jedna z dam księżnej Eleny. Dziewczyna była wpatrzona w Mikołaja jak w tęczę, a na ładnej buzi malowało się uwielbienie.

Marguerite pociągnęła spory łyk wina. Był to doskonały prowansalski trunek, którym nie pogardziłby nawet jej ojciec, choć uważał, że dobre wino może pochodzić jedynie z Szampanii. Mimo to ledwie wyczuwała jego smak.

Siedząca naprzeciw Marguerite księżna Elena mrugnęła do niej znacząco.

- Mój plan zadziałał! - wyszeptała bezgłośnie.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, gdyż wniesiono cacko, które wzbudziło aplauz całego dworu. Była to dokładna miniatura pałacu w Greenwich ze

wszystkimi jego wieżyczkami, dziedzińcami i oknami, wykonana z cukru i masy migdałowej. Mistrz sztuki cukierniczej stworzył nawet rzekę z niebieskiego marcepanu, upstrzoną łódeczkami i barkami. Niestety, podobnie jak w przypadku wina, Marguerite nie była w stanie docenić w pełni kulinarnego arcydzieła. Wciąż czuła klucie w karku i z najwyższym trudem powstrzymywała się od tego, żeby się nie odwrócić do Mikołaja i nie gapić się na niego jak cieleń na malowane wrota.

Cukrowy zamek postawiono przed królem Henrykiem i królową Katarzyną, po czym służba wniosła półmiski mięs, ryb i duszonych jarzyn.

Roger Tilney nałożył Marguerite na talerz ćwiartkę kaczki w sosie pomarańczowym.

- Panno Dumas, jak się pani bawi w Anglii? - zapytał.

Uśmiechnęła się do niego i przeszła mięso nożem, wyobrażając sobie, że to złociste ciało Mikołaja. Wstyd przyznać, ale sprawiło jej to dzieciinną satysfakcję.

- Bardzo dobrze, panie Tilney. Miał pan rację, Greenwich to fascynujące miejsce.

- Cieszę się, że się pani podoba. Gdzie tylko się odwrócę, o niczym innym nie słyszę jak tylko o „tej przepięknej pannie Dumas”!

Z uśmiechem sięgnęła po kromkę delikatnego białego pieczywa.

- Nie wierzę. Może mówią tak dwie osoby, z panem włącznie, ale słyszałam też, że powinnam panu za coś podziękować, choć wolałabym pana przekląć.

- Umieram z ciekawości. Przyznam, że różne damy mnie przeklinały, rzadko jednak po tak krótkiej znajomości. Za co więc muszę błagać o przebaczenie?

- Za to, iż polecił mnie pan sir Guildfordowi do jego spektaklu.

Tilney roześmiał się.

- Tylko mu podpowiedziałem, że byłby to szarmancki gest, gdyby włączyć kilka francuskich dam. Pani uroda i słodycz same w sobie są rekomendacją.

- Nie jestem słodka, panie Tilney! Mówiąc prawdę, często słyszałam odwrotną opinię.

- Panno Dumas, czy nie za bardzo pani protestuje? - Wziął ze srebrnego półmiska cukrowy wafelek i poczęstował ją. - Te wykwintne przysmaki nie mogą być słodsze niż pani.

Wafelek, niestety, miał posmak goryczy, gdyż Marguerite dostrzegła nagle, że Mikołaj wciąż przekomarza się z ładniutką hiszpańską sąsiadką. Widocznie była słodsza ponad wszelkie miody i cukry.

Uczta ciągnęła się godzinami. Po karczochach w sosie podano faszerowane prosiaki z jabłkiem w pysku, po nich łabędzie i pawie, jagnię przybrane miętą, a na deser zabarwione na różowo i seledynowo słodczyce przyprószone kryształkami cukru.

W miarę jak dolewano wina, śmiechy stawały się coraz głośniejsze, ale Marguerite słyszała głównie szum we własnej głowie. Jadła mało i piła niewiele, a twarz miała obolałą od sztucznego uśmiechu.

Wreszcie służba zebrała brudne nakrycia i obrusy ze stołów, które następnie odsunięto, aby zrobić miejsce na tańce. Muzycy, którzy umilali ucztę słodkimi madrygałami, uderzyli w tony dostojnej pawany. Ująwszy drobną rączkę córki swoją olbrzymią dłonią, król Henryk poprowadził taniec.

Królowna Maria była bardzo wdzięczną istotą. Ruchy miała zwinne i pełne gracji, a na pociągłej buzi malowało się skupienie. Rozpromieniony ojciec patrzył na nią z góry, zaś królowa Katarzyna przyglądała się wszystkiemu z pogodnym uśmiechem. Czy ta dziewczynka poślubi kiedyś księcia Orleanu i stanie się zakładniczką na francuskim dworze? Tego Marguerite nie potrafiła jeszcze powiedzieć. Negocjacje dopiero się rozpoczęły, a królowna Maria wydawała się taka poważna i taka hiszpańska. Małżeństwo to mogłoby jednak przypieczętować wieczyste przymierze Franciszka z Henrykiem.

Gdy umilkły ostatnie tony, Henryk chwycił córkę na ręce i zawirował ze śmiechem.

- Spójrzcie, panowie, oto moja perełka! - zawołał, a ona skłoniła się wdzięcznie wśród oklasków.

- Perełka czy nie, dziewczynki muszą kłaść się już do łóżka - odezwała się królowa Katarzyna, a gdy król Henryk postawił córkę na ziemi, wzięła ją za rękę. - Zaprowadzę królową do jej komnat.

Ledwie królowa z damami opuściła salę, muzyka od razu się zmieniła. Powolną, majestatyczną pawanę zastąpiło żwawe saltarello, najnowszy taniec włoski. Marguerite patrzyła z uwagą, jak król Henryk prowadzi nową damę na parkiet, a inne pary rozstępują się, aby zrobić im miejsce.

Musiała to więc być owa słynna Anna Boleyn. Lady Penelope Percy miała rację, gdy powiedziała, że panna Boleyn nie jest piękna. Drobną i bardzo szczupłą, cerę miała zbyt bladą, aby konkurować z modą na róże i lilie. We włosy, lśniące i czarne jak nocne niebo, wpięła diadem wysadzany drogimi kamieniami. Gdy uśmiechnęła się do króla, w ciemnych, bystrych oczach zapaliły się swawolne błyski.

Panna Anna Boleyn miała w sobie jednak coś głębszego i cenniejszego niż zwykła uroda, mianowicie styl oraz wrodzoną grację. A także dumę i pewność siebie. Patrzyła na zgromadzonych, jakby stanowili jej własność i tylko czekali - zwłaszcza Henryk - na jej rozkazy. Zaś ze wzroku króla można było wyczytać, że gotów jest spełnić każdą jej zachciankę. O nie, Anna Boleyn nie była kimś, z kim Marguerite miałaby ochotę zdrzeć. Lepiej trzymać się od niej z daleka, jeśli to tylko możliwe.

- To pewnie ta nowa królewska dziwka - odezwał się cichy, surowy głos.

Marguerite podniosła oczy i zobaczyła, że ksiądz de Bernaldez przesiadł się obok żony, a jego miejsce zajął ojciec Pierre. Ksiądz przyglądał się tańcom, marszcząc brwi, a w jego wzroku malowała się jawna dezaprobata.

- Lepiej, by król Henryk nie usłyszał, że ksiądz mówi takie rzeczy - ostrzegła go Marguerite. - Mogą księdza pod strażą odesłać do Paryża. - Nie byłoby to zresztą takie złe, pomyślała, choć postawiłoby w złym świetle poselstwo francuskie.

- Niby dlaczego? Za chwilę jej tu nie będzie. Zniknie jak Elizabeth Blount i panna Shelton.

- Co ksiądz o nich wie? - Sięgnęła po złoty kielich i wypła resztkę wina.

- Wiem, że nie ma ich na królewskim dworze, chociaż panna Blount dała królowi syna. Kochanica, która znudzi się Henrykowi, nie ma już tutaj czego szukać. Odsyła się ją, żeby mieć kłopot z głowy, to samo czeka pannę Boleyn. Tak jak wcześniej stało się z jej siostrą. - Głos ojca Pierre'a był przesycony pogardą.

Marguerite spojrzała na parkiet. Panna Boleyn była bardzo zręczną tancerką, dwoiła się i troiła, pstrykała palcami i obracała się, a błękitne spódnice wdzięcznie wirowały. Zaś król Henryk, wyraźnie zakochany, wpatrywał się w nią z nabożnym zachwytem.

- Nie byłabym tego taka pewna - powiedziała jakby do siebie.

- Ci angielscy tancerze tupią tylko i biegają w kółko - orzekł ze śmiechem książę de Bernaldez. - Nie ma w tym za grosz gracji. Moja droga, powinniśmy im pokazać, jak wygląda prawdziwy taniec.

Marguerite zobaczyła, jak księżna Elena kryje uśmiech za wachlarzem.

- Obawiam się, że jeśli chodzi o tańce, moje czasy już dawno minęły.

- Podobnie jak moje - przyznał książę ze smętnym uśmiechem, nakrywając ręką dłoń żony.

Marguerite serce ścisnęło się w piersi. Te przekłete zakochane pary! Nagle zapragnęła uciec z roztańczonej sali, lecz powstrzymała ją księżna, która powiedziała:

- Dla panny Dumas to najlepszy czas na tańce!

- Och, nie - zaprotestowała. - Nie mam ochoty na tańce, a moja znajomość saltarella jest żadna w porównaniu z panną Boleyn. - Mówiąc to, czuła na sobie palący wzrok ojca Pierre'a.

- Nonsens! - energicznie zaoponowała księżna. - Mówi się, że francuskie damy są najlepszymi tancerkami i ledwie postawią pierwsze kroki, zaczynają się uczyć tańca. - Pomachała ręką. - Mikołaj! Chodź tu na chwilę. Jesteś mi potrzebny.

- Widzi pani, jak już moja żona wbije sobie coś do głowy, nikt jej nie przekona - z czułą kpinką oznajmił książe. - Jeżeli życzy sobie, aby pani zatańczyła, nie ma rady! Musi pani zatańczyć.

Chcąc nie chcąc, musiała się roześmiać. Czyż nie to musiała zawsze robić? Tańczyć, kiedy jej zagrano? Najpierw dla ojca, potem dla króla Franciszka. Więc dlaczego nie dla księżnej Eleny?

Czy jednak koniecznie z Mikołajem? Marszcząc brwi, patrzyła, jak zbliża się, a opuszczona Hiszpanka wydyma wargi. On tymczasem przyklęknął na jedno kolano przed księżną i uśmiechnął się, ale błękitne oczy były czujne.

- Jestem, jak zawsze, na pani usługi, madame - powiedział z galanterią. - Czego pani sobie życzy? Mam sprowadzić pomarańcze z Madrytu? Cynamon z Indii? A może perły z głębi mórz?

Księżna ze śmiechem poklepała go po policzku.

- Może później! Teraz mam dla ciebie znacznie łatwiejsze zadania, które, jak sądzę, sprawi ci przyjemność.

- Wystarczy jedno pani słowo.

- Masz poprosić do następnego tańca pannę Dumas. Chcę, żeby zatańczyła, a nie ma tu lepszego tancerza niż ty.

Marguerite przypomniała sobie Mikołaja na linie, lekkie ruchy stóp i napięte mięśnie, gdy robił salto w tył. O tak, musi być naprawdę zręcznym tancerzem. Zadrzała, gdy wyobraziła sobie, jak prowadzi ją w tańcu z ciałem przyciśniętym do jej ciała. Czy może mu zaufać?

Czy może ufać sobie?

Zerknął na nią z ukosa.

- Z największą przyjemnością zatańczę z panną Dumas, jeśli tylko mnie zechce - powiedział.

Księżna Elena uśmiechnęła się błogo. Wyglądała jak kotka, która objadła się śmietanki. Właśnie taka była cała delegacja hiszpańska - stado zmiennych, przebiegłych, fałszywych i pięknych kotów.

Gdy Mikołaj zaczął okrażać stół, ojciec Pierre zakleszczył ramię Marguerite w mocnym uścisku. Spojrzała na niego zaskoczona. Był taki milczący, że prawie zapomniała, iż czai się u jej boku.

- Nie powinna się pani zadawać z tymi ludźmi - syknął. - Oni wcale nie są tacy, jak się pani wydaje!

Próbowała się roześmiać i wyrwać rękę z gorączkowego uścisku. Co go opętało? Za nic miała jego nachalne spojrzenia, ale jeszcze nigdy nie próbował presji fizycznej.

- Ależ proszę księdza, chcę tylko zatańczyć z tym człowiekiem! Nie zamierzam uciec z nim do Madrytu. - Z drugiej strony ucieczka od tych wszystkich intryg do słonecznej Hiszpanii była wielce kuszącym pomysłem.

Zdołała wreszcie wyszarpnąć ramię i gdy Mikołaj stanął przed nią, ujęła go z wdzięcznością za rękę, on zaś zaprowadził ją na brzeg parkietu, gdzie poczekali, aż skończy się saltarello. Król oraz Anna Boleyn znikli im z oczu w tłumie tancerzy, ruchomej konstelacji barwnych jedwabów i mknących stóp. Muzykę zagłuszał tupot kroków i grzmot oklasków.

- Kim jest ten młody chudzielec? - zapytał Mikołaj.

Spojrzała przez ramię na ojca Pierre'a, który wciąż jej się przyglądał, i wstrząsnął nią dreszcz. Rzeczywiście wyglądał jak szkielet, jak figura na jednym z tych obrazów ilustrujących złowieszczą sentencję „memento mori”, jak śmierć, która przyszła na ucztę. Namaszczony i blady - odwieczny wyrzut sumienia.

Nie musi jej przypominać, że została potępiona, bo od dawna o tym wie.

- To ojciec Pierre LeBecque ze świty biskupa Grammonta.

- Najwyraźniej nie chciał cię puścić, ale trudno mu się dziwić.

- Nie wiem, o co mu chodzi - odparła zirytowana i odwróciwszy się plecami do księdza, zaczęła się bawić wstążką u rękawa. Musiała zająć czymś ręce, bo widok złotych włosów Mikołaja budził w niej nieprzewartą chęć, by dotknąć tej długiej jedwabistej fali, cieplej jak letnie słońce po długiej zimie. Jego oczy spoglądały jednak zimno, tak zimno... - Przepraszam, że księżna Elena cię zmusiła. Mówiłam jej, że nie mam ochoty na tańce.

Wzruszył ramionami.

- Księżę często powtarza, że jak jego żona wbije sobie coś do głowy, to po prostu nie ma rady. Poza tym to żadne poświęcenie zatańczyć z najpiękniejszą damą na bankiecie.

Roześmiała się. Ten pusty komplement sprawił jej dziwną przyjemność.

- Piękniejsza niż twoja hiszpańska towarzyszka? Była zapatrzona w ciebie jak w obrazek i chłonęła każde twoje słowo.

- Więc jednak to zauważyłaś? Jest pani bardzo bystra, panno Dumas.

- Lubię wszystko wiedzieć o ludziach.

- Ambitny cel, trzeba przyznać. Owszem, señorita Alva jest całkiem ładna.

- Księżna Elena twierdzi, że dobra żona i własny dom uczyniłyby pana szczęśliwszym.

- A więc już ci się zwierzała? - Roześmiał się. - Masz dar wciągania ludzi do rozmowy.

- Spacerowałyśmy dziś nad rzeką. Myślę, że księżnę Elenę nietrudno, jak to się wyraziłeś, wciągnąć do rozmowy. Jest szalenie miła i naturalna, a także otwarta. Może to zasługa klasztoru?

- Och, panno Dumas, sądziłem, że jest pani mądrzejsza. Ludzie, którzy wydają się najbardziej otwarci, z reguły są najniebezpieczniejsi.

Muzyka umilkła i parkiet opustoszał, a goście zaczęli się ustawiać do następnego tańca. Król Henryk i Anna Boleyn znów stanęli na czele. Mikołaj i Marguerite zajęli miejsce na końcu orszaku.

Zanim figura taneczna ich rozdzieli, musiała zadać jeszcze jedno pytanie:

- Więc poślubi pan señoritę Alwę?

- Małżeństwo nie jest dla ludzi takich jak pani i ja. Myślałem, że przerobiła już pani tę lekcję. - W tym momencie zabrzmiały pierwsze tony, więc posłał jej całusa, a ona gotowa była przysiąc, że całus ten wylądował jak motyl na jej policzku.

Teraz mieli tańczyć passamezzo, zwawszą i mniej dostojną wersję pawany. Henryk i Anna chwycili się za ręce i zaczęli wirować, a za nimi pozostałe pary. Ręka Marguerite ujęła dłoń Mikołaja i oni także ruszyli w tan.

Taniec był szybki. Marguerite podskakiwała i krążyła wokół Mikołaja, dopóki nie chwycił jej w talii i nie unióśł z podłogi, wirując w koło. Tłum to rozdzielał się, to znów zlewał, tworząc rozszalałą ławicę. Marguerite śmiała się beztrosko, opierając ręce na ramionach Mikołaja, który unosił ją coraz wyżej i wyżej. Miała wrażenie, iż mogłaby fruwać jak ptak!

To nawet lepsze niż ucieczka do Madrytu, opuścić tę nędzną, zdrażliwą ziemię i uwolnić się od wszystkiego oprócz tych ramion, w których czuła się tak bezpiecznie.

W końcu Mikołaj odstawił ją na parkiet, wciąż jednak czuła się tak lekka i ulotna.

O tak, naprawdę był świetnym tancerzem. Obracał ją i prowadził z taką wprawą, że niemal tego nie czuła. Zniknęła gdzieś sala bankietowa, inni tancerze, a nawet to, co ją czekało, gdy umilknie muzyka.

Orkiestra grała coraz głośniej i szybciej, szeregi tancerzy zwierały się coraz ciaśniej, aż wreszcie przyszła pora na wielki finał. Mikołaj znowu unióśł ją i tak długo wirował, aż zakręciło jej się w głowie, zanosząc się radosnym śmiechem. Patrzyła na niego z góry, na jego uśmiech i rozpromienioną twarz. Czy naprawdę

wydawało jej się, że miał zimne oczy? O nie, płonęły w nich tuziny słońc, a ona płała się w ich żarze.

Melodia zakończyła się głośnym akordem i Mikołaj po raz ostatni postawił ją na ziemi. Uczynił to powoli, tak podniecająco powoli. Śliski atlas otarł się o aksamit, a ciało o ciało. Popychana przez tłum, Marguerite oparła czoło o ramię Mikołaja, wdychając jego rozgrzany zapach, i nagle oddech uwiązł jej w gardle.

Miała przerażające uczucie, że jeśli go puści, osunie się na podłogę.

Uścisk jego rąk był mocny i pewny, czuła ich ciepło poprzez cienki jedwab. Jego szeroka pierś falowała, a ona oddychała w tym samym tempie. Przez krótki, ulotny moment poczuła, jak to jest mieć kogoś, kogo można się trzymać, gdy powieją zimne wichry.

Chwila ta, niestety, szybko minęła. Mikołaj cofnął się, wydając ją na pastwę sztormów. W pierwszym odruchu chciała w bezbronnym geście skrzyżować ręce na piersi, zaraz jednak wyprostowała się dumnie.

Mikołaj nie uśmiechnął się. Prawdę mówiąc, nawet na nią nie spojrział, tylko wzrok miał wbity w jakiś punkt ponad jej głową.

- Czy mam odprowadzić panią na miejsce, panno Dumas? - rzucił sucho.

Potrząsnęła głową. Nie była w stanie stawić czoła ojcu Pierre'owi, a nawet słodkim uśmiechom księżnej Eleny.

- Nie ma tu czym oddychać. Wyjdę na dwór zaczerpnąć powietrza.

- Pójdę z panią.

Znowu potrząsnęła głową. To on był przyczyną jej kontuzji! Kiedy krążył w pobliżu, nie była w stanie zebrać myśli. Nie mogła stać się na powrót zimną i bezwzględną Szmaragdową Lilią.

- Niech pan wraca do señority Alvy.

Roześmiał się.

- Szczerze mówiąc, też nie mogę złapać tchu. Jest tu za duży tłum, za dużo oparów wina. Poza tym nie chciałbym robić księżnej Elenie płonnych nadziei, jeżeli

chodzi o którąś z jej dam. Proszę, nich mi pani przynajmniej pozwoli odprowadzić się do swoich komnat.

Chciała zaprotestować, chciała uciekać, ale bała się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa. Było jej dziwnie lekko na sercu, a jednocześnie tak smutno. Skinęła głową, zaś Mikołaj ujął ją za rękę i poprowadził przez rozszalały, hałaśliwy tłum. Nacisk rozgrzanych ciał, pijackie rechoty, wrzaski króla Henryka - wszystko to okazało się ponad jej siły. A przecież należała do tego świata, przy tym tak wiele ją kosztowało, żeby się w nim znaleźć. Jednak tej nocy nie mogła go znieść.

Co się z nią dzieje? Pewnie to tylko brak świeżego powietrza. Jak trochę ochłonie na dworze, zaraz odzyska rozum. Nie wolno jej zapominać o celu, który jej przyświeca.

Gdy wyszli z sali bankietowej w chłodną, rześką noc, przyszło jej nagle do głowy, że może najlepszym wyjściem byłoby zepchnąć Mikołaja Ostrowskiego do Tamizy. Wizja ta tak ją rozśmieszyła, że mimowolnie zachichotała. Ciemne fale pochłonełyby go na wieki, a ona znów stałaby się taka jak dawniej, zimna i niedostępna. Kłopot polegał na tym, że wpadając, mógłby pociągnąć ją za sobą.

- Co panią tak bawi, panno Dumas? - zapytał, kiedy skręcili w jedną ze ścieżek, gdzie przed ciekawskimi spojrzeniami zasłaniał ich wyrośnięty żywopłot.

- Nic. Śmieję się z własnych żartów.

- Cieszę się, że odzyskała pani oddech choćby na tyle, by móc się śmiać.

Wciągnęła w płuca haust zimnego, przesyconego dymem powietrza, i ze zdumieniem stwierdziła, że istotnie odzyskała oddech i jest w stanie rozróżnić wszystkie zapachy: zimnego wiatru, dymu z komina, zamarzającej rzeki, kwiatów uśpionych pod ziemią. Trawy, kamieni i wina. A także Mikołaja - jego włosów, dłoni i szyi.

Jej świat zmieniał się tej nocy w sposób wręcz niewyobrażalny. Pamiętała uczucie wolności, które ją ogarnęło w tańcu, a teraz wirowała w koło z odrzuconą

głową, chłonąc bezmiar nocnego, rozgwieźdzonego nieba. I wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby wzleciała w tę bezkresną czerń.

Co w nią wstąpiło? Czy to wino, a może muzyka? Nie potrafiła powiedzieć. Mogła tylko wirować coraz szybciej i szybciej z wyciągniętymi rękami.

Za chwilę świat znowu skurczy się do rozmiarów czubka szpilki, jakim było jej życie, a ona znów zacznie intrygować i zabijać.

Mikołaj chwycił ją ze śmiechem za ręce i chciał powstrzymać, ale mu nie pozwoliła. Zamiast tego wciągnęła go w swój krąg i zaczęli razem wirować dopóty, dopóki niebo i pałac nie zlały się w jedną rozmazaną plamę.

- Kim jest to szalone stworzenie? - wykrzyknął Mikołaj, objął ją w talii i uniósł jak w tańcu, a jej znów się wydało, że wlatuje w niebo. Podniosła rękę, jakby chciała pozbierać gwiazdy i wpiąć mu je w te jego piękne włosy. - Co cię opętało, Marguerite? Moja piękna rusałko.

- Jestem opętana - wyszeptała, wczepiając ręce w jego włosy. Jedwabiste pasma prześlizgiwały jej się między pacami. - Chodź, Mikołaju, daj się ponieść szaleństwu. Niedługo będziemy musieli oprzytomnieć.

- Obawiam się, że jedno z nas powinno otrzeźwieć już teraz - powiedział, odstawiając ją na ziemię. - W przeciwnym wypadku dopadną nas niewyobrażalne kłopoty.

- Nie, nie - powiedziała, bo księżyc wciąż spowijał ją swym czarem. - Pocałuj mnie, Mikołaju.

- Marguerite...

Chwyciła go znów za włosy i przyciągnęła do siebie, a ich usta spotkały się w gorącym pocałunku. Zbyt długo tłumiona namiętność doszła wreszcie do głosu.

Marguerite przypomniała sobie Wenecję, gdzie zatraciła na jeden krótki, fatalny moment. I podobnie jak wtedy dała się ponieść rwącej fali. Nie była w stanie oderwać się od Mikołaja i sięgnąć po sztylet. Całowała go coraz bardziej rozna-

miętniona, Ignąc do niego kurczowo, jakby nigdy nie miała go puścić. Była jego więźniem, ale i on już niedługo znajdzie się w jej niewoli.

Próbował się opierać, poznała to po napiętych ramionach i wygięciu pleców. Nie puściła go jednak, a on poddał w końcu z jękiem, równie podniecony jak ona. Chwyił ją w ramiona i przyciągnął tak, że poprzez suknie czuła każdy cal jego pobudzonego ciała.

Gdy oderwał wreszcie od niej usta, zaczął okrywać pocałunkami jej twarz, szyję i tę pulsującą żyłkę tuż ponad brylantem, w której wrzała krew. A na koniec okryte aksamitnym stanikiem miejsce, gdzie biło jej serce.

Jakże straszliwie go pragnęła! Tego pięknego gibkiego ciała, śmiechu, siły, seksu, a także... dobroci. Tej czułości, którą okazywał księżnej Elenie i jej synowi. Chciała tego wszystkiego tylko dla siebie. Okrutna świadomość, że to niemożliwe, że to dla niej za dobre, potęgowała tylko jej rozpaczliwą determinację tej dziwnej nocy.

Zanurzyła dłonie w jego włosy i przycisnęła go do bijącego głucho serca.

- Mój aniele, mój piękny aniele - wyszeptwała. I mówiła to serio. Jedynie anioł lub najgorszy z demonów mógł sprawić, iż zapomniała się aż do tego stopnia.

Zamarł z ustami przy jej piersi, obcy nagle i taki daleki. Czy dźwięk jej głosu rozproszył czar? Przywarli do siebie, usta Mikołaja zaczęły sunąć wzdłuż jej szyi i ich oddechy się zmieszały. Byli niemal tak blisko, jak tylko może być mężczyzna z kobietą, a mimo to ją opuścił.

- Zabijesz mnie teraz, Szmaragdowa Lilio? - zapytał chrapliwym tonem. Chwyił ją za łokieć i podwinął rękaw, odsłaniając mały sztylet przypasany do przedramienia. Nie pamiętała już, że tam był, bo zapomniała o bożym świecie, gdy zwarli się w pocałunku.

Na widok lśniącego ostrza wróciła jej świadomość. Poczwała dotkliwy chłód i wewnętrzną pustkę. Znów usłyszała hałasy z sali bankietowej i przypomniała sobie, gdzie się znajduje.

Wyrwała się i poprawiła rękaw.

- Gdybym chciała cię zabić, dawno już byś nie żył.

- Więc dlaczego jeszcze żyję? Czego właściwie chcesz? - zapytał z wyraźnym rosyjskim akcentem, potem cofnął się i otarł dłonią usta, jakby chciał zetrzeć smak warg Marguerite.

Odwróciła się i skrzyżowała ręce na piersi. Szaleństwo już z niej uleciało, poczuła się rozbita i zła. Na kogo jednak zła? I za co? Na Mikołaja? Czy na siebie?

Zaśmiała się pogardliwie.

- Na cóż, mój panie, chciałam tylko pocałunku! Pocałunku z przystojnym mężczyzną. Czy to aż tak wiele? I czy to takie dziwne, że aż trzeba to nazywać szaleństwem?

Patrzył na nią w milczeniu, jakby chciał powiedzieć, że zna ją zbyt dobrze, by uwierzyć, iż jedynym jej celem był skradziony pocałunek

Jakże był irytujący z tym swoim przemądrzałym spojrzeniem! Miała ochotę zabić go... albo się rozplakać.

Nie pozwoli sobie jednak na łzy, nie tu i nie teraz.

- Przepraszam, jeśli uraziłam pańską przyzwoitość - powiedziała z gryzącą ironią. - Mogę pana zapewnić, że to się już nie powtórzy. A teraz wracajmy. Mam zaproszenie do księżnej Eleny na karty.

Skłonił się nisko i wskazując teatralnym gestem pałac, powiedział:

- Ależ bardzo proszę, panno Dumas, czas najwyższy zacząć grę... w karty. - Po czym, zniżając głos do szeptu, dodał: - Wiesz jednak, że to jeszcze nie koniec.

O tak, wiedziała, i to aż nazbyt dobrze. Że cokolwiek by było, nie skończy się, dopóki jedno z nich nie będzie martwe.

Rozdział dziewiąty

Atmosfera w apartamentach zajmowanych przez księstwo de Bernaldez tak bardzo się różniła od tej, która panowała w sali bankietowej, że mogłoby się wydawać, iż znajdują się w zupełnie innym pałacu.

Trącąc lekko struny lutni, Mikołaj omiół wzrokiem zgromadzonych gości, aktorów w tym przedstawieniu. Towarzystwo składało się głównie z Hiszpanów, przyjaciół księcia, a kastylijski akcent przebijał się poprzez cichą muzykę, szelest kart i brzęk złotych kielichów. Śmiechy były przytłumione, w przeciwieństwie do tych w sali bankietowej, a bogate stroje w stonowanych barwach lśniły jak stare klejnoty. W przyćmionym świetle ruchome cienie wtapiały się w ciemną boazerię.

Na tym mrocznym tle wykwitał jeden jasny punkt, skupiający na sobie całe światło - Marguerite Dumas. Siedziała przy stoliku z księżną Eleną oraz dwoma Hiszpanami, ze wzrokiem wbitym w karty i nietkniętym kielichem wina. Ani razu, choćby kątem oka, nie spojrzała na Mikołaja. A jednak miał wrażenie, że ta cienka, srebrzysta nić porozumienia, która się nawiązała między nimi od pierwszej chwili, jakby się zacieśniła.

- Wiedziałem - powiedział don Carlos. - Wy, Francuzi, nigdy nie będziecie tak wykształceni jak my, Hiszpanie, ale jedno, co nas łączy, to umiłowanie dobrej muzyki. Marguerite roześmiała się.

- W przeciwieństwie do naszych angielskich gospodarzy?

- Czy ci Anglicy w ogóle potrafią skomponować dobrą piosenkę? - zapytała señorita Alva, marszcząc kształtny nosek.

- Królowa słucha pewnie prawdziwej muzyki w swoich komnatach, ale ja nie słyszałam nic oprócz jazgotu.

- Panie Ostrowski, a może pan zna jakąś ładną angielską piosenkę? - zapytała Marguerite i wreszcie podniosła na niego oczy. Nie były już smutne i pociemniałe,

lecz zimne i beznamiętne. Nieodgadnione jak szmaragdowa morska toń. - Pan tyle podróżuje, musi więc pan coś wiedzieć o innych krajach i ich muzyce.

Wzruszył ramionami.

- Znam może jedną ładną angielską piosenkę, ale nie wiem, czy się pani spodoba, panno Dumas.

- Och, nie jestem aż tak wymagająca. Kielich dobrego wina, trochę słodczy...

- Podniosła czarękę z cukierkami. - Melodyjna piosenka w wykonaniu urodziwego mężczyzny. To mi w zupełności wystarczy.

- Sam widzisz, Mikołaju, że nie możesz sprawić zawodu naszemu pięknemu gościowi - powiedziała księżna Elena. - Panna Dumas, podobnie jak my, jest w tym zimnym kraju stęsknionym za swoją ojczyzną cudzoziemcem.

- A muzyka to uniwersalny język, który potrafi rozgrzać każdą zimną noc - dorzuciła Marguerite.

- Za nic w świecie nie chciałbym sprawić zawodu dwóm uroczym damom - powiedział Mikołaj. - Jeżeli życzą sobie panie angielskiej piosenki, będziecie ją miały.

Nastroiwszy lutnię, uderzył w struny, wstał i zaczął śpiewać.

Słowa - na poły już zapomniany poemat sir Thomas Wyatta, który podobnie jak on, wiódł cygańskie życie - przypadły mu do gustu, więc dla własnej przyjemności skomponował do nich muzykę. Nigdy dotąd nie śpiewał jej przed większym audytorium.

Także i tym razem widownia zdawała się składać z jednej osoby. Poważne spojrzenie Marguerite podążało w ślad za nim, gdy przechadzał się po pokoju, przystając przy tej jedynej damie, dla której tak naprawdę śpiewał.

Marguerite oparła brodę na łokciu i zapatrzyła się w Mikołaja. Twarz miała nieodgadnioną, zaś w głębi jej oczu zapalił się błysk... małe światełko w zielonym tunelu.

Okrażając stół, Mikołaj uśmiechnął się do señority Alvy, która zachichotała, lecz piosenkę zakończył przy panie Dumas.

Po raz ostatni uderzył w struny, po czym umilkł. Gdy zabrzmiały gromkie oklaski, skłonił się ze wzrokiem wbitym w Marguerite.

- No i jak, podobała się pani moja piosenka? - zapytał. Milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

- Rzeczywiście, może i jest to ładna angielska piosenka, oczywiście pod warunkiem, że śpiewa ją Rosjanin.

Gruchnął śmiech; dolano wszystkim wina.

- A może pani zaśpiewałaby nam jakąś francuską piosenkę, panno Dumas? - zapytała księżna. - Musi pani mieć ładny głos.

- Obawiam się, że nie tak ładny, jak pan Ostrowski. Wasza Książęca Mość, zaśpiewać po nim, to dopiero byłoby żalosne widowisko, zwłaszcza że jestem zmęczona. Z przyjemnością jednak zaśpiewam innym razem, jeśli w rewanżu będę mogła posłuchać hiszpańskiej piosenki.

- Wobec tego innym razem, panno Dumas. Już się nie mogę doczekać - Księżna Elena uśmiechnęła się dobrotliwie. - Mikołaju, zechcesz odprowadzić pannę Dumas do jej komnaty? Przetrzymaliśmy ją za długo tej nocy.

- Och nie - zaprotestowała Marguerite. - Jeden z paziów będzie mi oświetlał powrotną drogę. To całkiem niedaleko, a nie chciałabym pozbawiać państwa nader ciekawego towarzystwa Mikołaja. Księżno, książę, dziękuję za łaskawą gościnność. Doskonale się bawiłam.

Dygnęła z gracją, srebrno-białe spódnice zawirowały i Marguerite zniknęła, odprowadzana przez paza. W komnacie znów rozległy się przyciszone rozmowy, zaszeleściły karty. Mikołajowi wydało się jednak, że światło nagle zgasło, pozostawiając jedynie mroczne cienie.

Księżna Elena przywołała go do siebie.

- Jest bardzo piękna, prawda? - wyszeptała.

- Niezaprzeczalnie - przyznał z uśmiechem.

- A jednak wydaje mi się taka smutna. Wyznała mi, że jest sierotą i nie ma nikogo, kto zadbałby o jej interesy.

Pomyślał, że nikt nie jest w stanie zadbać lepiej o jej „interesy” niż ona sama. Księżna miała jednak rację, mówiąc o jej smutku. Czasami zdawał się spowijać Marguerite jak mgła, zaciemniając jej prawdziwy wizerunek ukryty pod zjawiskową urodą - tym jedynym, co wszyscy dostrzegali.

- Jak to miło z pani strony, że się pani z nią zaprzyjaźniła.

- Ty chyba też, Mikołaju. Rozweseliłeś ją nieco swoją piosenką. Jesteś najweselszym człowiekiem, jakiego znam. Mówię serio.

- Och, księżno, próbuje pani bawić się w swatkę? - zakpił dobrodusznie.

Roześmiała się.

- Nie możesz się ożenić z Francuzką! Natomiast każdy potrzebuje odrobiny muzyki oraz ciekawej kompanii, a zwłaszcza młode, samotne damy. Oczywiście pod warunkiem, że sprawy nie zajdą za daleko.

Przypomniał sobie Wenecję, swoją rękę na nagim udzie Marguerite, swoje usta na jej piersiach, a także jej smak oraz zapach i ogarniające go szaleństwo. Posunęli się wtedy o wiele za daleko.

- Obawiam się, że panna Dumas będzie skazana na moje towarzystwo - powiedział. - Mamy razem pracować nad widowiskiem.

- To świetnie! Jestem pewna, że będzie to najciekawszy spektakl, jaki kiedykolwiek oglądano w tym nudnym miejscu. A teraz zaśpiewaj nam coś jeszcze. Widziałam, że señoricie Alvie także spodobała się ta ostatnia piosenka...

Rozdział dziesiąty

Marguerite wsunęła cienki drucik do dziurki i przekreśliła go jednym precyzyjnym ruchem. Poczowała lekki opór, a potem zamek ustąpił.

To nie do wiary, pomyślała. Ci Hiszpanie są okropnie niedbali. Zamek podejrzenie łatwo dał się otworzyć. A może to jakaś pułapka? Zerknęła przez ramię, ale w pokoju nikogo nie było.

Drewnianą, pozbawioną ozdób skrzyneczkę zauważyła podczas gry w karty. Podobne służyły zazwyczaj do przewozu lub przechowywania dokumentów. Stała wśród mnóstwa pustych dyplomatycznych kopert i czystych kartek, stanowiąc nieodpartą pokusę. Nie mogła zawierać większych tajemnic, książkę Carlos de Bernaldel nie wyglądał przecież na głupca. Jednak każda najbliższa informacja mogła się okazać przydatna.

Zaś Marguerite rozpaczliwie potrzebowała czegoś, co pomogłoby jej oderwać myśli od Mikołaja. Przez całą noc nie mogła zasnąć, bo w uszach wciąż dźwięczały jej słowa jego piosenki.

Był naprawdę świetnym aktorem. Jego interpretacja okazała się tak przekonująca, jakby wiedział, czym jest i czym może być miłość. I jakby sam zgłębił tajemnice ludzkich serc.

Ona, niestety, nigdy tego nie zrozumie, bo dla niej miłość była czymś nieznanym, odwieczną zagadką po prostu.

Zaś występ Mikołaja to zwykła gra, błaha zalotna piosenka. Lśniaca, lecz pusta w środku bańka mydlana.

Taka też była jego poezja, a jednak oczy nadawały czułym słowom głębszego znaczenia.

Marszcząc brwi, wyjęła drucik z zamka i podniosła wieko.

- Do diabła! - zaklęła, gdyż drucik wbił się jej w palec i krew popłynęła cienką strużką. Mikołaj Ostrowski był tylko przeszkodą, musi więc o nim jak najprędzej zapomnieć. Teraz liczy się jedynie praca.

Owinęła rękę chusteczką, żeby nie zostawiać plam krwi, i zaczęła przeglądać papiery. Większość z nich stanowiły prywatne listy don Carlosa oraz jego świty, a także spis hojnych darów dla króla Henryka. Miała rację, niewiele z tego mogło się przydać królowi Franciszkowi. Wszystko zdawało się wskazywać na to, co już wiedziała, że Hiszpanie postanowili nie dopuścić do przymierza Anglii z Francją. I że, jak zawsze, byli stronnikami królowej Katarzyny.

Zanotowała w pamięci kilka przydatnych informacji, po czym zaczęła odkładać na powrót papiery do skrzynki w takim porządku, w jakim je znalazła. Wśród nich odkryła jednak jeszcze jeden list.

Rozwinęła lekko zmięty od przebytej drogi oraz wielokrotnego czytania pergamin, choć data na odwrocie wskazywała, że został dostarczony poprzedniego dnia.

Do Najjaśniejszej Księżnej de Bernaldez - a może powinienem powiedzieć Matki?

Ufam, iż podróż przebiegła bezpiecznie, zaś Anglia okazała się godna Twych oczekiwań. Oby Tobie i don Carlosowi udało się osiągnąć cel, abyście mogli jak najprędzej wrócić do domu i poznać Waszego wnuka, Antonia Velazqueza. Julietta urodziła szczęśliwie...

Ach, to list od jej syna! Po raz pierwszy w życiu Marguerite poczuła się intruzem, czytając cudze słowa. Zaczęła składać pergamin, gdy nagle wzrok jej padł na imię Mikołaja, więc znów wróciła do lektury.

...a ponieważ nie mogę być teraz przy Tobie, aby Cię chronić, musisz zaufać Mikołajowi tak, jakbyś mnie ufała. Wiem, już wcześniej Ci to mówiłem, kiedy go do Ciebie wysłałem, ale będę spokojniejszy wiedząc, że czuwa nad Tobą. Moja

Najdroższa Matko, jadąc do Greenwich, trafiasz w paszczę lwa, lecz ramię Mikołaja jest silne, a jego umysł przenikliwy. Gdyby nie ocalił życia mnie i Julietcie, nie byłoby teraz w kołysce małego Antonia. Słuchaj jego rad i trzymaj się go, i jeśli Bóg da, już w lecie będziemy znowu razem.

Silny i bystry. To prawda, był taki - to najpiękniejsza przeszkoda, na którą natrafiła w Anglii. Wszyscy Anglicy, jak Tilney i jemu podobni, dali się zwieść jej urodzie, strojom oraz słodkim uśmiechom. Na myśl by im nawet nie przyszło, że mogłaby być kimś więcej niż tylko francuską kokietką. Zaś król Henryk był zbyt zajęty panną Anną Boleyn, żeby widzieć, co się dzieje wokół.

Pomyślała o swojej matce, ślicznej kurtyzanie. To po niej odziedziczyła piękną twarz, która okazała się najlepszą maską. A jednak kiedy Mikołaj patrzył na nią tymi swoimi błękitnymi oczami, odnosiła wrażenie, że widzi coś więcej niż tylko ładną powierzchowność. Że sam, nosząc wiele masek, potrafi przejrzeć ją na wskroś i dostrzec pod warstwą piękna całą jej mroczną brzydotę.

Niech się zabiera do Wenecji lub Rosji, wszędzie, byle jak najdalej stąd.

Włożyła list do skrzynki i zatrzasnęła wieko. Z sąsiedniej komnaty dobiegły ją śmiechy i rozmowy. To pokojowe przyszły posprzątać sypialnię księżnej. Wtedy dotarło do niej, że za długo ślęczała nad papierami. Zatrzasnęła zamek i wybiegła z komnaty na placach, unosząc spódnice. Na korytarzu przyglądziła włosy i poszła dalej wolnym krokiem, jakby nie miała kompletnie nic do roboty i żadnych powodów do pośpiechu.

W tym skrzydle pałacu panował spokój, tylko służba wietrzyła komnaty i rozpaliała ogień w kominkach. Panowie byli na rozmowach z królem Henrykiem, a księżna ze swymi towarzyszkami spacerowała po ogrodzie. Marguerite zobaczyła je przez okno, więc korzystając z okazji, pobiegła sprawdzić zawartość skrzynki. Była pewna, że Claudine, zajęta szyciem i rozdrażniona porannymi mdłościami, nie odczuje jej braku.

Już chciała zawrócić do francuskich apartamentów, kiedy uświadomiła sobie, że nie ma ochoty siedzieć i szyć w towarzystwie kobiety, która jej nie lubi i podejrzewa o flirt ze swoim mężem. Ile też można rozmawiać o tym, jak niemodnie noszą się Anglicy? Szaleństwo, które ją opętało minionej nocy, jeszcze z niej nie wywietrzało. Nie do końca.

Dlatego zamiast wracać do siebie, zeszła na dół i udała się do ogrodu. Nie miała cieplejszego okrycia, tylko suknię z czarno-złotego aksamitu, mimo to idąc wyżwirowaną ścieżką, nie czuła zimnych podmuchów wiatru.

W ogrodach było raczej pusto, spotkała tylko kilku dworzan pograżonych w cichej rozmowie. Gdy ich mijiała, spojrzeli na nią ciekawie, ale nikt nie próbował jej zatrzymać. To i lepiej, bo czuła, że nie byłaby w stanie prowadzić uprzejmej konwersacji.

Szła przed siebie bez celu w nadziei, że ruch pomoże jej rozładować to dziwne napięcie. Gdy wyszła zza wysokiego, starannie przystrzyżonego żywopłotu, przekonała się, że nie wiedząc o tym, dotarła do teatru.

Drzwi były wpółotwarte od podmuchów wiatru. Ruszyła w ich stronę, popychana jakąś niewidzialną ręką. A przecież nie miała zamiaru wchodzić do środka. Co będzie, jeżeli Mikołaj czeka tam na nią ze swoją liną i zacznie kusić wizją złudnej wolności? Nogi jednak same poniosły Marguerite i już po chwili znalazła się wewnątrz budynku.

Imponujący teatr, z misternie wymalowanym niebem, tonął w ciemności i ciszy. Jedyne z dala dobiegały ciche odgłosy młotków. To robotnicy sir Henry'ego Guildforda budowali nowe dekoracje. W chłodnym powietrzu unosił się zapach farby, trocin i krochmalonego atłasu. Jak wszystkie miejsca nocnej rozrywki, teatr wydawał się za dnia opuszczony i smutny, co jednak odpowiadało Marguerite w jej stanie ducha.

Zamknęła za sobą drzwi i ruszyła dalej. Już niedługo będzie tu zamek, łąka, góra Olimp lub niebiański obłok. Woląta jednak ten spokój i pustkę, które zdawały się nieść nieograniczone i całkiem nowe możliwości.

Weszła na palcach do pokoiku Mikołaja. Lina leżała zwinięta w kącie, a pod ścianami stało kilka podróżnych skrzyń. Co się z nią dzieje? Czyż nie zamierzała trzymać się jak najdalej od tego Rosjanina, który był jej zawadą? Mimo to przyszła do niego.

Nie było go tu, a jednak mogłaby przysiąc, że w powietrzu unosi się zapach ziołowej świeżości - jego zapach.

Otworzyła jedną ze skrzyń i zajrzała do środka. Na dnie, owinięte w brązowy aksamit, spoczywały dwa lśniące rapiery. Były to, oczywiście, teatralne rekwizyty, nie tak ostre i groźne jak jej miecz czy sztylety, jednak wystarczająco niebezpieczne, jeśli ktoś umie się nimi posługiwać.

Przypomniała sobie pewne popołudnie na placu Świętego Marka podczas karnawału, kiedy oglądała Mikołaja oraz jego trupę podczas występów przed rozbawioną gawiedzią. Była to sztuka, w której przedsiębiorcza żona ze swoim kochankiem została przyłapana przez męża safandulę. Mikołaj był, rzecz jasna, amantem, i nawet w masce i obcisłym pasiastym kostiumie emanował seksem i rubasznym humorem. Na nic się nie zdały komiczne wybiegi żony i jej kochanka - nie udało się spławić rozzłoszczonego męża i Mikołaj musiał się z nim pojedynkować. Może nawet tymi samymi rapierami?

Koniec końców, mąż niezguła został pokonany, zaś Arlekin uciekł z jego żoną. W tym momencie wszystkie kobiety, łącznie z Marguerite, z radością znalazłyby się na jej miejscu.

Teraz jednak współczuła nieszczęsnemu rogaczowi. Przecież ją także Mikołaj bez reszty omotał.

Wyciągnęła jeden z rapierów i zaczęła nim balansować na dłoni. Rękojeść była lekka i dobrze wyważona, połyskiwała srebrzyście w przyćmionym świetle.

Potem przećwiczyła kilka pozycji i wykonała parę fachowych ruchów, by na koniec wykonać jedno silne pchnięcie, wyobrażając sobie, że zatapia ostrze w sercu pewnego Rosjanina. Ostra klinga z cichym świstem przecięła powietrze.

- Brawo, panno Dumas! - usłyszała za plecami głos Mikołaja.

Odwróciła się. Stał w progu i przyglądał się jej uważnie z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Jest pani bardzo biegła.

- Trenował mnie signor Lunelli, słynny fechtmistrz z Mediolanu. - Serce wciąż jej waliło głucho, pamiętała też, jak udawała, że to jego w muskularny tors trafiła lśniąca klinga.

- Obawiam się jednak, że wyszłam z wprawy podczas tego leniuchowania w Greenwich.

- Pani? Nie, pani nigdy nie będzie miała okazji wyjść z wprawy.

- Może jednak. - Wsunęła czubek rapiera pod klingę tego, który leżał na ziemi, podrzuciła go, chwyciła i rzuciła Mikołajowi.

Mimo rozleniwionej pozy wykazał się refleksem i złapał go, po czym uśmiechnął się na poły rozbawiony.

Marguerite przybrała wyjściową pozycję i uniosła klingę.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i podjął wyzwanie. Z początku krążyli ostrożnie wokół siebie, starając się wy badać słabości, ulubione techniki oraz siłę przeciwnika. Marguerite w skupieniu śledziła najmniejsze nawet drgnienie jego mięśni - każdy ruch ciała, każdy oddech. Czas zdawał się płynąć w zwolnionym tempie.

Gdzieś w oddali rozległ się odgłos upadającego młotka. Mikołaj nie odwrócił się, ale zobaczyła jego rozszerzone źrenice i natychmiast wykorzystwała okazję. Skoczyła do przodu i wykonała niskie, proste pchnięcie.

Niestety, przeliczyła się, bo odparował cios. Odskoczyła i znów uniosła rapier, by ponownie zaatakować.

W uszach zadźwięczały jej słowa signora Lunellego: „Pamiętaj, signorina, że twoi przeciwnicy, mężczyźni, będą mieli nad tobą podwójną przewagę - zasięg ramion i siłę. Za to ty masz szybkość i zwinność. Używaj ich! I nigdy nie trać spokoju, bo to fatalny błąd”.

Uniosła się na palcach jak w tańcu i zaczęła zadawać delikatne pchnięcia, markując atak. Szybkość i zwinność - Mikołaj będzie myślał, że stoi w miejscu, ona tymczasem przejdzie do zmasowanego ataku.

Niestety nie walczył tak, jak się spodziewała. Parował jej ciosy i podobnie jak ona zadawał niemal niewidoczne pchnięcia. Czynił to z taką łatwością, z którą trudno było jej się zmierzyć, a doprowadzający do furii uśmiezek nie schodził mu z ust.

Czuła, że jej wewnętrzny spokój, tak ważny zdaniem signora Lunellego, zaczyna topnieć pod wpływem gniewu. Dlatego wybrała niezbyt uczciwy fortel, dzięki czemu udało jej się nawet zadrasnąć Mikołaja czubkiem klingi, on jednak odrzucił rapier, a jego palce zacisnęły się wokół jej nadgarstka jak stalowe kleszcze.

- Co to ma znaczyć! - huknął. - Walczysz nieczysto.

- Tak, ale zawsze wygrywam.

- Prawie zawsze.

Ścisnął mocniej jej nadgarstek, nie boleśnie, lecz obezwładniająco. Rapier upadł z brzękiem na podłogę. Marguerite zaczęła przeklinać się w duchu za to, że zapomniała, czego jej nauczono. Pozwoliła zbliżyć się przeciwnikowi i zyskać przewagę. Prędkość i zwinność w rezultacie jej nie pomogły - zbyt silny kipiał w niej gniew.

Wciąż nie puszczał jej ręki, więc stała, patrząc na niego i ciężko dysząc. On także oddychał chrapliwie i nierówno. Czuła jego przyśpieszony puls, a ich serca biły w jednym rytmie. Twarz miał kamienną, lecz nagle dostrzegła blady rumieniec pod włoską opalenizną, a także nieznaczne drgnięcie policzka, gdy zacisnął zęby. Więc i na nim ta bliskość wywarła pewne wrażenie.

Wspiąwszy się na palce, Marguerite przycisnęła usta do jego ust. Może, jeśli pozna ich smak, zdoła rozszyfrować tę tajemniczą siłę, która przewróciła jej zimne, wykalkulowane życie do góry nogami? A może uda jej się także odczynić urok, który Mikołaj na nią rzucił? Niestety, popełniła kolejny błąd, bo jego pocałunek wciągnął ją jeszcze głębiej w jedwabną pętlę gniewu, bolesnej tęsknoty i pożądania.

Usta Mikołaja rozchyliły się pod naporem jej warg. Puścił rękę Marguerite i objąwszy w tali, przycisnął mocno do siebie. Pomyślała, że jeżeli miała stać się jego więźniem, to niech razem runą w przepaść...

Nie przerywając pocałunku, zaczęła szarpać tasiemki jego kubraka i cienkiej płóciennej koszuli, aż w końcu jej dłonie dotknęły nagiego, rozgrzanego ciała.

Oderwał usta od jej ust i zaczął okrywać pocałunkami skronie oraz policzki.

- Marguerite - wydyszał. - Droga moja! Co my robimy?

- Nie wiem - wyszeptała, wodząc palcami po jego piersi, w której tak mocno biło serce. - Próbowałam z tym walczyć, wypierałam się tego, ale rzuciłeś na mnie urok, ty piękny demonie. To chyba jakieś czary...

Parsknął chrapliwym śmiechem i przyciągnął jej dłoń, by poczuła, jak bardzo jej pragnie.

- Uważasz, że to czary?

Też się roześmiała na tę śmiałą demonstrację i zaczęła pieścić go z równą odwagą.

- A ty tak nie uważasz?

- To ty rzuciłaś na mnie urok, wiedźmo!

- Wiedźmo? Dlaczego?

- Bo jesteś czarodziejką przybyłą z baśniowego królestwa, aby nas dręczyć, biednych śmiertelników. Gdy uległem namiętności, próbowałaś mnie zabić.

Ciężko westchnęła. Wenecja, sztylet wymierzony w serce Mikołaja... Na moment zmroziła ją wizja tryskającej krwi i ciała zimnego jak lód - tego samego, które teraz, rozgrzane, tak ochoczo pieściła.

Cofnęła się i zaczęła odwiązywać aksamitne rękawy, by mu je rzucić do stóp.

- Nie mam dziś żadnych ukrytych sztyletów. - Podwinęła cieniutkie rękawy koszuli. - Ani tu... ani tu!

Chwyciwszy brzeg spódnic, uniosła gruby materiał, odsłaniając nogi w jedwabnych pończochach i zdobione klejnotami podwiązki. Podciągnęła materiał tak wysoko, by mógł dostrzec ciemny, wilgotny trójkąt.

Podtrzymując spódnicę, drugą ręką zdjęła złoty welon. Srebrzyste włosy rozsypały się na ramiona.

- Dzisiaj nie będę próbowała cię zabić, Mikołaju. Masz na to moje słowo. A teraz możesz mnie znów pocałować?

Objął ją, a gdy ich usta się spotkały, uniósł ją i przycisnął do ściany. Otoczyła go udami w pasie. Szorstki materiał spodni drażnił jej delikatną skórę, lecz nie zwracała na to uwagi. Chciała go tylko mieć bliżej, jak najbliżej.

Obsypał pocałunkami jej szyję i pulsującą żyłkę pod obojczykiem. Potem ściągnął jej głęboko wycięty francuski stanik, obnażając piersi nabrzmiałe pod jego dotykiem.

- Jesteś taka piękna... Taka piękna.

Często słyszała te słowa, ale nigdy dotąd w nie nie wierzyła. Może jednak istotnie była piękna - w jego oczach. Nie mógł przecież widzieć jej splamionej duszy.

- Nie taka cudowna jak ty, mój aniele - wyszeptała.

Gdy chwycił zębami jej sutek, poczuła, że za chwilę spłonie z pożądania. Odepchnęła go i stanąwszy z powrotem na ziemi, chwyciła go za rękę i pociągnęła na podłogę.

Nie opierał się, tylko chłonał ją wzrokiem, gdy rozgorączkowane dłonie zdzierały z niego kubrak, koszulę i spodnie.

- Marguerite... - odezwał się schrypniętym szeptem.

- Nie! - przerwała mu. - Nic nie mów, Mikołaju. - Słowa rozproszyłyby tylko czar, z którego nie chciała się ocknąć. Nie teraz.

Wyciągnął się na podłodze. Złote włosy otaczały go słoneczną aureolą, a w gorejących oczach czujność mieszała się z pożądaniem.

Marguerite zapragnęła wymazać z nich tę czujność, pozostawiając jedynie namiętność równą jej pragnieniu. Zaczęła wodzić ustami po jego szyi i nagiej piersi, chłonąc słony smak skóry i żar rozgrzanego ciała.

Gdy go tak całowała, zanurzył palce w jej włosy i bawił się jedwabistymi pasmami dopóty, dopóki jej usta nie dotarły do jego męskości.

Wtedy objął ją w talii i zagarnął pod siebie. Jednym ruchem podciągnął spódnicę, a potem rozsunął uda, by pieścić pulsującą kobiecość.

- O tak, tak! - jęknęła, czując, że cała płonie. Rozsunęła szerzej uda i zamknawszy oczy, przyciągnęła do siebie Mikołaja.

Zwarli się z siłą letniej burzy - szybko, gwałtownie, rozpaczliwie. Marguerite objęła go nogami, a on poruszał się w niej coraz szybciej i szybciej, podsycając płomień. Krwawa mgła przesłoniła jej oczy, a szum w uszach rósł, gdy unosił ją coraz szybciej i wyżej.

Gdy osiągnęła szczyt, słońce rozprysło się na tysiąc oślepiających kawałków.

- Moja kochana! - wykrzyknął.

Poczuła, jak wstrząsa nim spazm, a potem Mikołaj opadł obok niej, ciężko dysząc.

Przytuliła się do niego i osłabłymi palcami zaczęła przeczesywać złote włosy. Czuła się tak nasycona i ociężała, że mogłaby wtopić się w ziemię. Pławiła się w nieznanym jej dotąd, błogim uczuciu spełnienia. Nie żałowała tego, co się stało. Na wyrzuty sumienia przyjdzie czas później.

Rozdział jedenasty

Mikołaj uderzył rakieta w skórzaną piłkę, która odbiła się od półokrągłej ściany kortu. Ćwiczył zawzięcie serwy, aż ramię zdrętwiało mu z bólu, a pot cienkimi strużkami popłynął po plecach. Koszula kleiła się do wilgotnej skóry, mimo to nadal walił w bezbronną piłkę na pustym, rozbrzmiewającym echem korce.

Przychodząc tu, był pewny, że znalazł jedyne miejsce w Greenwich, gdzie będzie mógł pobyć sam i wypocić gniew i frustrację. Reszta dworu ucztowała w sali bankietowej. W tym również Marguerite.

Na myśl o niej jeszcze mocniej machnął rakieta. Uderzenie w piłeczkę zabrzmiało jak wystrzał armatni. Nie udało mu się jednak wymazać wspomnienia Marguerite, gdy leżała na podłodze z obnażonymi piersiami i rozrzuconym włosom. A także uśmiechu, gdy wchodził między jej rozłożone zapraszająco uda. Obraz ten wciąż go prześladował, trwale wypalony w jego pamięci i zmysłach. Wciąż czuł ten zapach lilii i czystej wody, wspominał gorącą gładkość skóry i błysk szmaragdowych oczu, gdy szeptała jego imię.

Niech ją diabli! Nie ufał tej kobiecie. O co jej tak naprawdę chodziło? Czy próbowała pokonać go seksem, skoro nie zdołała sztyletem? Jeżeli tak, to szło jej nad podziw dobrze.

Nadal nie potrafił powiedzieć, co ich wtedy opętało w teatrze. Owszem, zdarzało mu się nieraz pragnąć kobiet z nieokiełznaną namiętnością. Kochał je, ich śmiechy i łagodne głosy, czystą słodycz i skomplikowaną duszę. A one nader często odpłacały mu wzajemnością.

Nigdy jednak nie przeżył czegoś takiego, jak to, co przytrafiło mu się z Marguerite Dumas. W jednej chwili z nią walczył jak ze śmiertelnym wrogiem, a już chwilę później miał oczadziały umysł i rozpalone zmysły. Kochali się na podłodze, w ubraniu, owładnięci żądzą zrodzoną jeszcze w Wenecji.

Jednak dlaczego czuł się tak sfrustrowany, skoro ją wreszcie zaspokoił? Skąd ta złość, skąd rozdrażnienie?

Wyjął z kubła następną piłkę i rzucił nią o ścianę, wyobrażając sobie, że to głowa Marca Velazqueza. Przeklinał w duchu przyjaciela za to, że wysłał go w to gniazdo żmij, gdzie rządziła szmaragdowooka żmijka, równie pociągająca, co niebezpieczna.

- Jestem na to za stary - powiedział do siebie.

- Och, wręcz przeciwnie - rozległ się za nim głos Marguerite. - Tylko mężczyzna w sile wieku potrafi odebrać taką piłkę.

Stała w progu oświetlona blaskiem pochodni. Nie była już tą potarganą, zarumienioną kobietą, która uciekła z teatru po tym, jak się kochali. Stała przed nim wymuskana francuska elegantka w ciemnopasowej sukni, a rozdzielone pośrodku srebrzyste włosy przytrzymywała kosztowna opaska.

W oczach Marguerite tlił się jednak żar wspomnień, a ręka oparta o framugę lekko drżała. W powietrzu jakby zaiskrzyło.

Mikołaj odrzucił raketę i otarł rękawem spocone czoło.

- Jak mnie znalazłaś?

- Księżna Elena kazała mi sprawdzić, co się z tobą dzieje, i jeden z paziów powiedział mi o „szalonym Hiszpanie na pustych kortach”. Szkoda mi było czasu na tłumaczenie różnicy między Hiszpanią a Rosją.

Parsknął śmiechem.

- Byłby to próżny trud. A czego chciała księżna?

- Martwi się o ciebie. Nie uwierzyła twoim tłumaczeniom, dlaczego nie chciałeś przyjść na bankiet.

- Jest w towarzystwie swoich dam, więc z pewnością może się obejść beze mnie przez godzinę. Dołączę do niej później, na widowisko.

- Owszem, bankiety króla Henryka ciągną się tak długo, że przestają być zabawne. - Niepewnie podeszła bliżej. - Myślę, że niepokoi się o twoje zdrowie - dorzuciła, skubiąc spódnicę.

- Nigdy się lepiej nie czułem - zapewnił ją z uśmiechem. - A wszystko dzięki pani, panno Dumas.

Roześmiała się. Jej twarz tonęła w półcieniu.

- Skorzystałam z okazji, żeby uciec z uczy. Co za harmider, no i te spojrzenia.

- Spojrzenia twojego towarzysza, tego chudego jak śmierć księdza, który snuje się za tobą jak cień?

- No właśnie, ojciec Pierre. Wciąż mnie przestrzega, żebym nie zadawała się z Hiszpanami. Mówi, że wcale nie są tacy, jak się wydaje.

- To całkiem bezcelowe ostrzeżenie dla kogoś takiego jak ty.

- Dla kogoś takiego jak ja? - Przekrzywiła głowę.

- Kogoś, kto mieszka na królewskim dworze.

- Hm... No tak, ale i twoje życie wędrownego aktora musiało cię dobrze przygotować do roli dworzanina.

- Umiejętność udawania kogoś, kim się nie jest, może się wszędzie przydać. To przydatna umiejętność, móc się zmieniać na własne żądanie.

- Żeby udatnie oszukiwać - skomentowała półgłosem. Przysunął się bliżej, ujął w dłoń jej twarz i obrócił ku sobie, do światła, ale nie udało mu się nic z niej wyczytać.

A jednak Marguerite drżała jak schwytyany ptak pod jego dotykiem.

- Kim tak naprawdę jesteś? - zapytał cicho. - Nazwałem cię wróżką, czarodziejką, wiedźmą... i chyba nią jesteś.

- Tego nie mogę ci powiedzieć.

- Bo mi nie ufasz?

- Nie - odparła ze smutkiem. - Bo sama nie wiem: - Cofnęła się. - Muszę już wracać. Powiem księżnej Elenie, że z tobą wszystko w porządku, i że przyjdiesz obejrzeć widowisko.

Odwróciła się i uciekła, pozostawiając po sobie słodką woń lilii. Mikołaj podszedł do drzwi i patrząc na znikającą w mroku baśniową figurkę, rozważał w duchu sens jej zagadkowych słów. Ona zaś udała się nie do zaczarowanej, mglistej krainy, lecz do jasno oświetlonej, hałaśliwej sali bankietowej.

Wciąż patrzył za nią, gdy nagle z mroku wyłonił się tyczkowaty cień i pomknął jej śladem. Złowieszczy kruk śledzący świetlistego ptaka. Ojciec Pierre.

Czyli Marguerite nie była jedyną osobą w poselstwie francuskim, która miała tej nocy swoje tajemnice.

Siedziała na skrzyni i w napięciu wsłuchiwała się w odgłosy pałacu. Była późna noc, a niebo za oknem przybrało kolor muśniętego purpurą indygo. W grubych murach Greenwich prawie wszyscy posnęli. W sąsiedniej komnacie, u Claudine, także panowała cisza.

Marguerite nie mogła jednak zasnąć, nie mogła nawet spokojnie leżeć na wąskim łóżku. Czowała się zbyt podminowana, a jej zmysły ze szczególną ostrością odbierały wszelkie sygnały z zewnątrz.

Co miała na myśli, mówiąc Mikołajowi, że nie może powiedzieć mu, kim jest, bo sama nie wie? Oczywiście, że wiedziała, kim jest! Marguerite Dumas vel Szmaragdowa Lilia, wierna służka Francji, a przy tym niezależna od nikogo i samodzielnie wyrabująca sobie drogę na tym świecie. Pracowała na to, nie pragnąc niczego więcej, odkąd skończyła piętnaście lat.

A jednak za każdym razem kiedy, pojawiał się ten dziwny Rosjanin, wszystko to przestawało się liczyć. Jej świat zaczynał drżeć w posadach i pękał, a w jego miejsce pojawiała się coś, czego nie mogła rozpoznać. Ilekroć była z Mikołajem, ogarniała ją dziwna tęsknota za Bóg wie czym - i sama już nie wiedziała, kim jest.

Podniosła się ze skrzyni i podeszła do lustra. Miała na sobie jedynie koszulę nocną bez rękawów, cienką i lekką jak pajęczyna, a rozpuszczone włosy opadały na ramiona. Blask świecy prześwitywał przez cieniutki materiał, podświetlając kobiece kształty. Srebrzystobiała, wyglądała jak duch albo nocna zjawa.

Z trudem poznała samą siebie. Pewnie się zaraz rozwieje niczym mglisty obłok i wszyscy zapomną o jej istnieniu.

Odrzuciła na plecy długie pasmo włosów i popatrzyła na maleńki czerwony znak na piersi - pamiątkę pocałunku Mikołaja i namiętnej miłości na podłodze teatru. Pamiątkę jego dotyku i podniecenia, które zdawało się ją rozsadzać.

Tak dalej być nie może. To ją odrywa od pracy, a przecież każdy fałszywy krok może się okazać fatalny w skutkach. Po tym, jak zawiodła w Wenecji, dano jej jeszcze jedną szansę... ostatnią. Balansowała na linie, czuła się rozdarta wewnętrznie jakby nie mogła zrobić kroku ani w przód, ani w tył.

To musi się zmienić. Powinna jak najszybciej zdecydować na którą stronę zeskoczyć.

Odwróciła się od lustra i szybko sięgnęła po opończę, by uprzedzić głos rozsądku. Narzuciła czarny aksamit na nocną koszulę i bezszelestnie wymknęła się z pokoju. Na bosaka.

W korytarzach panowała cisza, przerywana jedynie pochrapywaniem paziów na posłaniach pod drzwiami oraz sykiem pochodni. Zza jednych drzwi dobiegły ją miłosne westchnienia i okrzyki. Nikt jej nie zatrzymał, gdy schodziła po schodach i przemierzała labirynt korytarzy, ukrywając jasne włosy i twarz pod kapturem. Chyba rzeczywiście zaczynała przemieniać się w mgłę.

Skrzydło, w którym mieszkali Hiszpanie, było równie ciche jak reszta pałacu, chociaż Marguerite dostrzegła pozostałości po zebraniu towarzyskim - puste kielichy, porozrzucane karty, lutnię w kącie. Podeszła na palcach i nacisnęła klamkę drzwi ukrytych za tapetą. Nie były zamknięte na klucz i otworzyły się, gdy je pchnęła. Wślizgnęła się do środka i wstrzymując oddech, zamknęła je cicho za sobą

Nie spał, tylko z otwartą książką leżał w łóżku wsparty na poduszkach. W migotliwym blasku świec dostrzegła, że jest nagi pod prześcieradłem. Jego ciało połyskiwało złociście na tle białej pościeli, a cienki materiał uwypuklał kształty. Na wspomnienie ich splecionych ciał przeszedł ją dreszcz.

Mikołaj podniósł wzrok, marszcząc brwi, i sięgnął po pokrowiec, w którym pewnie ukrywał sztylet. Zamarł jednak w pół gestu, kiedy odrzuciła kaptur i światło padło na jej twarz.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że będzie jakaś cena za tę noc, lecz była gotowa ją zapłacić.

Czy jednak naprawdę?

Mikołaj usiadł i patrzył na nią w pełnej napięcia ciszy. Prześcieradła opadły, odsłaniając wysportowane męskie ciało. Światło połyskiwało złociście na jasnych włoskach porastających nogi i ramiona. Wyglądał jak pogański bożek ze złota.

Zrzuciła opończę i podeszła powoli do łóżka, niepewna, czego może się spodziewać. Czy ją zabije? A może pocałuje? Wyśmieję i odeśle? Wolałaby sztylet w serce, niż gdyby zrobił coś takiego!

Nie odezwał się, tylko spoglądał na nią tymi nieziemskimi oczyma, kiedy wpełzała do jego łóżka.

- Marguerite... - rzucił przez zaciśnięte zęby, gdy pchnęła go delikatnie na pościel.

- Tej nocy nie jestem Marguerite - wyszeptała. - Jestem twoją wróżką.

Nachyliła się nad jego muskularnym ciałem. Jej włosy rozsypały się i odgrodziły ich od świata srebrzystą kurtyną. Czubkiem języka dotknęła pulsu na szyi Mikołaja, zlizując słoną kropelkę potu. Poczwała, jak bardzo jest spięty, ale pozwolił przejąć jej inicjatywę.

Obsypując pocałunkami jego ramię, obwiodła palcami brunatny sutek. Potem zaczęła delikatnie dmuchać i pieścić językiem, aż stwardniał.

- Ty moja czarodziejko - szepnął Mikołaj.

Roześmiała się, bo poczuła, jak wstępuje w nią moc. Zalała ją fala obezwładniającej rozkoszy. Zaczęła okrywać pocałunkami tors Mikołaja i umięśniony brzuch, by go na koniec obdarzyć najintymniejszą pieśczęcią. Wczepił palce w jej włosy, jakby chciał ją odepchnąć - albo przyciągnąć jeszcze bliżej. Przez ten jeden cudowny moment należał tylko do niej - i niczego więcej nie pragnęła.

Rozdział dwunasty

Leżała w objęciach Mikołaja, gładząc go delikatnie po ręce, by wreszcie przyciągnąć jego dłoń do swego brzucha.

Były na nim stare blizny po końskich kopytach i żelaznych podkowach, czerwone szramy, których dotąd nie oglądał nikt oprócz niej. Teraz po raz pierwszy pozwoliła, by ktoś ich dotknął. Palce Mikołaja delikatnie po nich błądziły.

- Co będziesz robił po wyjeździe z Anglii? - zapytała cicho.

Roześmiał się, muskając gorącym oddechem jej włosy, a potem przysunął ją jeszcze bliżej do siebie.

- Czemu pytasz? Żebyś jeździła za mną trop w trop po całej Europie, dopóki mnie nie zabijesz?

- Gdybym chciała cię zabić, już byś nie żył, Moskalu! - odgryzła się. - Pamiętasz, jak trzymałam w garści twój najczulszy fragment?

Parsknął śmiechem.

- Jak mógłbym zapomnieć?

Wsparała się na łokciu i popatrzyła na jego twarz oświetloną migoczącym płomieniem świecy. Był taki odprężony i roześmiany, taki młody.

- Nie zabiję cię w łóżku. Stanę przeciwko tobie w ucziwej walce.

- Naprawdę, moja droga? - Ujął ją za rękę i pocałował kolejno koniuszek każdego palca. - No to nie będziesz musiała mnie długo szukać. Kiedy ta misja się

skończy i księżna Elena wróci bezpiecznie do Hiszpanii, zamierzam osiąść na dłużej w jednym miejscu.

- Przecież jesteś wędrownym aktorem!

- Byłem nim, odkąd skończyłem dziewięć lat, a mam teraz dwadzieścia siedem i zmęczyło mnie już takie życie. Za stary już jestem na to, żeby chodzić po linie w błazeńskim kostiumie.

Za stary, żeby być szpiegiem? A co ona ma powiedzieć o sobie? Skończyła dopiero dwadzieścia jeden lat, lecz czasami czuła się jak zgrzybiała staruszka.

- A co będziesz robił?

- Boję się, że to cię rozbawi, moja wykwintna damo. Moja baśniowa królewno.

- Nie mogłabym się z ciebie śmiać, chyba że grałbyś Arlekina. Wtedy potrafisz być potwornie zabawny!

- Ach, więc widziałaś mojego Arlekina?

- Raz, na placu Świętego Marka, kiedy z młodziutką kochanką pogoniliście jej starego, skwaszonego męża.

- No to wiesz, co miałem na myśli. Już niedługo będę się bardziej nadawał do roli starego męża.

- Wręcz przeciwnie, mój panie! - Ze śmiechem pogładziła go po piersi i brzuchu. - Jestem pewna, że w całej Europie nie ma aktora, który wyglądałby lepiej w tych obcisłych jedwabkach.

- Rozpustnico! Teraz już wiem, po co tu przysłaś. Z żądz do Arlekina.

- Czy można mnie o to winić? - Oparła mu głowę na ramieniu, wsłuchując się w miarowy rytm serca. - Więc skoro nie chcesz już dłużej być aktorem, co będziesz robił?

- Zostanę rolnikiem.

- Rolnikiem? Ty? W Rosji?

- Przejadły mi się mroźne zimy. Odkupiłem od Julietty, żony mojego przyjaciela Marca, kawałek ziemi w okolicach Wenecji. Są tam na razie same chaszcze, a willa spłonęła, ale wybuduję nowy dom, mój dom. Zacznę uprawiać winorośl i jęczmień, nauczę się też wytłaczać oliwę z oliwek. I będę się spokojnie starzał pod gorącym słońcem Italii.

Zamknęła oczy, próbując to sobie wyobrazić. Dom... Połyskujące w jaskrawym świetle lśniące białe stiuki zwieńczone czerwoną dachówką, białe zasłonki powiewające w otwartych oknach, chleb, ser i oliwki na stole, a także wino z własnej winnicy na rozgrzanym tarasie, w cieniu cyprysów. Bujne krzewy winorośli ciągnące się jak okiem sięgnąć i pełne słodczy kragłe grona dojrzewające w spokoju, dopóki nie będzie ich można zebrać i przemienić w czarodziejski napój.

- Mój ojciec miał jedną pasję, oprócz wspomnień o matce, i było nią wino - powiedziała rozmarzonym tonem, owijając wokół palca jedwabiste pasmo włosów Mikołaja.

Pogłaskał ją leniwie po ramieniu.

- Chcesz powiedzieć, że miałaś rodziców, Marguerite? - rzucił żartobliwym tonem. - Ludzi z krwi kości? Że nie byłaś podrzutkiem zostawionym przez jakieś duchy na progu ich domostwa?

- Oczywiście, że miałam normalnych rodziców! Matki nie pamiętam, ale kiedy byłam dzieckiem, ojciec zabierał mnie do winnicy i opowiadał o planach i nadziejach na powiększenie zbiorów. A także o nowych metodach produkcji win, o których czytał w rolniczych traktatach sprowadzonych z Hiszpanii i Italii.

- Czy jego winnica dobrze prosperowała?

- Niestety nie, chociaż robił, co mógł. Mieszkaliśmy w Szampanii, na północy Francji, gdzie zimy przychodzą wcześniej i są dosyć chłodne, ale gleba była dobra do uprawy winorośli, kredowa, przepuszczalna, która zbyt szybko nie wysycha. I luźna, tak że krzewy mogły zapuszczać głęboko korzenie i zatrzymać drogocenne ciepło zebrane za dnia. Ojciec pracował nad metodą uzyskiwania wina z czerwonych

winogron bez kontaktu ze skórką. Chciał produkować lekko zabarwione białe wino, wielce cenione na królewskim dworze wino różowe.

- Udało mu się?

- Nie. Rok w rok zaraza niszczyła zbiory, ale on nie przestawał studiować i wciąż badał, które gatunki krzewów powinny dawać najlepsze owoce i jak powinny dojrzewać wina.

- Wygląda na to, że przekazał wiedzę swojej córce - powiedział Mikołaj, wodząc palcem wzdłuż jej pleców.

- Trochę. Nie miałam czasu na naukę ani eksperymenty, ale któregoś dnia.

- Co któregoś dnia?

Potrząsnęła głową. Nie była w stanie wypowiedzieć na głos swoich pragnień, bo nie do końca je rozumiała i nawet nie śmiała o tym marzyć. Prawdę mówiąc, w ogóle nie powinna była rozmawiać o ojcu i jego winnicach, ale Mikołaj ją sprowokował. Biała willa, zielone pola pod niebem bezkresnym i tak błękitnym jak jego oczy...

Dlatego, zamiast słów, pocałowała go, bo ten język była w stanie zrozumieć. Jego usta, przyciśnięte do jej ust, gorące i wygłodniałe, kiedy odrzucała prześcieradło okrywające jego nagie ciało.

- Do świtu jeszcze dobrych parę godzin - wyszeptała.

- Mhm. - Przyciągnął ją ku sobie, tak iż nie dzielił ich już nawet oddech. - A jak wykorzystamy ten czas?

Rozdział trzynasty

Wybuchy śmiechu odbijały się od czarnych ścian kortu, wprawiając w drżenie szyby w oknach oraz siatkę z plecionego sznurka. Było tam znacznie głośniejsze niż wtedy, kiedy Marguerite zastała Mikołaja ćwiczącego samotnie serwy. Mimo to wypełniał tę przestrzeń najczystsza energia, przewyższająca energię wszystkich dworzan razem wziętych. Tego dnia jednak nie było go i ta cała ta wesołość wydawała się Marguerite sztuczna.

Przeciwnikiem króla Henryka był jego przyjaciel, wielki koniuszy sir Nicholas Carew. Marguerite siedziała wraz z resztą widzów na trybunach. Zajmowała miejsce za Claudine, która rozmawiała z królową Katarzyną oraz jej dwórkami, skąd mogła spokojnie obserwować, co się dzieje.

Nie było nikogo spośród Hiszpanów, nawet księżnej Eleny, tylko sami Francuzi, Claudine oraz jej mąż i zmieszani z Anglikami ludzie z ich świty. Wśród śmiechów i żartów wszyscy robili zakłady.

- Nie postawi pani na króla, panno Dumas? - zapytał Roger Tilney, wślizgując się na wolne miejsce obok niej.

Uśmiechnęła się do niego. Był całkiem urodziwy z tymi swoimi piwnymi oczyma i lśniącymi ciemnymi włosami, był też nią wyraźnie oczarowany, a to zawsze mogło się przydać. Niestety, ilekroć na niego spoglądała, a on odpowiadał uśmiechem, wyobrażała sobie niebieskie oczy zamiast piwnych.

- Nie jestem hazardzistką, panie Tilney. A jeżeli już, to tak się jakoś składa, że zawsze wybieram źle.

- Król jest doskonałym graczem, nie może pani stracić, jeśli pani na niego postawi.

- Może i nie, wolę jednak inwestować w dobra, których wartość doskonale znam. - Nachyliła się i wyszeptała: - Wstażki, klejnoty i tym podobne.

Tilney roześmiał się i zaczął się bawić białą wstążką zdobiącą jej zielony rękaw.

- Pewien jestem, że w kwestii mody podejmuje pani nadzwyczaj trafne decyzje. Patrząc na panią, nie sposób pomyśleć inaczej.

Delikatnie odepchnęła jego dłoń i kokieteryjnie uderzyła wachlarzem z piór.

- Widziałam we Francji, jak król Franciszek grał w jeu de paume, ale ta angielska gra jest trochę inna.

- My, Anglicy, zawsze musimy odcisnąć swoje piętno na rozrywkach. - Odsunął się, wzruszając ramionami.

- A pan czemu dziś nie gra, panie Tilney?

- Przeciwno naszemu królowi? - Roześmiał się. O nie, dziękuję. Wolę demonstrować moją sprawność fizyczną w mniej ryzykowny sposób.

- Mogę to sobie wyobrazić...

W miarę upływu czasu koszule zaczęły się kleić zawodnikom do ciała, a gra stawała się coraz bardziej zawzięta. Tilney objaśniał rozmaite manewry, jednak Marguerite słuchała go niezbyt bacznie, bo uważnie obserwowała zarówno kort, jak i widownię, szukając tego, co zakryte.

Niezmiennie spokojna i pogodna królowa Katarzyna oklaskiwała króla, rozmawiając cicho z Claudine, która także zdawała się tego dnia w lepszym humorze pewnie dlatego, że obok siedział jej mąż. Ilekroć hrabia zwracał się do niej z jakąś uwagą, twarz jej się rozjaśniała. Biedna Claudine.

Mężowie! Cóż to za dziwna i szkodliwa rasa, pomyślała Marguerite, szczęśliwa, że los nie pokarał jej jednym z jej przedstawicieli. Zwłaszcza takim jak król Anglii albo hrabia de Calonne.

Ponoć małżeństwo pomaga mężczyźnie się ustatkować, w każdym razie tak uparcie twierdziła księżna Elena. Jednak z obserwacji Marguerite wynikało coś wręcz przeciwnego, ale też nigdy nie spotkała mężczyzny takiego jak Mikołaj. Czło-

wieka, dla którego kariera nie była jedynym celem. Może dla takich ludzi małżeństwo rzeczywiście jest dobre.

Pomyślała, że dużo się nauczyła w Anglii, i nie tylko tego, czego się spodziewała.

Gra dobiegła końca, a zwycięzcą okazał się oczywiście król Henryk. Gdy z sir Carewem wkładali aksamitne kaftany, żeby się nie zaziębić, i zamieniali miękkie trzewiki na wysokie buty, widzowie opuścili galerię. Wypłatę wygranych odłożono na później.

- No i jak? Wygrał pan, panie Tilney? - zapytała Marguerite, gdy schował sakiewkę.

- Oczywiście. Nie jestem takim głupcem, żeby stawać przeciwko królowi. Na każdym polu.

- Więc zawsze wygrywa? Jakie to nudne!

- Nie zawsze. Król Henryk kocha być zwycięzcą, bez względu na to, o co toczy się gra, ale równie mocno nienawidzi, gdy pozwala mu się wygrać tylko dlatego, że jest królem. Od czasu do czasu musi więc przegrać.

- A kluczem przy robieniu zakładów jest wiedza, kiedy nadchodzi czas przegranej?

- Jest pani bardzo bystra, panno Dumas. Rezygnując z obstawiania, popełniła pani błąd.

Roześmiała się.

- Och, przez cały czas obstawiam, i to w grach pewniejszych niż tenis.

- Czy w życiu mogą być jakieś gry, które dają pewność wygranej?

Przed oczyma mignęły jej biała willa, winnica i łąny jęczmienia. A także złociste ciało Mikołaja na białych prześcieradłach.

- Mam nadzieję, że tak.

- W takim razie musi mi pani zdradzić ten sekret, bo jeszcze na takie nie natrafiłem.

Wyszli na dwór za resztą towarzystwa. Dzień był szary i mglisty. Claudine poszła z królową Katarzyną, a jej mąż oddalił się w przeciwnym kierunku.

Po wilgotnych, dusznych kortach chłodne powietrze podziało na Marguerite orzeźwiająco, więc wciągnęła do płuc spory haust. Umysł także miała ocięzła, bo głowa pękała jej pod natłokiem nowych rewelacji. Nie chciała myśleć, że Mikołaj jest inny! Nie chciała również tęsknić za słoneczną farmą w Italii.

Nie chciała, żeby jej na czymkolwiek zależało.

- Panno Dumas, może przejdzie się pani ze mną po ogrodach? - przerwał jej rozmyślenia Tilney.

Ujęła go pod ramię.

- Z miłą chęcią, panie Tilney. Odrobina ruchu dobrze mi zrobi po tak długim siedzeniu w jednym miejscu.

Inni również musieli wpaść na ten pomysł, gdyż ogrody oraz labirynty żywopłotów pełne były ludzi, którzy spacerowali i rozmawiali, zadowoleni, że nie muszą już siedzieć na dusznych kortach lub asystować przy dyplomatycznych rozmowach.

- Zawsze mieszkał pan na królewskim dworze, panie Tilney? - zapytała, gdy przystanęli na moment, aby obejrzeć grę w kule na jednym z zielonych trawników.

- Od dziecka. Ojciec wcześniej mnie osierocił, więc matka przysłała mnie na dwór, żebym został paziem.

- I nigdy nie chciał pan stąd wyjechać?

- A dokąd? Centrum świata jest przecież tam, gdzie jest król. Tak samo jest we Francji, czyż nie?

- Owszem. Ja także, podobnie jak pan, wcześniej przybyłam na królewski dwór. To wszystko, co znam.

- Dworskie życie jest jednak cudowne, nieprawdaż?

- Zawsze tak uważałam. - I była to prawda. Życie na dworze było podniecającą i niebezpieczną grą, a ona dobrze w nią grała. Nie można jednak wiecznie być graczem. Życie nie może się sprowadzać tylko do tego.

- Co może być lepszego? - Tilney wzruszył ramionami. - Co może robić człowiek, który wypadnie z łask?

Wyszli na małą polankę, gdzie grupka paziów i pokojówek grała w ślepa babkę wokół fontanny i ławeczek. Radosne pokrzykiwania i chichoty odbijały się echem od ścian pałacu.

Patrząc na nich, Marguerite zadała sobie pytanie, czy była kiedykolwiek taka młoda? Raczej nie... A po tym, co usłyszała od Mikołaja, poczuła, że zaczyna się starzeć. Z dnia na dzień będzie coraz gorzej, aż wreszcie życie przestanie ją cieszyć. Nie bawiła jej już nawet ta gra w kotka i myszkę, którą prowadziła z Anglikami i Hiszpanami.

Co będzie, jeżeli księstwo de Bernaldez okażą się przeszkodą na drodze do zawarcia nowego przymierza? Czy byłaby w stanie ich zlikwidować, jak nakazywała jej instrukcja?

Zagryzła wargi. W głowie miała kompletny mętlik. Szczerze mówiąc, najchętniej by uciekła. Tylko dokąd? Tilney miał rację. Gdzie może być lepiej, jak na królewskim dworze? Nie miała przecież innych umiejętności prócz tych, których wymaga się od zabójcy i szpiega; nie miała także żadnej rodziny czy przyjaciół. Tak więc z braku wyboru pozostawało jej tylko robić swoje - i niech się dzieje, co chce.

Ścisnęła mocniej ramię Tilneya.

- O ile wiem, uczestniczył pan w rozmowach króla z biskupem Grammontem?

- Oczywiście. To bardzo delikatne negocjacje, więc król potrzebuje wielu doradców.

Wielu doradców? O tak, i każdy będzie innego zdania. Wolsey będzie optował za Francją, a królowa za Hiszpanami. Katarzyna wypadła wprawdzie chwilowo z łask, ale to się może w mgnieniu oka zmienić.

- Hrabina de Calonne niepokoi się o męża - zagaiła ostrożnie. - Martwi się, że ta długa podróż do Anglii, tak niebezpieczna zimą, pójdzie na marne.

- Och, hrabina, jak to kobieta w jej stanie, ma wiele powodów do obaw. Jestem jednak pewny, że tego akurat nie powinna się obawiać.

Zwolniła kroku, spojrzała na Tilneya. Musiał wiedzieć coś więcej; musiał wiedzieć, dlaczego szala przechyla się na stronę Francji - lub Hiszpanii. Mężczyźni nigdy nie chcieli rozmawiać z kobietami o polityce. Uważali, że słaba płeć nie jest w stanie pojąć wszystkich jej zawłości. Mając tę wiedzę, Marguerite potrafiła wyciągnąć z nich informacje, z których wagi nie zdawali sobie sprawy.

Obdarzywszy go słodkim uśmiechem, przysunęła się bliżej, by poczuł zapach jej perfum i mógł podziwiać srebrzysty połysk włosów.

- Król mądrze robi, obdarzając pana zaufaniem, panie Tilney - rzuciła półgłosem.

W rewanżu obdarzył ją konfidencjonalnym uśmiechem i musnął jej włosy, jakby sobie nie mógł tego odmówić.

- Zajmuję bardzo poślednie miejsce na dworze.

- Och, to nie może być prawda. Ktoś tak mądry, taki urodziwy...

Przerwał jej pocałunkiem, a ona przytuliła się i oparła mu ręce na ramionach. Musiała przyznać, że umiał całować, a jego wargi błędziły po jej wargach w sposób bardzo wprawny i podniecający. Najpierw bardzo delikatnie, a potem coraz namiętniej...

Lecz i tak nic nie czuła, a nawet mniej niż nic. Miała wrażenie, że znalazła się w pułapce bez wyjścia, bez możliwości ucieczki. Serce jej szybciej zabiło ze strachu, a ciało jakby osłabło. Nie była w stanie tego zrobić!

Wsparła się mocniej na ramionach Tilneya i przerwała pocałunek. Musiała szybko odwrócić twarz, żeby nie zauważył łez w jej oczach.

- Panno Dumas, błagam o wybaczenie! - Tilney wypuścił ją z objęć. - Nie zamierzałem wykorzystywać swojej przewagi. Jest pani po prostu taka piękna.

Roześmiała się sztucznie i machnęła lekceważąco ręką.

- Och, mój panie, czymże jest jeden błahy pocałunek w ogrodzie! Jest pan równie wytrawnym zalotnikiem jak dworzaninem. Musi pan flirtować na prawo i lewo.

Roześmiał się, jak się tego spodziewała, i nie poczuł się bynajmniej urażony, kiedy powiedziała, że musi już wracać do pałacu i odeszła powolnym krokiem, szeleszcząc spódnicami. Gdy znalazła się poza zasięgiem jego wzroku, puściła się biegiem tak szybko, jak tylko pozwalały na to trzewiczki na obcasach i obcisła koszula. Zatrzymała się dopiero na samym końcu ścieżki, nad brzegiem rzeki.

Nachyliła się nad ciemną wodą. Bała się, że zwymiotuje. Było jej zimno i męczyły ją mdłości. Nareszcie dopuściła myśl, że zaszły w niej głębokie i przerażające zmiany. A stało się to tak niepostrzeżenie, że nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki Roger Tilney jej nie pocałował.

Zrozumiała, że pękła jej pieczołowicie budowana lodowa skorupa. Mur, który wznosiła wokół serca i duszy, cegła po cegle zaczął się rozsypywać. Rozpadał się na kawałki bez względu na to, jak rozpaczliwie próbowała go naprawić i zalepić szczeliny.

Wyprostowała się, lecz wzrok nadal miała utkwiony w rzece, która płynęła dalej, niezmienna, obojętna na ludzkie namiętności i lęki. Co się z nią działo? Nic już nie rozumiała. Czy to Mikołaj? Jej dziwne uczucie do niego? Urok jego miłości, jego słowa i wizja spokojnego, dostatniego jutra? Nagle naszła ją myśl, aby rzucić się w zimne nurty rzeki i już nigdy nie wypłynąć. Wiedziała jednak, że gdyby to zrobiła, znalazłaby się w jeszcze gorszych opałach. Zbyt ciężkie było brzemie jej grzechów, by mogła trafić gdziekolwiek indziej niż do piekła.

Nigdy jednak, nawet po śmierci ojca, nie czuła się taka samotna.

Wolnym krokiem ruszyła w stronę pałacu, do życia, które tam na nią czekało. Było to wszystko, co miała.

Nagle z zadumy wyrwał ją męski głos:

- Panno Dumas!

Był to hrabia de Calonne, za którym podążał ojciec Pierre.

Otarła szybko łzy i przyoblekła twarz we wdzięczny uśmiech.

- Co pani tu robi. Taka sama? - Hrabia uniósł jej dłoń, by złożyć na niej pocałunek.

- Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem po obejrzeniu partii tenisa. - Znow uśmiechnęła się do hrabiego, który w przeciwieństwie do żony nieodmiennie wydawał się w doskonałym humorze. Oddany ojczyźnie, lecz zawsze skory do żartów. W szczerzej, piegowatej twarzy lśniły orzechowe oczy. - Pańska małżonka wróciła do pałacu z królową Katarzyną.

- To dobrze! Mam nadzieję, że Claudine nareszcie zaczyna się przyzwyczajać do Anglii, bo wygląda na to, że przyjdzie nam tu spędzić jeszcze kilka tygodni.

- Och, doprawdy? Czyżby negocjacje nie przebiegały zgodnie z naszym życzeniem? - zapytała, ignorując wymowne spojrzenia ojca Pierre'a.

- Wszystko idzie jak najlepiej, wygląda jednak na to, że król Henryk tak polubił nasze towarzystwo, że nie chce nas stąd wypuścić. Czepia się rozmaitych pretekstów, byle tylko nas tu zatrzymać - odparł hrabia. - Zresztą nic dziwnego, przecież my, Francuzi, jesteśmy błyskotliwi w rozmowie, najlepsi w tańcu i mamy najpiękniejsze damy.

Roześmiała się wdzięcznie.

- Wśród Anglików także widziałam wiele pięknych pań, na przykład lady Penelope Percy i...

- I panna Boleyn? - Hrabia skinął ojcu Pierre'owi, po czym podał Marguerite ramię. - Muszę złapać barkę do Londynu, zanim zacznie się odpływ. Mamy tam pewne sprawy do załatwienia. Odprowadzi mnie pani na przystań?

Skinęła głową, rada, iż odrywał ją od przykrych myśli.

- Panna Boleyn jest rzeczywiście urocza.

- Słyszałem, że wychowała się we Francji - powiedział hrabia, prowadząc ją ku ścieżce nad rzeką. Za nimi podążał jak zwykle milczący ojciec Pierre, i tylko szelest szat świadczył o jego istnieniu. - Czy wobec tego jest nam życzliwa? Czy sprzyja naszej sprawie?

- Nie potrafię powiedzieć - odparła Marguerite. - Nie rozmawiałam z nią, ale z pewnością nie jest przyjaciółką królowej i jej stronników.

- Oczywiście... Powinienem poprosić Claudine, żeby z nią porozmawiała i zaprosiła ją na obiad albo na karty.

Marguerite miała jednak poważne wątpliwości, czy sztywna, wiecznie skwaszona Claudine zdoła przeciągnąć wesołą, błyskotliwą pannę Boleyn na stronę Francuzów.

- Jeżeli da się jej do zrozumienia, że jest kimś ważnym...

- Traktować ją jak królową? - podchwycił hrabia. - To całkiem rozsądne. Słyszałem, że Boleynowie zawsze zadzierali nosa. Ojciec Pierre jest zdania, że ze strony króla to tylko chwilowe zauroczenie, jak to było z Mary Boleyn czy panną Blount. A co pani o tym sądzi, panno Dumas?

Przypomniała sobie rozanielone spojrzenie, którym król Henryk obdarzał Annę w sali balowej.

- Skąd mogę wiedzieć, co myśli król Henryk?

- Jednak z pewnością wie pani coś niecoś o zakochanych mężczyznach.

Uśmiechnęła się gorzko.

- Może trochę. Cóż, moim zdaniem król jest na swój sposób zakochany w pannie Boleyn. Ona postępuje z nim bardzo sprytnie i wydaje się mieć coraz większe wpływy.

Hrabia pokiwał głową. Dotarli do przystani, gdzie czekała barka.

- Jutro wracam i wtedy powiem Claudine, żeby zaprosiła pannę Boleyn na obiad. Zechce się pani do nas przyłączyć, panno Dumas?

- Oczywiście. Pomyślnych prądów, panie hrabio.

Stała na przystani i patrzyła, jak barka zsuwa się na wodę i znika na horyzoncie. Wyobraziła sobie, jak to ją unoszą fale, coraz mniejszą i mniejszą. Marguerite Dumas przestałaby istnieć i zamieniła się w coś zupełnie innego - w ptaka szybującego ku niebu albo rybę znikającą w bezkresnej toni.

Wiatr wzmógł się, smagając ją zimnymi powiewami. Drżąc, odwróciła się od Tamizy i od tego, co niemożliwe, i pośpieszyła z powrotem do pałacu. Nie wiedziała, dokąd iść i co robić. Czuła się kompletnie zagubiona.

Wtedy jej wzrok padł na budynek teatru. Drzwi były uchylone. Pomyślała, że skoro Mikołaj nie zjawił się na kortach, może będzie w swojej zacisznej izdebce, owej przystani, której sama od lat szukała.

Na myśl o nim w jej serce wstąpiła otucha. Przeraziła się, bo nigdy dotąd czegoś takiego nie czuła. Gdyby miała choć trochę rozumu, odwróciłaby się na pięcie i pobiegła do swojego pokoju, żeby naostrzyć sztylet i ułożyć nowy plan. Niestety, nogi same poniosły ją w stronę teatru - najpierw powoli, a potem coraz szybciej, aż w końcu puściła się biegiem.

Po wejściu do środka przystanąła, by zaczerpnąć tchu. Chór ćwiczył w kaplicy, a młode głosy rozbrzmiewały słodko i triumfalnie jak anielskie pienia.

Marguerite zazdrościła im tej pewności, bo sama drżała i lęk ścisnął ją za gardło.

Przebiegła salę i podeszła pod drzwi Mikołaja. Zaczęła nasłuchiwać, ale słyszała tylko szum własnej krwi.

Wiedziona impulsem, szybko wślizgnęła się do środka, z obawy, by się nie rozmyślić - i oto był tam i malował dekoracje do „Zielonego Zamku”. Miał na sobie starą, poplamioną farbą koszulę, włosy związał na karku.

Gdy drzwi skrzypnęły, podniósł wzrok i uśmiechnął się na jej widok.

- Marguerite! Co cię tu sprowadza?

Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jak mogła odpowiedzieć, skoro nie wiedziała, po co przyszła.

Podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła go całować jak szalona. Zaskoczony rozchylił usta, wypuścił pędzel z ręki i przygarnął ją tak mocno, że niemal stopili się w jedno. Pocałunek Rogera Tilneya pozostawił po sobie dziwny niesmak, tymczasem teraz wszystko było tak jak powinno. Ich ramiona, usta, ciała zdawały się wręcz stworzone dla siebie.

Mur, którym się otoczyła, pękł pod dotykiem ust Mikołaja, a ze szczeliny wylało się morze długo tłumionych czuć. Włożyła je wszystkie w ten pocałunek, jakby był już ostatni - co zresztą mogło się okazać prawdą.

- Marguerite... - Odsunął się nieco. - Co ci jest? Źle się czujesz?

Dostrzegła zmarszczkę pomiędzy jego brwiami.

- Skądże, nic mi nie jest. Po prostu zachciało mi się pocałunku. Czy to aż takie okropne?

- Okropne?! Nigdy w życiu! Moje usta - uśmiechnął się lekko - zawsze są do twojej dyspozycji. Zaskoczyłaś mnie jednak.

Oparła mu głowę na ramieniu. Jej serce wreszcie uspokoiło się, gdzieś przepadł ten okropny strach. Czowała na włosach oddech Mikołaja. Przytuliła się z uśmiechem. Teraz już rozumiała, dlaczego przyjaciele tak mu ufali. Emanował ciepłem tak rozkosznym i potrzebnym jak ognisko w zimową noc.

- O co ci chodzi, Marguerite? Jaką teraz prowadzisz grę? - zapytał tonem łagodnym, lecz podejrzliwym.

Poczuła lodowate ukłucie w sercu. Przyszła do niego wiedziona prawdziwym uczuciem, pierwszym od lat, a on ją podejrzewa o podstępą grę... Jak mogłaby go jednak za to winić? Czyż jej życie nie było jedną wielką grą? Tylko taki przekaz dała mu o sobie.

A jednak zabolą ją ta podejrzliwość. Odsunęła się i odwróciła głowę, żeby ukryć łzy, które popłynęły słonym, gorącym strumieniem. Po co te łzy? Niczego nie rozwiążą, a tylko wszystko pogorszą, poza tym będzie miała czerwone plamy na twarzy.

Roześmiała się perliście.

- Och, mój panie, czyż pocałunek nie jest sam w sobie grą? - Podeszła do dekoracji, udając, że ogląda wieżyczki i miniaturowy most zwodzony. - Co tu budujesz?

Ruszył ku niej, nie spuszczać wzroku z Marguerite.

- Oczywiście twój Zielony Zamek, madame, na nasze widowisko.

- Mój zamek? - zdumiała się.

- Czy to nie ty masz zagrać Piękność, która rządzi wszystkimi wokół?

Zasiądziesz tu w otoczeniu pięknych pań. - Postukał podest ukryty za jedną z baszt, na którą prowadziły schodki.

Rzeczywiście! W nawale wrażeń Marguerite prawie zapomniała o widowisku.

- Kiedy zaczynamy próby?

- Za jakieś dwa, trzy dni, mam nadzieję. Farba musi wyschnąć, żeby panie nie poplamyły pięknych sukien. Obsada jest już w zasadzie skompletowana.

- Ty też wystąpisz? Mógłbyś być jednym z rycerzy zdobywających wielką fortecę.

- Nie, jestem tylko reżyserem i dekoratorem.

- Jaka szkoda. Jednak pewnie zdobywanie zamku pełnego dam nie byłoby dla ciebie żadną atrakcją. Na sam twój widok opuściłyby zwodzony most.

Roześmiał się dźwięcznym, głębokim śmiechem, który nadtopił lód skuwający jej serce.

- Nie będzie czego zdobywać, jeżeli nie zbuduję zamku.

- Pomogę ci go dokończyć. - Odwiązała aksamitne rękawy, podwinęła rękawki koszuli, po czym sięgnęła po pędzel.

- Nie masz innych obowiązków? Uśmiechnęła się i machnęła pędzlem jak mieczem.

- Nie ma innego miejsca, w którym wolałabym być w tej chwili.

Rozdział czternasty

Po wypełnionym oparami farby teatrze lekki wietrzyk mile orzeźwiał i chłodził. Zielony Zamek był już prawie gotowy, dlatego mogli odetchnąć świeżym powietrzem i napić się wina.

Marguerite miała ręce poplamione farbą, a ramiona obolałe jak po pojedynku, rzadko jednak zdarzało jej się odczuwać równie głębokie zadowolenie. Dzięki jej ciężkiej pracy cały zamek był już pomalowany na zielono.

Usiadła na marmurowej ławeczce, a Mikołaj stanął obok niej i w milczeniu oglądali paradę dworzan, którzy śpieszyli do swoich zajęć.

W oddali królowa Maria spacerowała z nauczycielem oraz damami dworu. Filigranowa figurka uginająca się pod ciężarem grubych szat z purpurowego aksamitu. Izolowana, choć otoczona przez tylu troskliwych dworzan.

Marguerite szczerze współczuła tej biednej małej królownie. Co czeka ją we Francji, jeżeli zostanie księżną Orleanu? Czy tam będzie jej się żyło lepiej niż tutaj, wśród tylu rygorów?

- Wyobrażam sobie, że w dzieciństwie byłaś kimś w rodzaju królowny Marii - rzucił w zadumie Mikołaj.

Roześmiała się. Nie mógł przecież wyczytać w jej myślach, że żał jej tej małej, samotnej dziewczynki.

- Cesarze i książęta nie dobijali się o moją rękę.

- No cóż, ich strata, ale nie o to mi chodziło. Wyobrażam sobie, że miałaś coś z jej powagi i sprawiałaś wrażenie znacznie starszej, niż byłaś naprawdę. I że wiedziałaś o rzeczach złowieszczych, których my, niedojrzali głupcy, nigdy nie zdołamy pojąć.

Patrzyła, jak nauczyciel pokazuje królownie coś w książce, a ona kiwa głową, podczas gdy jedna ze służek otrzepuje jej obszytą futrem pelerynę.

- Może rzeczywiście byłam jako dziecko zbyt poważna. Sporo czytałam, żyłam głównie we własnym świecie, z całą pewnością jednak nie miałam wokół siebie tylu osób, które by się o mnie troszczyły!

Nachylił się nad nią, zapatrzonego w niekończącą się paradę dworzan.

- A twój ojciec?

- Cóż, na swój sposób dbał o mnie, ale miał inne troski. Nasz dom pozbawiony był kobiecej pieczy, dlatego gospodarstwo kulało, do tego służba wciąż się zmieniała. Wiesz, że moja matka zmarła przy moim urodzeniu?

- Tak mi przykro, Marguerite. - Spojrzał na nią ze współczuciem.

Nie chciała jego litości. Nigdy! Zwłaszcza od niego. Zniosłaby wszystko, ale nie to!

- To się zdarza. - Wzruszyła ramionami. - Matka króla Henryka, królowa Elżbieta z Yorku, także zmarła przy porodzie i nawet królewski status jej nie uratował.

- Dużo wiesz o swojej matce?

Zamknęła oczy, przywołując słońce Szampanii odbijające się od brylantowego wisiora, którym ojciec machał jej przed oczyma, by go na koniec upuścić do jej dziecinnej rączki.

- Była najpiękniejszą i najbardziej znaną kurtyzaną Paryża. Książęta i hrabiowie dobijali się o jej względy. Ojciec mówił mi jednak, że uroda była tylko dodatkiem do jej złotego serca.

- Więc wygrał z tymi wszystkimi hrabiami i książętami.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Mój ojciec pochodził ze starego, lecz zubożałego rodu. Resztki fortuny, jak sądzę, przegrał w karty, ale moją matkę kochał ponad wszystko. Zamieszkali w jego starym, rozpadającym się zamku, w Szampanii. Ojciec opowiadał mi, że byli szczęśliwi przez dwa cudowne lata. On zajmował się ukochaną winnicą, a mama prowadziła dom i hodowała róże. Z radością mnie wyczekiwała, śmiała się, gdy robiła się coraz grubsza i grubsza... i zmarła.

- Co się wtedy stało z małą księżniczką? - zapytał cicho Mikołaj.

- Okazałam się nieprzyzwoicie zdrowym dzieckiem. Rosłam i rozkwitałam, w przeciwieństwie do winnicy ojca.

- Czy był dobrym człowiekiem mimo tych wszystkich swoich... zmartwień?

Zamyśliła się głęboko, bo tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiała. Ojciec był, jaki był, to wszystko. Co trzeba mieć w sobie, żeby być dobrym człowiekiem? Potrafiła wyliczyć wielu złych, ale tak niewielu dobrych.

Aż do tej pory. Dopóki nie poznała Mikołaja, który gotów był narazić życie, żeby pomóc przyjacielowi.

- Był, jakby to rzec... wystarczająco dobry. Miał, oczywiście, jak my wszyscy, swoje słabości, które koniec końców stały się przyczyną jego upadku. Jestem jednak pewna, że kochał mnie... na swój sposób. Może, dlatego że byłam bardzo podobna do matki, co mi często powtarzał. Kiedy trochę podrosłam, zatrudnił dla mnie nauczycieli. Uczyłam się języków, filozofii, tańca, muzyki i fechtunku, natomiast on przekazywał mi swoją wiedzę o winie i winnicach. A kiedy skończyłam dwanaście lat, zabrał mnie na królewski dwór.

- Żeby ci znaleźć wysoko urodzonego męża?

- To było niemożliwe - odparła ze śmiechem. - Był wprawdzie szlachcicem, ale ja byłam... jestem bękartem, nieślubną córką. Na domiar złego ubogą, bo za jedyny posąg miałam tę nieszczęsną winnicę i dom o przeciekających dachach. Być może ojciec myślał, że zrobię karierę, idąc w ślady matki? - Podniosła oczy na Mikołaja, który wciąż przyglądał jej się z powagą. - Pewnie się dziwisz, czemu tego nie zrobiłam?

- Nie mogę osądzać życiowych decyzji innych ludzi. - Wzruszył ramionami. - Tym bardziej że niektóre z moich decyzji wciąż są dla mnie zagadką.

- Sam jesteś jedną wielką zagadką! Przynajmniej dla mnie.

Uśmiechnął się do niej promiennie. Powaga i współczucie znikły z jego twarzy.

- Aha, czyli mój plan, żeby cię zaintrygować, przeprowadzony został perfekcyjnie.

O tak, aż nadto perfekcyjnie, pomyślała.

- Moja matka tak naprawdę nigdy nie była panią samej siebie, nawet kiedy wybrała mojego ojca. Poświęciła mu się całkowicie, w tym jego pasjom i dziwactwom, rezygnując z bogactwa i pozycji, którą zdobyła w Paryżu. Ja nigdy tego nie chciałam. Byłam jednak na swój sposób ambitna i pragnęłam zdobyć lepsze miejsce na tym świecie. Chciałam być kimś więcej, niż tylko ubogą nieślubną córką wydaną za jakiegoś pana na zagonie wielkości chusteczki do nosa, ale nie wiedziałam, co mogłabym robić.

- Produkować wina?

- Być może. Kochałam winnicę i tę dziwną magię, która pozwala przemienić zwykłe winogrona w szlachetny trunek. Niestety ojciec zmarł, kiedy miałam piętnaście lat, a zamek został sprzedany na pokrycie długów. Powróciłam więc na dwór, teraz już zupełnie sama, tylko z klejnotami matki. Sprzedałam je oprócz jednego i żyłam z tego przez jakiś czas.

- A potem stałaś się Szmaragdową Lilią?

- Nie od razu. Wciąż byłam zagubiona i niepewna, aż wreszcie po raz pierwszy zabiłam. Miałam wtedy szesnaście lat. On próbował mnie zgwałcić w ogrodach zamku St Cloud. Szczęściem dla mnie był Holendrem i zjadłym wrogiem naszego króla, więc zamiast pętli na szyję zyskałam worek złota i królewską wdzięczność. - Słowa te pozostawiły smak goryczy w jej ustach. Podniosła się i odwróciła od Mikołaja, żeby nie widzieć odrazy, która musiała się odmalować na jego pięknym obliczu. - Koniec bajki na dziś! - zawołała, kierując się w stronę teatru. - Trzeba wracać do pracy. Mamy coraz mniej czasu na przygotowanie widowiska.

Chór z królewskiej kaplicy śpiewał pieśń do słów Petrarki. Mikołaj słuchał niezbyt uważnie, pochłonięty obserwacją Marguerite. Wraz z hrabiną de Calonne

oraz innymi francuskimi damami siedziała po przeciwnej stronie zatłoczonego teatru i z łagodnym uśmiechem przyglądała się śpiewakom. W zielonej adamaszkowej sukni, cała srebrzysto-zielona, z perłami we włosach, wyglądała jak wiosna.

Miała szesnaście lat, kiedy po raz pierwszy zabiła człowieka. Słowa te, wypowiedziane cichym, smutnym głosem, nie dawały mu spokoju. Oczywiście nie miała innego wyjścia. Była wtedy sama i taka młoda, otoczona ludźmi, którzy chcieli ją wykorzystać. Nie miała nikogo, kto by jej pomógł i chciał obronić. Opowiedziała mu to rzeczowym tonem, ale Mikołaj wyczuł podskórny ból, gdy wspominała wydarzenia, które na zawsze zmieniły jej życie.

Teraz rozumiał już, dlaczego zrobiła na nim wrażenie małego, pięknego ptaszka, który miota się w złotej klatce. I dlaczego tak skrzętnie ukrywała się przed światem. Przed nim także, nawet kiedy leżała w jego ramionach.

Dopiero teraz po raz pierwszy ujrzał rysę na zimnej, pięknej fasadzie, i mógł dostrzec to, co się pod nią kryje - wrażliwą, mroczną, udręczoną duszę Marguerite Dumas.

Opuściła nagle wzrok, a jej palce zaczęły wygładzać rąbek sukni obszytej perłami. Jakie myśli kryły się pod tym pogodnym uśmiechem? Czy żałowała, że pozwoliła Mikołajowi zajrzeć w głąb swej przeszłości i duszy? A może zastanawiała się nad tym, jak wykorzystać ich zażyłość do swoich celów?

Nagle spojrzała na niego, przyłapując go na tym, że się jej przygląda. Maską na moment opadła i jej oczy napełniły się bezbrzeżnym smutkiem. Otaczał ich tłum, a mimo to tylko ich dwoje było na tym świecie. Na moment połączyła ich nić porozumienia.

Potem odwróciła wzrok. Mikołaj widział tylko alabastrowy zarys jej policzka i lśniąca perły na szyi. W przyćmionym świetle wyglądały nieomal jak stryczek, którego cudem uniknęła jako młoda dziewczyna.

Zaprzagnął wziąć ją w ramiona i przytulić tak mocno, żeby już żadne zło, żadna brzydota nie miały do niej dostępu.

Bezsensowne pragnienie, bo przecież sama wybrała swoją drogę. On także już wybrał. Postanowił raz na zawsze porzucić niebezpieczny świat intryg i polityki. W jego życiu nie było miejsca dla Marguerite - ani w jej życiu dla niego. Co jednak nie umniejszało instynktownego pragnienia, by ją chronić. Kobieta, która próbowała go zabić.

I która może znowu będzie próbować... Przypomnił sobie ukryty w pokoju sztylet z rękojeścią ozdobioną szmaragdem. Może pora zwrócić go właścicielce i pozwolić Szmaragdowej Lilii odejść?

Koncert zakończył się gromką burzą oklasków. Mikołaj cofnął się pod ścianę, by przepuścić tłum wychodzący z teatru. Odprowadzi księżną Elenę do jej komnat, a potem zadecyduje, co zrobić ze sztyletem.

Minął go orszak hrabiny de Calonne, a wraz z nim Marguerite. Poczł woń liliowych perfum i przelotne muśnięcie, kiedy niepostrzeżenie wsuwała mu karteczkę do ręki.

Nie oglądając się za siebie, wyszła z teatru, a bladozielona suknia wtopiła się w noc. Mikołaj rozwinął karteczkę i szybko przebiegł ją wzrokiem:

Kiedy w pałacu zapanuje spokój, przyjdę do ciebie.

M.

Rozdział piętnasty

- Co było później? Po tym, jak zabiłaś tego Holendra?

- Hm? - Marguerite leżała z głową na ramieniu Mikołaja, a jej palce kreśliły leniwe kółka na jego nagim torsie. Wyczerpana miłością, odpływała powoli w senne znużenie. Jego słowa, ciche i złowieszcze, ściągnęły ją z obłoków na ziemię. Palce jej zamarły w pół pieszczoty. - Potem? Potem nic, bo on już nie żył.

- Całkiem zasłużenie. Tylko skończony łotr mógł zaatakować młodziutką dziewczynę. Jak jednak przeszedł od tego aktu samoobrony do...

- Chcesz wiedzieć, jak do tego doszło, że zostałam Szmaragdową Lilią? - Usiadła i podciągnęła pod szyję pomięte prześcieradło, aby zakryć gołe piersi.

- Tak... - Oparłszy głowę na rękę, wbił w nią wzrok.

Tak bardzo przygważdżał ją tym spojrzeniem, że nie była w stanie się odwrócić lub ukryć nawet przed samą sobą.

- Odkryłam, że jestem przerażająco dobra w zabijaniu. Przydały mi się te wszystkie lekcje fechtunku i podręczniki sztuki wojennej z biblioteki ojca. Byłam też dobra w maskowaniu złych uczynków, a także w udawaniu kobiecej niewinności i ignorancji. No i oczywiście spodobał mi się ten worek złota, którym król mnie wynagrodził. Do tamtej pory udawało mi się skutecznie ukrywać moje ciężkie położenie, ale to nie mogło trwać wiecznie. Więc pomyślałam, że to cudowne móc uwalniać Francję od jej wrogów i jeszcze na tym zarabiać.

- Nadal tak myślisz?

- Nic innego nie umiem. - Wzruszyła ramionami. - Nie znam innego sposobu na życie. To wszystko, co mam w tej chwili.

- Myślę, że mogłabyś mieć i robić wszystko, co tylko zechcesz. Ale to twój wybór... - Ująwszy ją za rękę, zaczął oglądać jej dłoń, delikatną i różową, z bladymi odciskami od broni u nasady palców. - Wiesz doskonale, że nie pozwolę ci skrzywdzić księżnej Eleny i jej męża, bo przysięgłem nad nimi czuwać.

Zamknęła dłoń wokół jego palców.

- A ja przysięgam, że dopilnuję, by to przymierze zostało zawarte. Za nic jednak nie skrzywdzę księżnej Eleny. Była dla mnie miła, choć nie mam pojęcia, dlaczego. - Leżeli przez chwilę w milczeniu, trzymając się za ręce. Marguerite wpatrywała się w Mikołaja jak urzeczona. Wreszcie powiedziała:

- Wiesz już wszystko o mojej plugawej przeszłości i o moim nędznym dzieciństwie. Powiedz mi teraz coś o sobie.

- O sobie? - Uśmiechnął się i obsypał jej rękę pocałunkami.

- Jestem jak otwarta księga, moja miła.

- Wręcz przeciwnie, jesteś jedynym człowiekiem, którego nie udało mi się rozszyfrować. Twój rodzice także musieli być aktorami, bo cię dobrze wyszkolili.

Wyciągnął się na wznak z rękami pod głowę.

- Urodziłem się w Moskwie, w kupieckiej rodzinie - powiedział cicho. - Ojciec sprowadzał futra z północy, a przyprawy i jedwabie ze wschodu. Żyliśmy całkiem dostatnio, rodzice, siostrzyczka Aleksandra i ja.

Trudno jej było wyobrazić sobie Mikołaja w zamożnym domu kupieckim, ubranego w długie szaty bogatego Rosjanina, i targującego się nad skrzynkami pieprzu i belami materiału.

- Co się stało z tym twoim dostatnym życiem?

- Rodzice zmarli na zarazę, która nawiedziła miasto, kiedy miałem osiem lat. Też zachorowałem, jednak przeżyłem, żeby ich pochować. - Wyciągnął nogę i pokazał czerwone ślady na wewnętrznej stronie uda. - Pochowałem też Aleksandrę, moja śliczną siostrzyczkę.

Mówił to cichym, beznamiętnym tonem, Marguerite wiedziała jednak, jak to jest, gdy człowiek zostaje nagle sam jak palec na tym świecie. Złożyła delikatny pocałunek na czerwonej bliźnie.

- A co było później?

Zanurzył dłonie we włosach Marguerite i ponownie ułożył jej głowę na swojej piersi.

- Miałem tylko jednego krewnego, młodszego brata mego ojca. Wuj Aleksiej nigdy nie interesował się handlem. Chciał podróżować i studiować magię. Był hultajem o duszy wagabundy. Jako młody chłopak uciekł z trupą akrobatów, a mój ojciec rzadko o nim wspominał. Aleksiej był czarną owcą, marnotrawnym synem. - Powiedział to z uśmiechem, pod którym musiało się ukrywać głębokie przywiązanie.

- To on wziął cię do siebie po śmierci rodziców?

- Tak, kiedy go odnalazłem i wysłałem list. Zajęło mu to trochę czasu, bo przybywał z bardzo daleka, mnie zaś od razu po śmierci rodziców umieszczono w klasztorze. Te miesiące zupełnie wystarczyły, bym zrozumiał, że nie mam powołania do życia zakonnego. Znacznie bardziej odpowiadało mi życie Aleksieja.

- To on nauczył cię aktorstwa?

- A także chodzenia po linie, fechtunku...

- Uwodzenia pań?

Roześmiał się.

- Owszem, był w tym mistrzem. Zmarł kilka lat temu, zostawiając mi swoje kostiumy i dekoracje, abym mógł założyć własną trupę. Zostawił mi także coś jeszcze...

- Co takiego? - spytała zaintrygowana Marguerite.

- Nie, nie, madame - rzekł z uśmiechem. - To całkiem inna historia, a na dziś mam już dość opowiadania.

Przewrócił ją na plecy, wyciskając drobne, rozkoszne pocałunki wzdłuż jej ramienia i biustu. Zadrżała i ochoczo poddała się pieszczotom.

- Mnie też, Mikołaju, zmęczyło już mówienie. Mógłbyś zrobić lepszy użytek ze swoich ust.

- Na przykład taki? - Przeciągnął ręką po jej nodze, a potem uniósł stopę do ust i obsypał pocałunkami, by na koniec pocałować każdy palec.

Westchnęła, potem się roześmiała.

- Na początek.

- A co powiesz na to? - Powiódł językiem wzdłuż jej łydki.

- Mój aniele - wyszeptała wstrząsana dreszczem, gdy zaczął lizać wrażliwe miejsce pod kolanem. Pod dotykiem Mikołaja każdy cal jej ciała budził się do życia. Istniał tylko on i ta krótka chwila, kiedy byli jedynymi ludźmi na tym świecie. Istniały tylko te jego pieszczoty, coraz bardziej śmielsze i intensywniejsze...

Aż wreszcie świat rozprysnął się na tysiąc kawałków, jak w barwnym fajerwerku, a ona osunęła się bezwładnie na prześcieradła.

- Mój kochany - wyszeptała. - Moje serce.

Pomyślała, że kiedy wróci do Francji, a on do słonecznej winnicy, będzie się czuła okaleczona i nieprawdziwa, bo Mikołaj zabierze z sobą jej serce.

Rozdział szesnasty

- Piknik? - powtórzyła z niesmakiem Claudine. - Mamy jeść na ziemi? Jak zwierzęta?

- Och, daj spokój, moja droga. Zobaczysz, że będzie wesoło - perswadował jej mąż. - Na przykład możemy zabawić się w pasterzy.

Marguerite pochyliła głowę nad robótką, aby ukryć uśmiech. Wątpiła, by hrabiemu udało się przekonać Claudine do tego pomysłu. Sama natomiast uważała, że wycieczka w słoneczny dzień, prawdziwa rzadkość pod angielskim niebem, może być bardzo przyjemna. Zresztą każda propozycja by ją uradowała, bo Marguerite była w szczególnie dobrym humorze. Chciało jej się śmiać, śpiewać i wirować z otwartymi ramionami, coraz szybciej i szybciej, aż jej się zakręci w głowie.

Czuła się... no tak, czuła się szczęśliwa! A wszystko dzięki Mikołajowi. Na wspomnienie jego pocałunków, intymnych pieszczot i oszalamiającej rozkoszy ogarnęła ją dziwna błogość. Przypomniała sobie także coś jeszcze cenniejszego i bardziej intymnego - jego opowieść o stracie rodziców i siostry. A także jaki był uroczy, kiedy próbował wyciągnąć z niej jej tajemnice.

Niestety reszta dam zdawała się nie podzielać dobrego nastroju Marguerite. Siedziały skulone w fotelach, szyjąc lub czytając, zmęczone po tyłu dniach spędzonych z wymagającą Claudine. Dlatego zaproszenie od króla na przejażdżkę po parku i piknik pod drzewami wzbudziło nikłe zainteresowanie. Jednak Claudine swoim złym nastrojem mogła w każdej chwili zgasić nawet i tę wątłą iskierkę.

- Król Henryk może sobie udawać pasterza, jak mu się podoba, z tą jego dziwką Boleyn w roli pastereczki - rzuciła ze złością. - Nie mam ochoty siedzieć na mokrej ziemi. Jeszcze się przeziębę!

- Na dworze wcale nie jest tak mokro - zaprotestował jej mąż. - Weźmiemy poduszki, na których będziesz mogła siedzieć całkiem wygodnie, a dobre wino z przyprawami rozgrzeje ci krew.

Claudine wydeła tylko kapryśnie wargi, więc hrabia spróbował z innej beczki. Wyprostował się i ujął pod boki z marsową miną. Przypominał w tym bardzo króla Anglii.

- Nie jesteśmy tutaj dla przyjemności, ale po to, aby sfinalizować korzystne dla Francji przymierze. Nie może być tak, żeby jakieś damskie fummy przeszkodziły w zawarciu tak ważnego traktatu! Musimy zadowolić króla Henryka i spełniać wszystkie jego zachcianki.

- Damskie fummy! - wykrzyknęła histerycznie Claudine. - Nosząc twoje dziecko, przebyłam w środku zimy taki szmat drogi po to tylko, żeby się rozchorować i patrzeć, jak flirtujesz z tą Penelope Percy. A ty śmiesz twierdzić, że...

Sytuacja zdawała się wymykać spod kontroli. Marguerite westchnęła i odłożyła robótkę.

- Przepraszam, panie hrabio - powiedziała cicho, a gdy Claudine i jej mąż odwrócili się jak na komendę i spojrzeli na nią ze zdumieniem, mówiła dalej: - Obawiam się, że pani hrabina ma rację. Na dworze jest zbyt mokro jak dla damy w jej stanie, nawet jazda w lektyce mogłaby zaszkodzić. Musimy wziąć pod uwagę zdrowie pańskiego potomka, zarazem jednak nie wolno nam zapominać o królewskich kapryśkach. Nie możemy odrzucić jego zaproszenia. Dlatego ośmielę się zaproponować, żeby hrabina zaprosiła królową Katarzynę na obiad, natomiast panny DuParc i Malreux oraz ja udamy się wraz z panem na piknik.

Hrabia pokiwał głową i odsunął się od żony.

- To bardzo rozsądna propozycja, panno Dumas. Tak, to całkiem sensowny plan.

Może i sensowny, pomyślała Marguerite, miał jednak pewną wadę. Jak teraz wymknie się do Mikołaja? Po prostu wykluczone.

Przepełniająca ją radość mocno przygasła.

Popołudnie było wprost wymarzone na wycieczkę. Wiał rześki wietrzyk, blade słońce prześwitywało zza chmur. Gdy wjechali na szeroką ścieżkę, Marguerite

spojrzała za siebie, szukając wzrokiem Mikołaja. Jechał z tyłu wraz z señoritą Alvą i dwiema innymi damami.

Kruczowłose, zaróżowione od ruchu na świeżym powietrzu młode Hiszpanki wyglądały naprawdę prześlicznie. W ich oczach malowało się nieśmiałe uwielbienie, reagowały chichotem na każdą uwagę Mikołaja. Wydawały się takie słodkie i niewinne, a on był wyraźnie zadowolony z ich towarzystwa. Śmiał się, żartował, powstrzymywał konia, aby się dostosować do wolniejszego tempa dam.

Marguerite nie bez satysfakcji zauważyła, że Hiszpanki nie radziły sobie w siodle tak dobrze jak ona. Po wypadku, któremu uległa w dzieciństwie, potrzebowała sporo czasu, by ponownie przywyknąć do koni. Przemogła się jednak i stała jeszcze lepszą amazonką. Hiszpanki były znacznie bardziej ostrożne i nie odważyły się spróbować skoków, kiedy galopowali po łąkach. Mimo to Mikołaj pozostał z nimi.

Marguerite znów spojrzała przed siebie, zastanawiając się, gdzie się podziało jej poranne zadowolenie. Rozwiało się gdzieś, pewnie na dziedzińcu przed stajnią. Albo zostało w łóżku Mikołaja.

Na czele niewielkiej kawalkady jechał król Henryk z nową faworytą. Marguerite zazdrościła w duchu Annie Boleyn białego rumaka z francuskim siodłem z czarnego aksamitu, obszytym złotą frędzlą oraz dopasowanymi wodzami i uprzężą. Biegące obok charty Anny miały czarne płaszczyki ze złotymi kołnierzami, na których wyhaftowano inicjały AB.

Za królem jechała grupka jego angielskich przyjaciół - Nicholas Carew, który grał z nim w tenisa, brat Anny, urodziwy George Boleyn, Roger Tilney oraz brat lady Penelope Percy. Potem jechały francuskie damy, hrabia de Calonne, a także, o dziwo, ojciec Pierre! Biedny ksiądz czuł się w siodle bardzo nieswojo, ale starał się robić dobrą minę do złej gry. Próby utrzymania się na końskim grzbiecie pochłaniały całą jego uwagę, więc na szczęście nie był w stanie rozmawiać z Marguerite i przestrzegać jej przez zbyt bliską przyjaźnią z Hiszpankami.

To właśnie ci Hiszpanie zamykali kawalkadę - księżę de Bernaldez, Mikołaj oraz trzy młode damy. Księżna Elena, podobnie jak Claudine, pozostała w swoich komnatach.

Marguerite była niezmiernie rada, że nie utknęła w pałacu. Nawet Mikołaj zalecający się do hiszpańskich dam i obserwujący ją bacznie ojciec Pierre nie byli w stanie popsuć jej humoru, gdy lekki wietrzyk muskał twarz. Co za miła odmiana po tyłu dniach spędzonych w dusznych wnętrzach. Żałowała tylko, że nie może spać konia i pogalopować wraz z Mikołajem przez pola i lasy, pozostawiając za sobą całą resztę.

Gdy wyjechali z za zakrętu, ich oczom ukazała się mała polana otoczona bezlistnymi drzewami.

- Drodzy przyjaciele! - wykrzyknął król Henryk. - Witajcie w mojej nowej sali bankietowej!

Zaskoczona Marguerite roześmiała się. A więc Claudine nie musiałyby siedzieć na ziemi jak pasterka! Na polanie ustawiono w podkowę stoły nakryte białym adamaszkowym obrusem, a na nich półmiski z pieczonym mięsem i duszonymi jarzynami oraz czary kandyzowanych owoców i migdałów w cynamonie. Przy każdym talerzu umieszczono kielich wina i bochenek białego chleba.

Gdyby nie dywan z rdzawych liści i suchych gałęzi, można by pomyśleć, że wrócili do pałacu.

Służba podbiegła, aby pomóc gościom zsiąść z koni i zaprowadzić na miejsca. Marguerite znalazła się naprzeciw Mikołaja, Francja i Hiszpania zasiadły osobno, a Henryk z Anną przy głównym stole. Pojawili się też muzycy i grupka błaznów, więc po chwili gwar i śpiew zmieszały się z szumem wiatru.

Wino lało się strumieniami, śmiechy stawały się coraz głośniejsze, a żarty coraz bardziej rubaszne. Nawet Marguerite śmiała się bezradnie z żarcików królewskiego błazna, chudego jak szkielet Willa Somersa o ostrym jak brzytwa

dowcipie. Pozwoliła też Rogerowi Tilneyowi, by napełniał jej kielich częściej, niż nakazywał rozsądek, broniła się jednak przed jego zalotami, wtykając mu słodycze do ust.

Kiedy rozchichotana odwróciła się od niego, zobaczyła, że Mikołaj przygląda się jej z tym swoim zagadkowym uśmiechem.

Jakże był urodziwy, pomyślała ze ściśniętym sercem. Przystojni mężczyźni, w miarę jak ich lepiej poznawała, z reguły stawali się mniej atrakcyjni, bo wychodziły na jaw egoizm i chciwość, a także inne przywary. Natomiast Mikołaj za każdym razem, gdy go widziała, wydawał jej się jeszcze lepszy i piękniejszy. Wzruszało ją to, a zarazem doprowadzało do furii!

Uśmiechnęła się do niego i uniosła lekko nogę w miękkim skórzanym bucie, wskazując na swoją stopę, żeby przypomnieć minioną noc, kiedy ją pieścił i całował.

Wybuchnął śmiechem - i nagle wszystko wokół znowu pojaśniało.

- Musimy zatańczyć - oznajmił król, po czym dał znak muzykantom, by zagrali skoczny ludowy taniec, a następnie poprowadził pannę Boleyn na parkiet z gałęzi i liści. Reszta dołączyła do nich, klaszcząc i wirując w tanecznym kręgu.

Marguerite roześmiała się i też zaczęła klaskać w rytm melodii.

- Wydaje się pani w wyśmienitym humorze, panno Dumas - powiedział Roger Tilney, przełknąwszy słodycze, którymi napchała mu usta.

- Bo jestem. Uwielbiam być na dworze w ładny dzień.

- Może wobec tego miałyby pani ochotę zatańczyć? - zapytał, a widząc jej wahanie, dorzucił szeptem: - Przysięgam, że nie będę próbował pani pocałować.

Roześmiała się.

- Nie mógłby pan, panie Tilney, kiedy dokoła jest tyle ludzi!

Pocałunki zostawmy królowi i pannie Boleyn, ja natomiast z przyjemnością zatańczę.

Włączyli się w roztańczony krąg, tempo rosło, pary wirowały i przytupywały coraz szybciej i szybciej. Nawet Marguerite brakowało tchu. Co to był za taniec! Zniosła się śmiechem, gdy któryś z rozszalałych tancerzy wpadł na nią i wytrącił z równowagi.

- Stać! Stać, powiadam!

Wszyscy zastygli, a pary omal nie poprzewracały się jedna na drugą, bo rozpedzone nogi nie nadszyły za głową. Muzyka umilkła jak nożem uciął.

Marguerite wyprostowała się i oczom jej ukazał się niespotykany widok. Przeraziła się, że ma jakieś przywidzenia. Przetarła oczy, ale nic się nie zmieniło.

Polanę otaczali zbójcy w zielonych pludrach i brunatnych tunikach. Twarze zakrywały skórzane maski. W rękach trzymali napięte łuki wycelowane w rozbawiony tłum.

Jedna z hiszpańskich dam krzyknęła przeraźliwie i upadła zemdlona. Marguerite w jednej chwili wytrzeźwiała. Podsunęła wolno spódnicę i namacała sztylet przypasany do uda. Gdyby udało jej się ustawić naprzeciw herszta, mogłaby rzucić sztyletem prosto w jego serce...

Potem jednak zauważyła coś dziwnego. Strzały w łukach były ślepe, a król Henryk zdawał się nie przejmować tym, że banda zbójców napadła na jego gości. Wręcz przeciwnie, uśmiechał się od ucha do ucha.

Opuściła spódnicę. Więc tak wygląda angielski humor? Nie wydawało jej się to ani trochę zabawne, ale Anglicy wyglądali na wielce ukontentowanych. Widocznie król już wcześniej urządzał takie maskarady.

- Jaka jest wasza cena za to, że zostawicie nas w spokoju? - zapytał król jednego ze zbójców. - Widzicie, że nie mamy broni.

- Żądamy wina - odpowiedział herszt. - A także tańca z najładniejszą spośród dam.

- Co za wymagania! - zagrzmiał król Henryk.

Boże, jakim jest kiepskim aktorem, pomyślała Marguerite. To spora wada u króla, który musi być mistrzem intryg.

- Jednak aby ocalić nam wszystkim życie, ofiarowuję ci rękę najpiękniejszej z dam. - Ujawszy Annę pod ramię, przekazał ją ceremonialnie hersztowi bandy, który skłonił się nisko.

Pozostali zbójnicy rzucili się do stołów, by napęłnić brzuchy, lub do dam, by je poprosić do tańca. Muzycy podjęli przerwana melodię, ale każdy zaczął grać co innego, bo nikt nie mógł sobie przypomnieć, w którym momencie im przerwano.

Wykorzystując zamieszanie, Marguerite zaczęła się wycofywać w stronę lasu. W głowie jej się kręciło od wina i tego głupiego żartu.

Kiedy zerknęła za siebie, zobaczyła, że Mikołaj także stoi z boku i spogląda w jej kierunku. Dała mu ręką znak, żeby za nią poszedł, i zniknęła wśród drzew.

Im dalej szła, tym cichsze stawały się odgłosy zabawy, aż wreszcie słyszała już tylko suchy trzask łamanych gałązek. Półmrok, chłód i spokój podziały na nią kojąco.

Zdjęła aksamitny kapelusz i jedwabną siateczkę przytrzymującą włosy, po czym wystawiła twarz do słońca.

- Nie chcesz zatańczyć z rozbójnikiem?

Roześmiała się, nie odwracając od światła. Poczula, jak Mikołaj obejmuje ją w tali i przyciąga do siebie.

- Wolałabym zatańczyć z tobą, ale mnie nie poprosiłeś.

- Bo Tilney mnie uprzedził.

- Byłeś bardzo zajęty señorità Alvą. Przez cały dzień nie odstępowałeś jej na krok.

Zaśmiał się, muskając oddechem jej włosy.

- Jesteś zazdrosna?

- Oczywiście, że tak! - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Ona jest bardzo ładna i bardzo... milutka.

- Marguerite... - Spojrzał na nią z rozbawieniem. - Nie wiesz, że kiedy jesteś blisko, nie mam oczu dla nikogo? Jesteś inna niż wszystkie kobiety, wszyscy ludzie, jakich znałem.

- Naprawdę? - Przecież tak samo myślała o nim. Że nie ma drugiego takiego na świecie.

- Naprawdę. Żadna kobieta nie potrafi władać mieczem jak ty, jeździć konno jak ty, tańczyć jak ty i...

- Kochać się jak ja?

- Zaraz, zaraz! - powstrzymał ją ze śmiechem. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa, to są istne katusze, ale i tak nie potrafię trzymać się z dala od ciebie.

- Może ktoś rzucił na nas urok? Jakaś zła czarownica?

- Znasz na to odtrutkę?

- Chciałabym. - Wzruszyła ramionami.

- Chcesz powiedzieć, że nie masz w swojej magicznej szkatułce żadnego antidotum, ty wiedzmo? Żadnego magicznego napoju, który moglibyśmy wypić, żeby się od siebie uwolnić?

- To się samo stanie, i to już wkrótce... - Na myśl o nieuchronnej rozłące serce jej się ścisnęło. Aby uśmierzyć ból, przycisnęła usta do warg Mikołaja.

Jak słodki był ten pocałunek! Bardziej nawet upajający niż wino. Tulila się do Mikołaja, jakby chciała się w niego wtopić. Pragnęła go posiadać całego, stać się panią jego ciała, myśli, dnia wczorajszego i jutra. Pragnęła także jego miłości, o czym do niedawna nie śmiała nawet marzyć.

Niestety, mogła dostać tak niewiele. Weźmie jednak, ile się da, i na jak długo będzie to możliwe. Te krótkie momenty będą musiały wystarczyć na wieczność.

Obsypała pocałunkami jego policzek pokryty złocistym zarostem, ucho i szyję tuż ponad stójką kaftana. Tak pięknie pachniał - skórą, słońcem i... Mikołajem. Piękniej nawet niż najdroższe perfumy.

- Trzeba wracać - wyszeptała.

- Jeszcze chwilę. - Odgarnął jej włosy, żeby ucałować skroń i policzek. -

Obejdą się bez nas jeszcze przez kilka minut.

- Czy kilka minut nam wystarczy?

Zaśmiał się rubasznie.

- Zależy na co, moja droga.

Odsunęła się od niego z zalotnym uśmiechem, potem powoli podkasała spódnice, odsłaniając kolejno buty, pończochy, kolano i udo.

- Gdybyśmy tak spróbowali pod tamtym drzewem...

- Naprawdę jesteś czarownicą i kusicielką.

- Tylko dla ciebie, mój aniele. Jeżeli ci się wydaje...

Jej słowa zagłuszył cichy świst niby powiew wiatru. To wystrzelona z łuku strzała przeleciała pomiędzy drzewami, raniąc Marguerite w obnażoną nogę, po czym wbiła się w spróchniały pień.

Przez moment była zbyt zaszokowana, aby cokolwiek poczuć, lecz zaraz piekący ból zaczął się rozchodzić po nodze jak rozpalona rtęć. Podarta biała pończoszka zaczerwieniła się od krwi, a Marguerite zaczęła się osuwać na ziemię. Mikołaj rzucił się, by ją podtrzymać.

- Marguerite!

Jego głos dobiegał z oddali, jakby z głębi długiego tunelu. Szara mgła przesłoniła jej oczy. Ramiona Mikołaja trzymały ją jednak mocno, unosząc ponad morze bólu.

- Byłam nieostrożna - wyszeptała. - Nie mów nikomu...

Świat zapadł się w ciemność.

Rozdział siedemnasty

Obudził ją słodki, tęskny śpiew. Męski baryton śpiewał jakieś tajemnicze, niezrozumiałe słowa. Odwróciła głowę, czując pod policzkiem miękkość poduszki i miłe ciepło spowijające ciało.

Powoli zaczęła docierać do niej cała reszta. Otulająca ją kołdra. Zimny ręcznik na czole. Piekący ból w nodze...

Nagle wszystko sobie przypomniała: piknik, las, pocałunek Mikołaja... i strzałę.

Otworzyła oczy. Znajdowała się w małej sypialni, za oknami panowała najczarniejsza noc. Zasłony wokół łóżka były rozsunięte, żeby wpuścić ciepło bijące z rozpalonego kominka, oraz światło świeczek ustawionych na stole.

Wiedziała już, gdzie jest. W komnacie Mikołaja.

Starając się nie ruszać nogą, odwróciła się ostrożnie i zobaczyła, że Mikołaj siedzi przy łóżku. Położył jej na czoło świeży, chłodny okład, a potem przyjrzał jej się uważnie. Jego oczy świeciły w półmroku jak błękitne latarnie morskie, które miały ją podtrzymać na duchu i doprowadzić bezpiecznie do domu.

- A więc śpiąca królewna wreszcie się obudziła - powiedział z pełnym ulgi uśmiechem.

- Myślałam, że jestem czarownicą - wychrypiała, bo gardło miała zaschnięte.

- Nie tej nocy. Tej nocy jesteś królewną, którą trzeba obsługiwać.

- Ty będziesz to robił, Mikołaju?

- Oczywiście. Jestem twoim sługą, w każdym razie przynajmniej do rana. -

Wyplukał ściereczkę w misce z wodą, wycisnął i znów położył jej na czoło. - Miałaś wysoką gorączkę, ale już spadła. Pamiętasz, co się stało?

- Pamiętam strzałę. Złapałeś tego, kto strzelał?

- Niestety nie - odparł ze złością. - Za dużo ludzi było wokół, za dużo masek.

Król Henryk zaklinał się, że jego zbrojcy mieli wyłącznie ślepe strzały. Przysłał ci

najlepsze wino ze swojej piwnicy, gdybyś miała ochotę na łyceczek. Pewnie nie jest tak dobre jak wino Dumasów, ale na razie powinno wystarczyć.

Skinęła głową, więc wsunął jej rękę pod głowę i podźwignął, żeby mogła się napić.

Kiedy znów opadła na poduszki, zapytała:

- Jak to się stało, że wylądowałam tutaj, a nie w moim pokoju?

- To sprawka księżnej Eleny. Królewski medyk chciał ci puścić krew, bałem się jednak, że już i tak straciłaś jej dużo. Księżna Elena powiedziała, że szkoliłem się na medyka w Turynie i że wyleczyłem wiele ran od miecza i strzał, więc oddano cię pod moją opiekę.

- Czy to wszystko prawda?

- Nauka w Turynie? Ależ skąd! Nigdy nawet tam nie byłem, choć co do ran, to owszem. Kiedy się prowadzi teatralną trupe, trzeba być przygotowanym na wszystko.

Podniosła kołdrę i zerknęła na nogę. Była starannie zabandażowana.

- To wygląda na fachową robotę.

- Obmyłem ranę winem, a potem zrobiłem okład ze złocienia. Opatrunek trzeba będzie zmienić rano.

Z westchnieniem opuściła kołdrę.

- Och, Mikołaju, wciąż mnie zaskakujesz.

- To samo mógłbym powiedzieć o tobie.

- Jeżeli nie był to nieszczęśliwy wypadek spowodowany przez któregoś z przebierańców Henryka, to jak myślisz, kto mógł strzelać z łuku w królewskim parku?

- Może jakiś kłusownik?

- Musiałby być to wyjątkowo głupi kłusownik, żeby polować pod bokiem królewskich gości. - W głowie jej się kręciło, więc chciała pomasować skronie, ale palce miała całkiem odrętwiałe. Była tak ociążała, jakby się miała zapaść w materac.

Nie potrafiła zebrać myśli, a jednak poczucie, że coś przeoczyła, nie dawało jej spokoju. - Co dodałeś do tego wina?

- Tylko trochę ziół na sen. Księżna zerwała je ogrodzie i zmieliła na proszek.

Uważa się za świetną zielarkę.

- Pewnie nauczyła się tego w klasztorze. Te zioła rzeczywiście muszą być skuteczne, bo oczy same mi się kleją.

- To dobrze. Sen to zdrowie.

- Tyle że nie mogę spać! - Próbowwała zwalczyć słabość, która zdawała się ją wciągać w ciepłą głębię. - Jest tyle spraw, które należy zbadać. Muszę się dowiedzieć, kto to zrobił.

Przycisnął ją łagodnie do łóżka i opatulił kołdrą.

- Nie ma teraz nic aż tak ważnego, co nie mogłoby poczekać do rana.

- A jeżeli oni wrócą, żeby dokończyć?

- Nikt ci nie zrobi krzywdy, Marguerite - zapewnił ją kojącym tonem, odgarniając wilgotne pasma z twarzy. - Nie bój się, będę czuwał nad tobą.

Zapadła cisza, a za nią przyszedł błogi spokój. Może jednak mogłaby zasnąć? Chociaż ten jeden raz? Chwyciła Mikołaja za rękę i przycisnęła chłodne palce do rozpalonego policzka.

- Wiesz, że mam wrogów?

- Wiem, ale nie pozwolę im zbliżyć się do ciebie.

- Poleżysz przy mnie, dopóki nie zasnę?

- Oczywiście. - Poczowała, jak wślizguje się do łóżka i obejmuje ją delikatnie w pasie. Wtuliła się w niego i zaczęła odpływać w sen. Nie była w stanie dłużej się opierać.

- Co to była za piosenka, którą śpiewałeś, kiedy się obudziłam? - szepnęła.

- To taka stara ludowa piosenka. Niańka śpiewała mi ją, kiedy byłem dzieckiem.

- A o czym?

- O dziewczynie, której ukochany odjechał, więc ona chodzi nad rzekę i prosi wiatr, żeby zaniósł mu jej miłosne przesłanie.

- Możesz mi ją jeszcze raz zaśpiewać, Mikołaju? To było takie piękne.

Zaczął nucić, głaszcząc ją po głowie. Pomyślała jeszcze, że jego pieśń jest jak jasna świeca, której płomień wyprowadzi ją z ciemności.

Od razu się zorientował, kiedy Marguerite zapadła w sen. Jej ciało odprężyło się i zmiękło w jego ramionach, a oddech stał się spokojny i regularny.

Jego odważna, waleczna czarownica! Zmagą się ze snem, z bólem, z życiem. Wychodziła z tych walk poturbowana i pokrwawiona - lecz nigdy pokonana.

Przypomniał sobie ten moment, kiedy osunęła się w jego ramiona, krew tryskającą z rany i jej szeroko otwarte, strwożone oczy. Była zupełnie bezwładna, kiedy ją brał na ręce - bezwładna, zimna i biała jak śmierć. Jakby już nie żyła.

„Mam wrogów” - wyszeptała. Każdy ma wrogów, nawet ktoś tak łagodny jak księżna Elena. A Szmaragdowa Lilia musi ich mieć całe tabuny. Pewnie czają się wszędzie, skoro nawet w angielskim lesie celują do niej z łuku.

Dzięki Bogu, że strzała trafiła w nogę, a nie w serce. Co by zrobił, gdyby mu na rękach umarła? Jak by się potem czuł?

Przed przyjazdem do Anglii wieść o zgonie Szmaragdowej Lilii obudziłaby w nim co najwyżej żal z powodu odejścia tak pięknej istoty, teraz jednak poznał bliżej Marguerite, i to nie tylko jej śliczną twarz i ciało. Już wiedział, skąd wzięła się Szmaragdowa Lilia, a nawet poznał jej najskrytsze pragnienia. Była wiecznym wędrowcem, jak on, przemierzającym świat w poszukiwaniu czegoś ulotnego.

Gdyby umarła, to coś pozostałoby na wieki nieodkryte.

Ktoś, jeden z tych wrogów, omal mu jej nie ukraść.

Pocałował ją delikatnie w policzek, po czym wstał z łóżka, podszedł do okna i spojrzał w dół, na tonący w ciemnościach ogród.

Nie było widać nikogo, tylko w oddali majaczyły rosłe sylwetki królewskich strażników, którzy przyszli zmienić wartę. Do rana musiało już być niedaleko, wszędzie cisza i spokój. Przynajmniej na razie.

Odnajdzie tego, kto zranił Marguerite. I dopilnuje, żeby za to zapłacił.

Rozdział osiemnasty

- Nad czym pracujesz? - spytała Marguerite, która już od jakiegoś czasu obserwowała ukradkiem Mikołaja.

W złotawym świetle poranka wyglądał jak święty z ruskiej ikony. Siedział w okiennej wnęce nachylony nad stosem papierów, ale na głos Marguerite podniósł głowę i posłał jej uśmiech.

- Jak się czuje moja księżniczka?

- Lepiej. - Poruszyła nogą pod prześcieradłem. - Noga już mnie prawie nie boli.

- To znaczy, że okład zrobił swoje. - Podeszedł do łóżka i dotknął jej czoła. - Wygląda na to, że gorączka też już spadła.

- Miałam dobrego lekarza. Pewnie to zasługa tych nauk w Turynie.

- Widzę, że strzała nawet nie drasnęła twojego języka - skomentował ze śmiechem.

- Ani trochę. Usiądź przy mnie i pokaż mi te papiery. Chyba że to tajemnica...

- Nie, żadna tajemnica. - Usiadł na łóżku i pomógł jej oprzeć się o zagłówek. Pachniał cudownie, jakby się właśnie wymył ziołowym mydłem. Przytuliła się do jego ramienia, a on wręczył jej papiery. - To tylko obsada i projekty dekoracji i kostiumów do naszego widowiska.

Marguerite zaczęła je przeglądać. Były tam szkice chorągwi na zielonych wieżach - na jednej były trzy złamane serca, na drugiej kobieca ręka trzymająca

serce, a na trzeciej ta sama ręka z odwróconym sercem. Były także rysunki kostiumów sukien, płaszczy, hełmów i kapeluszy.

Oraz lista postaci. Piękno, Honor, Wytrwałość, Dobroć, Stałość, Szczodrość, Miłosierdzie i Litość miały być ubrane na biało. Niebezpieczeństwo, Pogarda, Zazdrość, Nieżyczliwość, Złość, Ostry Język i Obcość na czarno. Obok każdej postaci wpisano nazwisko. Marguerite Dumas przy Pięknie, Lady Penelope Percy przy Dobroci; Anna Boleyn obok Wytrwałości.

- Z tego, co słyszałam, Anna Boleyn powinna być raczej Oстрыm Językiem - skwitowała Marguerite.

- Wątpię, czy król Henryk by na to przystał. Roześmiała się i przeszła do listy męskich postaci. Miłość, Szlachetność, Młodość, Wierność, Lojalność, Przyjemność, Łagodność Wolność, a na ich czele Płomienne Pożądanie. Wśród proponowanych aktorów nie dostrzegła jednak nazwiska Mikołaja.

- Naprawdę nie chcesz wystąpić?

- Wystarczy, że będę musiał utrzymać w ryzach gromadę rozhukanych kobiet.

- To prawda, jest nas wiele. To nieładnie ze strony Guildforda, że złożył ten ciężar na twoje barki. - Odłożyła papiery i obwiodła koniuszkami palców jego policzek, szyję oraz fragment torsu widoczny w wycięciu koszuli. Poczula, jak serce mocniej mu zabiło. - Myślę, że jako Płomienne Pożądanie byłbyś wręcz idealny.

Chwycił ją za rękę, która już zamierzała powędrować niżej.

- Marguerite, jesteś chora.

- Już nie, dzięki twojej wspaniałej kuracji. - Obsypała delikatnymi pocałunkami jego policzek. - Czuję się świetnie.

- Pamiętaj jednak, że nie możesz ruszać nogą co najmniej do jutra. Nakazuję ci to jako twój medyk.

- Ty mi nakazujesz!

- Tak.

- Nigdy nie lubiłam słuchać rozkazów, choć gdybyś mnie poprosił albo czymś zajął...

Chwycił ją za nadgarstek i popchnął na łóżko, przygważdżając do materaca, a potem wpił się jej w usta i całował tak długo, aż całkiem zasłabła i zabrakło jej tchu.

- Czy o takie zajęcie ci chodzi? - rzucił ochryple.

- Niezupełnie... - Chciała go przytrzymać, ale poderwał się z łóżka i spojrzał na nią surowo. Chcąc nie chcąc, musiała się roześmiać, bo wyglądał zupełnie jak jej stary włoski fehmistrz, signor Lunelli.

Mikołaj także się roześmiał i cmoknął ją w czoło.

- W takim razie będziesz hartowała chorągwie. To cię powinno zająć na jakiś czas, no i będę miał pewność, że znów nie wpakujesz się w kłopoty.

- Przynajmniej przez jeden dzień. Chyba będę się musiała zadowolić szyciem, skoro nie pozwalasz mi na nic więcej.

- Bądź pewna, że nie.

- Jesteś bardzo okrutny.

- Ach, Piękności, to nie ja jestem okrutny. No, pokaż nogę. Trzeba zmienić opatrunek.

- Najpierw odmawiasz mi pocałunku, a teraz chcesz obejrzeć moją nogę! Okrutny i niezdecydowany. - Odrzuciła prześcieradło i podciągnawszy koszulę, patrzyła, jak odwijał bandaż. Rana była zaczerwieniona, ale czysta, bez śladów infekcji. Brzegi były starannie zszyte i posmarowane tłustą ziołową miksturą. - Turyn nie-Turyn, zręczny z ciebie medyk. Założę się, że nie będzie nawet blizny.

Obmył delikatnie ranę kawałkiem zwilżonego płótna.

- W każdym razie tak widocznej jak te na twoim brzuchu.

Obciągnęła szybko koszulę. Mikołaj całował jej brzuch i dotykał go, ale nic nie mówił o bliznach, więc miała nadzieję, że ich nie zauważył.

- Och, to stare dzieje - powiedziała. - Spadłam z siodła, kiedy miałam dwanaście lat, i koń mnie stratował.

Wziął ją za rękę i rozprostował jej palce, a potem podsunął koszulę i zaczął głaskać Marguerite po różowych szramach, jakby chciał je wymazać.

Odprężała się z wolna pod tą pieśczęcią, a gdy w końcu zerknęła na swoje poranione ciało, wydało jej się dziwnie obce. Jakby wszystkie te blizny, słone łyzy i gorąca rozpacz należały do kogoś innego. Kogoś, kogo już nie znała.

- To musiało być strasznie bolesne - powiedział cicho z wyraźnym słowiańskim akcentem.

- Kiedy mnie przynieśli do domu, doktorzy powiedzieli mojemu ojcu, że nie przeżyję jednego dnia, bo się wykrwawię na śmierć.

- Głupcy, nie docenili ciebie i twojego uporu. Roześmiała się.

- Jak ty mnie dobrze znasz, Mikołaju. Niełatwo się poddaję, nawet śmierci.

Uczepiłam się kurczowo życia i walczyłam. Kiedy doszłam do siebie, oznajmiono mi, że nigdy nie będę mogła mieć dziecka. Nigdy nie będę prawdziwą kobietą.

No tak, wreszcie powiedziała to głośno - po raz pierwszy, bo nie miała odwagi nawet o tym pomyśleć. Choć popełniła tyle strasznych uczynków, najbardziej wstydziła się tego, że nigdy nie będzie normalną kobietą.

Mikołaj nie odwrócił się jednak od niej ze wstrętem. Nigdy tego zrobił, bez względu na to, co mówiła i czego się dowiadywał. Patrzył tylko na nią ze smutkiem, nie przestając delikatnie smarować maścią rany.

- Uwierzyłaś doktorom? Przecież pomylili się, wieszcząc ci rychłą śmierć.

- Z początku nie, ale nigdy nie poczęłam. - Wzruszyła ramionami. - A moje miesięczne dolegliwości zawsze były nieregularne i bardzo bolesne. - Dotknęła jego ręki. - Kiedy się kochamy, Mikołaju, nie musisz się wycofywać. Nie grozi nam to, że powołasz na ten świat francusko-rosyjskiego bękarta, który pójdzie w ślady swojej nieszczęsnej matki.

- Marguerite...

- Nie, nie, wszystko w porządku, mój drogi. Byłabym okropną matką! Możesz sobie wyobrazić, jakie bezużyteczne umiejętności przekazałabym synowi albo, nie

daj Boże, córce? - powiedziała ze sztucznym ożywieniem. - Jak walczyć, jak zabijać i kłamać...

- Marguerite. - Przycisnęła palce do jej ust, żeby przerwać ten potok szyderczych słów. - Byłabyś cudowną matką. Nauczyłabyś swoje dziecko, jak być silnym, jak stawiać czoło złemu światu i przeżyć bez względu na wszystko. Jak widzieć ludzi takimi, jacy naprawdę są.

Ze smutkiem potrząsnęła głową, potem spytała:

- Masz może gdzieś jakieś dziecko, Mikołaju?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł z uśmiechem.

- Wielka szkoda, bo mógłbyś dać mu więcej niż inni, których spotkałam w swym życiu. Owszem, znam się na ludziach, ale widzę tylko ich wady, a ty dostrzegasz także zalety. Wierzysz w ich dobroć, w siłę przyjaźni.

- Dlaczego miałbym nie wierzyć? Zbyt często spotkałem się z dobrocią i miłością, żeby w nie wątpić.

- A ja nigdy się z nimi nie spotkałam, tylko u ciebie. Dzieci potrzebują akceptacji i dobroci, tak samo jak potrzebują broni, żeby wygrywać okrutne bitwy tego świata. - Patrzyła w milczeniu, jak Mikołaj zakłada świeży bandaż. Robił to tak delikatnie, że prawie nie czuła bólu. Czuła natomiast przytłaczający smutek. - Powinieneś poślubić señoritę Alveę, zabrać ją na twoją włoską farmę i mieć kupę dzieci.

- Wątpię, czy señoricie Alvie odpowiadałoby życie na wsi z dala od dworskich uciek - skomentował ze śmiechem. - Na pewno też nie ma pojęcia o produkcji win.

- Za to miałyby śliczne dzieci.

Skończył opatrunek, przysunął się i wziął Marguerite w ramiona.

- Byłbym kiepskim mężem dla takiej młodej damy. W ogóle byśmy się nie rozumieli. - Odsunął się i spojrzał jej w oczy

Po raz pierwszy w życiu poczuła, że ktoś widzi ją taką, jaka jest naprawdę ze wszystkimi wadami, grzechami i nadziejami, Widzi to wszystko i rozumie.

A więc dostrzegł jej duszę, a nie tylko urodę i grzechy! Znaczyło to dla niej więcej, niż wszystko na tym świecie.

- A ten jej stroik na głowę! Pięć lat temu wyszedł z mody daję słowo - paplała señorita Alva. - Szkoda, że pani tego nie widziała, panno Dumas.

- Lady Monteath wyglądała bardzo ładnie, Mario-Carolino - skarciła ją łagodnie księżna Elena.

Przyszły pomóc Marguerite haftować sztandary, a także dotrzymać jej towarzystwa pod nieobecność Mikołaja, który poszedł przygotowywać spektakl w teatrze.

A może chciał od niej uciec, pomyślała Marguerite. Trudno powiedzieć.

Uśmiechnęła się jednak do księżnej, zadowolona z tej inwazji zewnętrznego świata mody oraz plotek. Odkąd została skazana na pobyt w tym pokoju, te cztery ściany stały się dla niej wszystkim. Zaczęła się nawet obawiać, że kiedy przyjdzie czas opuścić ich gniazdko, za nic nie będzie chciała się stąd ruszyć.

Nie będzie chciała rozstać się z Mikołajem.

Pochyliła się nad robótką, żeby ukryć rumieniec. Dawniej się tak nie rumieniła, bo widziała już tyle w swoim życiu, że nic nie było w stanie jej wzruszyć, a jednak na wspomnienie rozmów z Mikołajem albo sposobu, w jaki ją tulił, kiedy umierała z żalu za wszystkim, co straciła, policzki zaczynały jej płonąć, a oczy dziwnie się szklily.

Z biegiem lat udało jej się do tego stopnia stłumić ból i gniew, że zaczęło jej się wydawać, iż przestały istnieć, a w każdym razie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Że tamta młodziutka, pełna nadziei dziewczyna umarła, a jej miejsce zajęła Szmaragdowa Lilia. Tymczasem Mikołaj jednym łagodnym spojrzeniem, jednym dotknięciem ręki wyzwolił dawne demony.

Tak więc był ktoś, kto widział wszystko i wszystko rozumiał, a to przerażało ją ponad wszelką miarę. Mieczom i strzałom była w stanie stawić czoło, ale czy potrafi zwyciężyć kogoś, kto przejrzał ją na wskroś wraz z jej bliźniami?

Nie była wcale pewna, czy koniec końców potrafiłaby zwyciężyć samą siebie.

Dlatego haftowała zawzięcie, ścieg po ściegu, dopóki na jedwabiu nie wykwitło serce. Aby zapomnieć choć na chwilę o Mikołaju, zaczęła rozmyślać o tym, co ją spotkało. Czy był to tylko wypadek, chwilowa nieuwaga lub skutek nadmiaru wina i rozbuchania? Raczej nie. Zbyt daleko odeszli z Mikołajem, a i strzała była zbyt dobrze wycelowana.

A może ktoś rzeczywiście celował w jej serce...

Marszcząc brwi, odwróciła jedwab, żeby obejrzeć ściegi po drugiej stronie. Jej wrogowie już wcześniej próbowali ją zabić, ale rzadko byli tak kompletnie nieznani. Kto mógł wiedzieć o prawdziwym celu jej przyjazdu do Anglii? Nikt, z tego co było jej wiadomo. Król Franciszek pilnie dbał o to, by utrzymać w tajemnicy jej prawdziwą tożsamość. Wiedział tylko Mikołaj, ale on stał obok niej, kiedy strzała wyleciała z gęstwiny.

Czy nadal miał jakieś powody, żeby ją zabić? Czy wszystko było jedynie grą, której reguł zapomniała przez swą niewieścią słabość i sentymentalizm?

Od dziś musi być podwójnie ostrożna. Do końca angielskiej misji jeszcze daleko.

- Nie mam racji, panno Dumas? - spytała seńorita Alva.

- Hm? - Marguerite spojrzała na nią niezbyt przytomnie.

- Przepraszam, zamyśliłam się.

- Pewnie myślała pani o Mikołaju Ostrowskim? - Seńorita Alva zachichotała. -

Czyż nie jest zabójczo przystojny? Chciałabym zachorować, żeby mógł się mną zająć.

- Mario-Carolino! - ofuknęła ją księżna. - Panna Dumas została poważnie ranna. Pewna jestem, że ostatnio miała inne rzeczy na głowie, niż podziwianie czyjejś urody.

- Kobieta musiałaby być nieprzytomna, żeby nie zauważyć pana Ostrowskiego! - ze śmiechem odparowała Marguerite.

- Ma takie niesamowicie niebieskie oczy.

- Niestety, obawiam się, że nie ma ochoty się żenić - westchnęła señorita Alva.

- Co za szkoda.

- Taka ładna młoda kobieta jak pani musi z pewnością mieć wiele innych atrakcyjnych propozycji - pocieszyła ją Marguerite. Wiedziała doskonale, że plotkując z paniami, można było zdobyć niejedną cenną informację. - Wśród ludzi ambasadora Mendozy jest wielu ambitnych, przystojnych mężczyzn, a mając za protektorkę księżną Elenę...

Señorita Alva skrzywiła się za plecami swej protektorki. Przypominała w tym bardziej nieśmiałą wersję lady Penelope Percy. Młode damy, jak widać, są wszędzie takie same.

- Wszyscy są strasznie oziębli! - Wydeła usta. - Nawet ci młodzi. Żyją tylko modlitwą i pracą.

- Pobożności i oddania interesom Hiszpanii nie można nazywać oziębłością, moja droga - skarciła ją księżna. - Spójrz na mego męża! A tak a propos, czy hrabia de Garcia-Baca nie obdarzał cię ostatnio szczególnymi względami?

Marguerite słuchała, jak obie panie rozważały rozmaite kandydatury, a od czasu do czasu udało jej się wyłowić jakąś interesującą informację. Igła niestrudzenie błyskała w jej ręku, ale myśli krążyły wokół jednego tematu.

Kto do niej strzelał i dlaczego? Co to za zagadka, której rozwiązania była już tak bliska?

Rozdział dziewiętnasty

Tego wieczoru teatr zamienił się w hałaśliwą ptaszarnię pełną rozszczebiotanych ptaszków o strojnych piórkach. W rogu sali grupka dam dworu oglądała bele białego i czarnego atlasu czekając, aż Mikołaj obwieści, jakie przydzielił im role. Anna Boleyn zasiadła na tronie z papier mâché i wraz z przyjaciółkami stroiła sobie żarty z gorzej ubranych pań.

Mikołaj raz jeszcze omiótł wzrokiem barwny tłum, zastanawiając się, która z dam będzie najlepsza do której roli, jednak jego uwagę wciąż przykuwała ta jedna jedyna, czyli Marguerite.

Stała z boku wraz z lady Penelope Percy i kilkoma innymi Angielkami, wsparta na lasce - jedynym widomym znaku po leśnej przygodzie. W sukni z brązowego aksamitu z wysokim flamandzkim kołnierzem, z włosami zaczesanymi do tyłu i ukrytymi pod perłowym czepkiem, wyglądała smutno i poważnie. Rozmawiała cicho i ze spokojem, a jednak, jak zawsze, całe światło zdawało się padać tylko na nią, tak srebrzystą i niebiańską.

Uśmiechała się łagodnie do lady Penelope, spokojna i opanowana nawet w środku rozgadanego tłumu. Zupełnie inna niż ta Marguerite, która opowiadała w jego ramionach o wypadku z młodości, który zmienił jej życie i zepchnął z drogi przeznaczonej kobiecie... Była wtedy spięta i drżała od zbyt długo tłumionych emocji. Powierzyła mu swoje sekrety jak drogocenne perły. Złożyła je w jego ręce, by się znów wycofać i ukryć za piękną lodowatą maską, która przesłaniała głęboką, wrażliwą, duszę.

On jednak wiedział, że tkwi w niej zadawniony ból, a także żelazna wola, która pomogła jej przejść przez życiowe próby, sprawiając, iż była, kim była. A także kim mogła się stać.

Minionej nocy przyglądał jej się, kiedy spała w jego łóżku, taka spokojna i ufna, skulona w kłębek u jego boku. Doskonale pamiętał, jak niewiele brakowało,

by ją utracił, zanim tak naprawdę ją odnalazł. Krew z niej odchodziła, umierała na jego oczach! Bóg jednak był łaskaw i przeżyła.

Znów obudziły się w nim uczucia, które, jak sądził, raz na zawsze pogrzebał - czułość, instynkty opiekuńcze oraz gorące pragnienie, by bez względu na cenę zapewnić jej bezpieczeństwo.

Sama mu powiedziała, że ma wielu wrogów. Pewnie przez cały czas zagrażało jej śmiertelne niebezpieczeństwo. W tym fachu nie żyje się długo. Nie mógł jednak do tego dopuścić, by światełko jej duszy zgasło - nie teraz, kiedy się odnaleźli, choćby tylko na tę krótką chwilę.

No cóż, on sam nie był pozbawiony przyjaciół - a także wrogów. Przez całe życie uczył się zaglądać pod maski i odkrywać sekrety, nawet te najgłębiej schowane. Dlatego był absolutnie pewny, że potrafi się dowiedzieć, kto wypuścił tę strzałę, i obroni Marguerite przed tym jednym choćby wrogiem.

W tej właśnie chwili spojrzała na niego z błyskiem w oku. Maską chłodu opadła na moment i znów była tą samą kobietą, która całowała go na dzień dobry, gdy słońce wstawało za oknem. A był to pocałunek pełen cichej nadziei i jasnej obietnicy.

W odpowiedzi posłał jej uśmiech, po czym postukał laską w podłogę. Gwar z wolna umilkł i wszystkie damy odwróciły się do niego, ciekawe, jakie przydzielił im role.

Pora zabierać się do pracy!

- A ja mam zagrać Dobroć! - ekscytowała się lady Penelope Percy, gdy wraz z Marguerite przechadzała się po ogrodzie. - Sądzi pani że to dobra rola, panno Dumas?

- Absolutnie tak - zapewniła ją Marguerite. Był to najdłuższy tekst, który wypowiedziała, odkąd wyszły z teatru, jako że lady Penelope wzięła na siebie główny ciężar rozmowy. Bardzo jej to odpowiadało, gdyż w obecnym stanie ducha nie czuła się skora do gładkiej rozmowy towarzyskiej.

- Oczywiście nie taka dobra jak Piękno - droczyła się lady Penelope. - Pani zasiądzie na najwyższym tronie! Przysięgam, że panna Boleyn z zazdrości zrobiła się zielona jak ten zamek, kiedy to usłyszała. Jednak kostiumy są śliczne i przykuwają uwagę, nie uważa pani?

- Lady Penelope, pani ciemne włosy będą stanowić uderzający kontrast z białym atłasem. Obawiam się, że na tym tle wypadnę blado.

- Nic podobnego! Będzie pani wyglądała jak anioł, a Anna Boleyn zyska następne powody do zazdrości. Dobrze, że nie musimy być wśród tych ubranych na czarno dam. Moja siostra ma zagrać Pogardę i wcale nie jest szczęśliwa z tego powodu. No i choć raz przydzielili nam młodego i przystojnego reżysera, zamiast tego niecierpliwego starego Guilforda! Kiedy ostatnio występowałam w jednym z jego widowisk, wciąż na mnie krzyczał, że mam złą postawę, i zabraniał mi się śmiać. Czy rzeczywiście mam aż tak złą postawę?

Marguerite pomyślała, że młoda dama nie zdołałaby się zgarbić w tych sztywnych szatach, nawet gdyby chciała.

- Oczywiście, że nie - zapewniła ją szczerze.

- Też tak uważam, ale chcę wyglądać jak najlepiej dla pana Ostrowskiego. On wygląda jak anioł.

Marguerite roześmiała się. W niej również Mikołaj budził anielskie skojarzenia. Anioł piękności; anioł zemsty i gniewu - a także anioł dobroci. Nie знаła nikogo takiego jak on. A już na pewno nikt inny nie potrafiłby tak łatwo wydobyć z niej jej sekretów i sprawić, że poczuła się lekka jak piórko. W jego ramionach, po raz pierwszy od wielu lat, spała spokojnym, głębokim snem.

Może więc także anioł pokoju?

- A ten dżentelmen, którego pani uważała za przystojnego, nie zajmuje już miejsca w pani myślach, lady Penelope?

- Ach tak, ten hrabia! Oczywiście, że tak, ale tak rzadko go widuję. Ostatnio wszyscy mężczyźni są tacy poważni. Tylko im przymierza i traktaty w głowie.

„Przymierza i traktaty" to jedyny sposób, by Anglia i Francja mogły się przeciwstawić ambicjom cesarza, a tym samym zapewnić sobie bezpieczeństwo. Marguerite nie powiedziała tego jednak, gdyż lady Penelope nie wyglądała na osobę, która interesuje się sprawami Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Poza tym jej samej trudno było się skupić na tak odległych zagrożeniach, zwłaszcza gdy ktoś celował do niej z łuku, a Mikołaj Ostrowski stanowił poważne zagrożenie dla jej serca.

- Jestem pewna, że podczas przedstawienia nikt nie będzie myślał o traktatach, zwłaszcza że wygląda pani tak uroczo w tych białych atłasach.

- Ma pani rację, panno Dumas - odparła z uśmiechem lady Penelope. - Hrabia nie może mnie nie zauważyć, nawet jeżeli będziemy mieć maski na twarzach. Nauczę się, jak się elegancko poruszać. Nie zechciałaby mi pani pomóc?

Przypomniała sobie plac Świętego Marka i kobietę, która grała Kolombinę z Mikołajem jako Arlekinem. Każdy jej gest był pełen wdzięku i elegancji. Zaczęła się zastanawiać, kim była ta kobieta, co się z nią stało i co ją łączyło z Mikołajem.

- Nie mam pojęcia o teatralnej gestykulacji.

- Ależ tak! Przecież wszyscy mężczyźni zakochali się w pani, gdy tylko ujrzeli panią w tańcu. Słyszałam, że Roger Tilney pisze dla pani sonet, choć to tajemnica. Dla mnie nikt nigdy nie napisał żadnego sonetu!

Marguerite roześmiała się.

- A od kogo chciałabym pani dostać sonet, jeśli wolno zapytać?

Lady Penelope zaczęła wyliczać swoich wielbicieli, dodając przy każdym, że jest nudny lub nie ma w nim za grosz poezji. Kiedy skręciły w inną ścieżkę, podbiegł do nich paż i wręczył Marguerite zapieczętowany list.

- Widzi pani? - powiedziała lady Penelope. - Już jest sonet.

- Jeżeli to sonet, to chyba dosyć krótki, bo list jest cienki. - Złamała czerwoną woskową pieczęć bez odcisniętego sygnetu.

Rozwinęła kartkę i zamarła.

Strzeż się. Nikomu nie ufaj. Niebezpieczeństwo może się czaić wszędzie.

Przyjaciel.

Tak brzmiała cała wiadomość napisana dużymi czarnymi literami, a towarzyszył jej niezdarny rysunek strzały i trumny.

Choć popołudnie było pogodne, przeszył ją lodowaty chłód. Zgniotła list i tak mocno ścisnęła laskę, że rzeźbiona główka wbiła jej się w rękę.

Rozejrzała się pośpiesznie, ale paż już zniknął, nikt też nie przyglądał jej się podejrzliwie. Czy autor listu był jednym z tych „przyczajonych niebezpieczeństw” i nawet teraz ją śledził, szykując następną strzałę?

- Czy to bardzo zły wiersz? - zapytała lady Penelope. Marguerite zaśmiała się sztucznie.

- O tak, bardzo niedobry! Ma pani szczęście, że nigdy nie stała się pani natchnieniem takiej poezji.

Wetknęła zmięty liścik do aksamitnej sakiewki u pasa i ruszyła dalej z lady Penelope, pozornie beztrosko rozmawiając o dworskich plotkach. Gdy napotkały grupkę innych dam, lady Penelope została, a Marguerite przeprosiła i wróciła do teatru.

Nie wiedziała, co powie, kiedy tam dotrze. Miałaby pokazać Mikołajowi coś, co wyglądało jak liścik nabazgrany przez dziecko? Co mógłby z tym zrobić?

Musiała się jednak z nim zobaczyć, bo chciała poczuć ciepło i światło, które zawsze zdawały się z niego emanować.

Wślizgnęła się do cichego i pustego budynku. Rozchichotane damy rozpierzchły się, zostawiając zwoje białego atłasu i pozłacane korony. Z odległego kąta dobiegały ciche dźwięki lutni. Pewnie ktoś ćwiczył przed kolejnym przedstawieniem. Piosenka brzmiała dziwnie smętnie i żałośnie wśród zakurzonego, sztucznego splendoru. Marguerite przystanąła, żeby posłuchać, czując w sercu lodowatą pustkę.

Gdy przebrzmiały ostatnie tony, podeszła na palcach do drzwi Mikołaja i zajrzała do środka. Był w pokoju i siedział przy stoliku wśród rozrzuconych papierów. Pisał coś skrzypiącym piórem, pewnie uwagi dotyczące ostatniej próby. Stojąc w progu, patrzyła na jego ostry, elegancki profil obramowany złotymi włosami, które niecierpliwym gestem przerzucił przez ramię. Zmarszczka na czole i smętny grymas świadczyły o tym, że i on uległ nastrojowi melancholii.

Nagle zachciało jej się płakać. Od tak dawna nie płakała, bo łzy przecież niczego nie zmieniają. Życie jest, jakie jest. Świat zamieszkują okrutnicy i egoiści, i tylko będąc takim samym, można przeżyć. Łzy to oznaka słabości. A jednak ta bolesna pustka w jej sercu pozbawiła ją tchu. Oczy zaczęły ją piec, a pierś ścisnęła się pod ciężarem tłumionych latami żalów.

Odwróciła się, bo nie chciała, żeby Mikołaj zobaczył ją w takim stanie, i już miała odejść, kiedy usłyszał szelest jej sukni i spojrzał w stronę drzwi.

W jednej chwili rozchmurzył się, a radosny uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Marguerite! - zawołał. - Widzę, że przyszedłś mnie wybawić od tej nudnej roboty.

Przyoblekła twarz w wymuszony uśmiech i odwróciła się z cichą nadzieją, że nie ma czerwonych oczu.

- Czy to aż takie nudne pracować z tuzinem uroczych dam? Większość mężczyzn uważałaby to za dar niebios.

- Większość mężczyzn nigdy nie miała tego wątpliwego przywileju, którym jest konieczność zapanowania nad rozbuchanym stadem dam dworu i utworzenia spójnej całości.

- Wyciągnął do niej rękę.

Ujęła ją, a gdy wciągał Marguerite do środka, jej dłoń zniknęła w bezpiecznym uścisku jego dłoni. Tak silnej i cieplej, że skuwający jej serce lód zaczął topnieć kropla za kroplą.

Usiadła mu na kolanach i zarzuciwszy ręce na szyję, ukryła twarz na jego ramieniu, Och, jaki był piękny ten jej dziki Moskal z dalekiej północy! Gdy się do niego tuliła, odpływał zły świat i byli tylko oni. W ich małym królestwie polityka, nacje oraz Szmaragdowa Lilia nic nie znaczyły, bo były niczym.

Te ulotne chwile miały już jednak wkrótce przeminąć, dlatego musiała je wykorzystać, by zachować w sercu na długie zimowe wieczory.

- To prawda, że żadne z nas aktorki - skwitowała. - Każda pragnie tylko dostać najlepszą, najbardziej eksponowaną rolę, a lady Penelope chce zdobyć atrakcyjnych wielbicieli. Nie jesteśmy jak ta wenecka Kolombina.

- Co ty wiesz o mojej Kolombinie? - spytał ze śmiechem.

- Widziałam ją z tobą na placu Świętego Marka. Była bardzo ładna.

- Skąd wiesz? Przecież była w masce.

- Tak czy inaczej, miała ładny biust. Wszyscy to widzieli, bo była ubrana w obcisłą halkę.

Znów się roześmiał, przyciskając ją tak mocno do siebie, że poczuła silne, równe bicie jego serca.

- To prawda, kiedyś z Marshą coś nas łączyło, ale to już skończone.

Uśmiechnęła się z nietajoną satysfakcją.

- Jak rozumiem, nie chciała zostać żoną farmera?

- Wręcz przeciwnie, wyszła za syna farmera, którego poznała w Wenecji, i zarządzają moją posiadłością, czekając na mój powrót.

- Nie wrócisz jednak do niej? Gdyby syn farmera był tolerancyjny, taki układ mógłby się okazać bardzo wygodny.

- Wygoda mnie nie interesuje. - Przyciągnął ją jeszcze bliżej. - Widzisz, ja też poznałem kogoś w Wenecji...

Żachnęła się, ale jej nie puścił.

- Rozumiem, następną kobietę... - Dobry humor Marguerite gdzieś się ulotnił.

- Kobieta o włosach jak księżycowe promienie i oczach jak szmaragdy skute lodem. Po jej pocałunku - i pocałunku jej sztyletu - nie byłem w stanie myśleć o niczym innym. Prześladowała mnie przez wiele miesięcy, aż wreszcie ją odnalazłem.

Roześmiała się z ulgą.

- Ty niepoprawny flirciarzu! I co się stało, kiedy ją odnalazłeś?

- Znowu mnie tak oczarowała, że świata poza nią nie widzę. Wątpię, czy uda mi się wyzwolić spod jej uroku. Powiedz, czy zdejmie ze mnie kiedyś to zaklęcie?

- Nie może. - Poglaskała go delikatnie po policzku. - Bo także znalazła się pod jego wpływem. - Cmoknęła go w policzek i zsunawszy się z jego kolan, podeszła do liny rozciągniętej w poprzek pokoju. - Myślałam, że potrafisz fruwać, kiedy zobaczyłam, jak chodzisz po tej linie. - Sprawdziła palcami jej wytrzymałość. Taka cienka, wątła granica między człowiekiem a czekającym niżej zapomnieniem. - Myślałam, że to jakieś czary.

Podszedł bliżej i powiedział:

- To żadne czary, tylko lata praktyki. I raz po raz rozbita głowa, dopóki się nie nauczyłem, jak tego unikać.

- Wielu z nas nigdy nie pojęło tej lekcji. Jak głupcy walimy głową wciąż w ten sam mur, oczekując nowych rezultatów. - Gdy zacisnęła dłoń wokół liny, ostre włókna gniotły ją jak tamten złowieszczy, pomięty list. - Masz w sobie coś z czarodzieja, Mikołaju. Wzlatujesz w niebo tam, gdzie reszta zostaje przykuta do ziemi, do swoich dawnych nawyków, starych błędów i lęków. - Pochyliła się, aby rozwiązać trzewiki. - Pomóż mi wejść na linę.

- Ależ Marguerite! - Zmarszczył brwi. - Twoja noga...

- Proszę - przerwała mu z naciskiem. Musiała poczuć tę linę pod stopami, poczuć to, co czuł Mikołaj, choćby tylko przez chwilę, zanim rozbije sobie głowę. Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek na świecie, oczywiście oprócz tego

wspaniałego Rosjanina. - Proszę - powtórzyła cicho. - Chcę tylko spróbować.
Będziesz mnie trzymał za rękę? Nie spadnę, mając ciebie u boku.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem, choć wciąż pełen wątpliwości, kiwnął głową.

- Tylko kilka kroków.

Klasnęła w ręce, oczy jej pojaśniały, natomiast Mikołaj przysunął stółek, wziął Marguerite za rękę i pomógł jej wspiąć się na linę. Trzymał ją w pasie, kiedy ostrożnie ustawiała stopy na linie, jedną przed drugą.

- Jesteś dobrą tancerką - powiedział - a to jest jak taniec. Musisz odnaleźć swój środek ciężkości. Trzymaj się prosto i lekko uginaj kolana. Balansuj ramionami, jakbyś tańczyła pawanę.

Odetchnęła głęboko i wyprostowała się powoli, napinając mięśnie brzucha. Wyobraziła sobie, że tańczy, i nagle nogi przestały jej się trząść, a lina przerażać.

Jednak gdy Mikołaj rozluźnił uchwyt, poczuła, że traci wątłą równowagę.

- Nie puszczaj mnie! - krzyknęła.

- Nadal trzymam cię za rękę - powiedział spokojnie - i zawsze cię złapię, gdybyś zaczęła spadać, ale stoisz bez mojej pomocy.

Ku swemu zdumieniu przekonała się, że to prawda. Wprawdzie Mikołaj wciąż trzymał ją delikatnie, lecz była to tylko asekuracja, a nie podpora.

- Marguerite, teraz zrób krok - polecił.

- Krok?

- Wiem, że potrafisz. Pamiętaj, jak tancerka. Pilnuj środka ciężkości i unieś nogę, tę z tyłu. A potem ruchem posuwistym, nie za szybkim, ustaw stopę z przodu.

Pokiwała głową. Tak, zrobi to! Wyciągnęła wolną rękę w bok, równoległe do ziemi, i bardzo wolno uniosła stopę o cal. Wyobrażając sobie, że sunie po parkiecie, przeniosła ostrożnie nogę do przodu i tak ustawiła, by lina przebiegała pośrodku stopy.

- Dobrze! - zawołał Mikołaj z podziwem. - Bardzo dobrze. Zachęcona tym, zrobiła jeszcze jeden krok, i jeszcze jeden.

Zimna pustka w jej sercu wypełniła się dumą i podnieceniem. Mogła to zrobić - i zrobiła! Poczowała przyływ dziwnej siły... i wreszcie połączyła się z tą złotą aurą, która zawsze otaczała Mikołaja. To była magiczna chwila.

Puścił jej rękę, stykali się tylko koniuszkami palców. Marguerite zrobiła kolejny krok, i następny, i jeszcze jeden. Poruszała się coraz szybciej i swobodniej. Roześmiała się, przepełniona radością, której nie zaznała od czasów dzieciństwa, kiedy biegała pomiędzy krzewami ojcowskiej winnicy. Co za boskie uczucie! Była pewna, że potrafi latać.

Gdy dotarła do końca liny, Mikołaj złapał ją w talii i zaczął wirować z nią w koło. Odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się radosnym, nieokiełznanym śmiechem.

- Marguerite, kochanie, zrobiłaś to! - krzyknął. - Już za pierwszym razem.

Kiedy ją postawił na ziemi, przytuliła się do niego, śmiejąc się i płacząc.

- Tylko dlatego, że mnie podtrzymałaś, Mikołaju.

- Och, Marguerite. - Objął ją mocniej - To ty sama się utrzymałaś. Masz skrzydła, właśnie je odkryłaś.

Skrzydła. Może i je miała... Te drobne, ulotne nadzieje, które popychały ją do przodu, ku dobroci, jakiej nie zaznała, dopóki nie pojawił się Mikołaj. To on dał jej tę nadzieję i te skrzydła.

Oby nie za późno!

Rozdział dwudziesty

- Co tam gadacie tą waszą tłustą gębą, najjaśniejszy panie? - zapytał Will Somers, ulubiony królewski trefniś.

Król Henryk ryknął śmiechem, lecz zgromadzeni wokół niego dworzanie mieli miny raczej nietęgę, obawiając się, że następnym razem to oni mogą stać się celem zjadliwych błazeńskich dowcipów.

Marguerite była zadowolona, że siedzi na końcu sali, z dala od królewskiego tronu, bo dzięki temu mogła oglądać ten spektakl, nie biorąc w nim udziału. Nie miała ochoty na żarty, nie było jej też wcale do śmiechu. Po spacerze na linie nerwy miała napięte i wyostrzone zmysły.

Prawdę mówiąc, całe jej życie było jak ta lina. Krok po kroku, ostrożnie, do przodu, wypatrując pilnie najdrobniejszych symptomów grożącego upadku.

Tego dnia jednak nie upadła, dlatego było jej znacznie trudniej znaleźć się z powrotem na ziemi, w tej złotej klatce.

Mikołaj nie pojawił się na bankiecie. Księżna Elena i jej mąż siedzieli na przypisanych sobie miejscach obok ambasadora Mendozy, w otoczeniu świty, jednak Mikołaja nie było wśród nich. Nie było go także pośród aktorów, którzy zonglowali i zabawiali gości. Bez niego sala wydała się Marguerite ciemna i ponura.

Siedzący obok niej ojciec Pierre, jak zawsze czujny i milczący, położył jej na talerzu słodkie ciasteczko.

- Dziękuję. - Zaczęła obgryzać miodowe brzegi. Od czasu tej strzały i dziwnego listu myślała tylko o jednym, a mianowicie co czai się za każdym rogiem i za każdym gobelinem. Nawet osobom duchownym, a może przede wszystkim im, nie powinna ufać.

- Panno Dumas, czy doszła już pani do siebie po tym niefortunnym wypadku? - zapytał.

- Tak, w zasadzie tak, dziękuję. Nawet nie zostanie mi po tym blizna.

- Podobno leczył panią ten Rosjanin, który dołączył do hiszpańskiego poselstwa.

Zerknęła kątem oka na ojca Pierre'a, ale nic nie wyczytała z jego twarzy. Wygląd miał równie namaszczone jak zawsze, jakby się czegoś po niej spodziewał lub na coś czekał. Choć na co, nie miała pojęcia.

- Owszem. To świetny lekarz.

- Tylko lekarz? A może coś więcej?

- Co chce ojciec przez to powiedzieć? - spytała lodowatym tonem. Od początku wydawał jej się nad wyraz irytujący, lecz tej nocy przekroczył sam siebie. Po spacerze na linie i locie w ramionach Mikołaja przepełniało ją uczucie uniesienia i nie chciała, by ktoś to popsuł. Euforia i tak wkrótce minie sama z siebie.

Duchowny wzruszył ramionami.

- Po prostu nie wiem, czy to rozsądne spędzać tyle czasu wśród Hiszpanów oraz ich sprzymierzeńców. To nie są nasi przyjaciele, panno Dumas, bez względu na to, jak przyjazne stroją miny. Są przeciwni naszej misji i nie cofną się przed niczym, byle tylko nie dopuścić do zawarcia traktatu.

Spojrzała na księżnę Elenę, która uśmiechała się łagodnie do męża.

- Aż taka głupia to ja nie jestem, proszę księdza. Wiem, co się dzieje na królewskim dworze, wiem też, że nie ma prawdziwej przyjaźni. - Mówiła to z przekonaniem, choć w jej duszy zakiełkowało ziarenko wątpliwości. Owszem, wszystko to było jej dobrze znane. Zawilości i intrygi dworskiej polityki stanowiły przecież jej domenę. Teraz jednak...

Czyżby Mikołaj do tego stopnia omamił ją swoją namiętnością, a księżna swą dobrocią, że o tym wszystkim zapomniała?

- To nieprawda - powiedział z naciskiem ojciec Pierre, nachylając się tak, że poczuła jego gorący oddech i stęchły zapach wełnianej sutanny. - Są na świecie wierni przyjaciele, trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich szukać.

- Zapamiętam sobie nauki ojca. - Odsunęła się od niego.

- Jestem zawsze pod ręką, aby wysłuchać pani problemów. Duchowa pociecha bywa czasami najlepszym lekarstwem na ziemskie troski.

Zacisnęła wargi. Wątpiła, czy duchowa pociecha była wszystkim, co miał na myśli i on, i inni mężczyźni.

- Dziękuję, ojczu.

Przechodzący obok paż przystanął, aby dolać jej wina, skorzystała więc z okazji, aby jeszcze dalej się odsunąć. Odwróciła się, żeby porozmawiać z parą siedzącą po drugiej stronie, gdy nagle drzwi otworzyły się i do sali wślizgnęła się grupka ludzi. Nikt z rozbawionego towarzystwa nie zauważył ich oprócz Marguerite, a to dlatego, że był wśród nich Mikołaj.

Miał na sobie purpurową szatę z kołnierzem haftowanym złotą nicią, a ściągnięte do tyłu włosy odsłaniały wielki perłowy kolczyk. Towarzyszył mu jakiś mężczyzna, którego Marguerite nigdy dotąd nie widziała. Tak więc pojawił się nowy element układanki.

Wysoki, wyższy nawet od Mikołaja, szczupły, o wyrobionych mięśniach, odziany był w czarne aksamity i skóry. Lśniące, ciemne włosy opadały mu na ramiona, a twarz nosiła ślady słońca, którego próżno szukać w Anglii. Krótko przystrzyżona broda dodawała pewnej szorstkości młodzieńczej urodzie, a w ciemnozielonych oczach cynizm mieszał się z rozbawieniem. Czarne buty, choć czyste i z dobrej skóry, z pewnością nie były nowe, natomiast sztylet u pasa miał prostą, wytartą rękojeść.

A więc człowiek czynu. Tylko kim on był? Nie wyglądał na aktora, jak Mikołaj. Brakowało mu tej lekkości i złocistej aury. Jeżeli Mikołaj był jej aniołem, to ten człowiek kojarzył się z władcą podziemi, za którym nadciągają ciemne chmury i stada kruków.

Gdy Mikołaj wraz ze swym towarzyszem wszedł do sali bankietowej, a za nimi grupka mężczyzn w czerni, wokół rozległy się głośne szepty. Goście zbyt

długo przebywali zamknięci w Greenwich, dlatego nowa twarz wywołała liczne spekulacje.

Mężczyźni przystanęli przy stole księżnej Eleny i zaczęli cicho rozmawiać z nią oraz jej mężem, nie zwracając uwagi na to, iż stali się obiektem powszechnego zainteresowania. Marguerite zdażyła jednak poznać Mikołaja na tyle dobrze, by wiedzieć, że nic nie mogło ujść jego uwagi.

Wstała zza stołu i zaczęła dyskretnie przesuwać się pod ścianą w stronę rogu zajmowanego przez Hiszpanów, gdzie señorita Alva siedziała wraz z młodymi towarzyszczkami.

- Ach, panna Dumas! - Przyzwała ją gestem. - Właśnie rozmawiamy o nowym kompanie pana Ostrowskiego. Zna go pani?

- Jeżeli wy go nie znacie, to skąd ja mam go znać - odparła. - Muszę jednak przyznać, że jest całkiem przystojny. Co za groźny wygląd! Więc nie jest nowym członkiem waszego poselstwa, przysłanym z Madrytu?

- Żadna z nas go wcześniej nie widziała - powiedziała señorita Alva. - Esperanza uważa, że to śródziemnomorski pirat!

Jedna z dam pochyliła głowę i zachichotała w chusteczkę. Niewątpliwie to ona wysnuła tę teorię.

- Myślicie, że pan Ostrowski naprawdę przedstawiłby księżnej Elenie pirata? - zapytała Marguerite. Mikołaj musiał wprawdzie znać kilku piratów, bo wydawał się znać absolutnie wszystkich, ale żeby ich zabierać z sobą na dwór...

- Bardziej prawdopodobne, że to jakiś kupiec wenecki, a może neapolitański - stwierdził z pogardą jeden z mężczyzn.

- Niewart całego tego zamieszania.

Señorita Alva nic nie powiedziała, lecz błysk jej ciemnych oczu świadczył o tym, że akurat jej zdaniem jak najbardziej był go wart. Rozmowa potoczyła się dalej, a Marguerite zasiadła, aby napić się wina i słuchać. Już wkrótce jeden ze słu-

żących księcia podszedł, aby zaprosić damy do komnat księżnej Eleny na karty. Przy okazji miały poznać pana Balthazara Grattiana z Wenecji.

A więc pochodził z Wenecji, pomyślała Marguerite, patrząc na nieznajomego, który żywo o czymś rozmawiał z księżną Eleną. Zachowywał się uprzejmie i bardzo poprawnie, ale jego uśmiech nigdy nie dosięgał oczu, a przystojna twarz była czujna i spięta. Nie aktor, nie pirat, kupiec też nie. Gotowa była się to założyć. Kim więc był ten Grattiano i co robił w Anglii?

Marguerite nie lubiła zagadek i niespodzianek.

Wstała więc, żeby wyjść i na osobności spróbować rozgryźć nową zagadkę. Już dochodziła do drzwi, gdy coś ją nagle zakłuło w kark. To samo dziwne uczucie, które ją zawsze ostrzegało, że jest śledzona. A jednak nie ostrzegło jej przed strzałą w lesie.

Zerknęła przez ramię i zobaczyła wbity w siebie wzrok ojca Pierre'a, który pokręcił nieznacznie głową, jakby po raz kolejny chciał ją ostrzec przed rozmową z Hiszpanami.

Pośpiesznie opuściła salę. Była przekonana, że jeśli już powinna mieć się przed kimś na baczności, to właśnie przed tym księdzem!

Rozdział dwudziesty pierwszy

- Tak się cieszę, że przyjechałeś, Balthazarze. - Mikołaj i Balthazar Grattiano spacerowali nad Tamizą. O tej porze wokół nie było żywego ducha. Tylko drobne, atramentowe fale, oświetlane mdłym światłem księżyca, uderzały o brzeg. Rzeka była jednak głębsza i bardziej niebezpieczna, niż się mogło wydawać. Z oddali, jakby z innego świata, dobiegały hałasy z sali bankietowej. - Choć możesz jeszcze tego żałować, kiedy się zorientujesz, w co się wplątałeś.

Balthazar potrząsnął głową. Cały w czerni i z ciemną brodą wtopił się w noc, stając się częścią jej mrocznych sekretów. Mikołaj wyczuł w nim jednak dawny gniew, tyle tylko że stłumiony i ukryty pod uniformem wilka morskiego.

- Drobnostka, tak czy inaczej płynąłem do Indii Zachodnich - powiedział Balthazar. - Marc wysłał ładunek do Meksyku przez Puerto Rico i Hiszpanię, więc zaproponowałem mu swoje usługi jako kapitan „Eleny Marii”.

- Przystanek w Greenwich to drobnostka? Po prostu było ci po drodze? - zakpił Mikołaj.

Cień uśmiechu przemknął przez usta Balthazara.

- No, może nie aż taka drobnostka, jednak żegluga po Tamizie to dobra lekcja, a ja mam nadzieję zostać wkrótce kapitanem własnego statku, więc potrzebuję praktyki. Poza tym Marc i Julietta trochę się niepokoją o księżną Elenę. Mówi się, że Francuzi nie cofną się przed niczym w obronie nowego przymierza.

Mikołaj pomyślał o Szmaragdowej Lili i o tych wszystkich szpiegach w Greenwich, którzy ukrywają się pośród francuskiego poselstwa.

- Jak zwykle są gotowi na wszystko, nie sądzę jednak, by księżnej Elenie groziło niebezpieczeństwo. Bez względu na wynik rozmów w sprawie traktatu, ona i książę już wkrótce zamierzają wrócić do kraju.

- Moim zdaniem to ty jesteś w największym niebezpieczeństwie - powiedział Balthazar.

Mikołaj zasepił się. Czy przyjaciel mógł już słyszeć o Marguerite? O jego uczuciach do niej i związanych z tym komplikacjach?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Kiedy poszedłeś po wino, księżna wyznała mi, że zamierza cię ożenić przed zakończeniem angielskiej misji. A więc strzeż się, bo inaczej wrócisz do domu związany świętymi więzami z bogobojną i pruderyjną Hiszpanką.

- To prawda, że jest zapaloną swatką - odparł ze śmiechem - ale ja jestem równie zdeterminowany, by nie dać się zaciągnąć do ołtarza.

- Więc uciekanie przed ślubem to wszystko, czym się tutaj zajmujesz?

Przypomniał sobie, co się wydarzyło, odkąd przybył do Greenwich z tak niechcianą misją. Jak miał to wszystko opowiedzieć, by zabrzmiało z sensem?

- Tak, a oprócz tego kazano mi przygotować widowisko z ni mniej, ni więcej, tylko aż z szesnastoma damami dworu.

Ochrypy śmiech Balthazara świadczył o tym, iż rzadko zdarzało mu się śmiać.

- Więc jednak jesteś w niebezpieczeństwie, przyjacielu! Wolałbym stoczyć bitwę morską z piracką armadą, niż przydzielać role szesnastu damom.

- Skoro jednak już zdecydowałeś się opuścić swój zaciszny mały światek na pokładzie statku i przybyłeś na królewski dwór, będziesz musiał stawić czoło nowemu wyzwaniu - powiedział Mikołaj. - Otóż potrzebuję asystenta do mojego spektaklu, a ty świetnie się do tego nadajesz.

Balthazar aż cofnął się, przejęty zgrozą.

- Nie, Mikołaju! Wszystko, tylko nie to! Nic nie wiem o teatrze.

- Za to wiesz wszystko o kobietach. Widziałem, jak na ciebie patrzyły w Wenecji, skulone u twych stóp jak kotki ze schowanymi pazurkami. Uwierz mi, wprost idealnie się nadajesz, by mi pomóc zapanować nad tą gromadką.

- Wiem coś niecoś o kobietach, jako że romanse były moją jedyną rozrywką w czasach burzliwej młodości, ale aż szesnaście... - Zdesperowany pokręcił głową.

- Jest wśród nich wiele całkiem ładnych - namawiał go Mikołaj i nagle kątem oka dostrzegł błysk księżycowej poświaty na atlasie. Odwrócił się. To Marguerite śpieszyła nadrzeczną ścieżką. Czyżby szła za nimi przez cały czas? Zaklął, zły na siebie i swoją głupotę, za ten moment nieuwagi. To przecież takie do niego niepodobne. - A oto i jedna z naszych pięknych aktorek - powiedział na tyle głośno, by go usłyszała. - Panno Dumas, co za niespodzianka!

Margeurite zastygła i przez moment wyglądała jak jeden z tych niskich murków, za którymi chciała się ukryć, zaraz jednak wyprostowała się i ruszyła w ich stronę tak spokojna i opanowana, jakby skradanie się w środku nocy nad rzeką było czymś absolutnie normalnym dla młodej damy.

Gdy stanęła w świetle księżycy, Balthazar otworzył szeroko oczy.

- Teraz już rozumiem, co miałeś na myśli, Mikołaju - powiedział półgłosem. - Rzeczywiście jest bardzo ładna.

- To panna Dumas, jedna z dam towarzyszących hrabinie de Calonne - wyjaśnił przez zaciśnięte zęby. Mówiąc szczerze, miał ochotę przyłożyć przyjacielowi.

- Dobry wieczór, panie Ostrowski - odezwała się Marguerite, splatając skromnie ręce. - Widzę, że nie tylko ja zapragnęłam odetchnąć świeżym powietrzem.

- To prawda. Czy mogę pani przedstawić mego przyjaciela, signora Balthazara Grattiana, który dopiero co przybył z Wenecji?

- Witam, panie Grattiano. - Dygnęła wdzięcznie. - Tutaj, w Greenwich, każda nowa twarz jest mile widziana.

- Gdyby tylko ta twarz była równie urocza jak pani buzia, panno Dumas. - Balthazar dwornie ucałował jej palce.

Mikołaj wznosił oczy do nieba, ale wyraźnie zadowolona Marguerite tylko się roześmiała.

- Signor Grattiano zgodził się zostać asystentem przy naszym widowisku - powiedział, wślizgując się pomiędzy przyjaciela a Marguerite, która natychmiast wsunęła mu rękę pod ramię, jakby robiła to od wielu lat.

- Naprawdę potrzebujesz asystenta? Przecież tak świetnie sobie radzisz. Jestem pewna, że będzie to najlepsze i najelegantsze widowisko, jakie kiedykolwiek oglądano na tym biednym angielskim dworze!

- Tylko dlatego, że pewne damy wykazały nadzwyczajną ochotę do współpracy z reżyserem. Obawiam się jednak, że to się wkrótce zmieni.

- Chyba nie mnie masz na myśli, Mikołaju! Boję się, że pan Grattiano będzie miał o mnie fałszywe mniemanie. Chcę tego, co najlepsze dla tego widowiska... i dla wszystkich twoich starań.

Wymienili powłóczyście spojrzenia, jej ręką ścisnęła mocniej jego ramię.

- Jestem tu wyłącznie po to, aby pomagać najlepiej, jak umiem - powiedział Balthazar. - Teraz jednak muszę was opuścić, bo obiecałem księżnej Elenie, że zaraz wrócę i opowiem o nowinkach weneckiej mody.

- Niech pan na siebie uważa - rzuciła Marguerite - bo się pan ocknie przed ołtarzem, zanim skończy się ta noc.

- Wezmę pod uwagę pani łaskawą przestrożę, panno Dumas. - Skłonił się nisko i odszedł.

Mikołaj i Marguerite stali w milczeniu przez dłuższą chwilę, potem znów ruszyli, ona nieco z przodu, on krok za nią.

- Twój przyjaciel wywołał spore zamieszanie wśród pań - powiedziała. - Wciąż tylko chichoczą i szepczą, jaki jest przystojny i tajemniczy!

- Zawsze tak było. Miał wielkie wzięcie w Wenecji.

- Naprawdę? Tyle rzeczy się tam dzieje! Ciekawe, że są jeszcze ludzie, którzy mieszkają gdzieś indziej. Czy należy do twojej trupy?

- Dobrze wiesz, że nie. Jest kapitanem jednego ze statków Marca Velazqueza. Twierdzi, że zatrzymał się tutaj po drodze do Indii Zachodnich, bo chciał sprawdzić, jak się miewa księżna Elena.

- No tak, ona ma oddanych opiekunów. Szkoda, że nie wszystkie kobiety mają takie szczęście.

Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Przytuliła się do jego piersi, pieszcząc go delikatnie przez aksamit.

- Uważasz, że Balthazar jest przystojny, prawda? - rzucił groźnym tonem.

- Nie aż taki przystojny jak ty.

- Więc szłaś za nami po to tylko, żeby sobie popatrzeć na nasze piękne oblicza?

Odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie szłam za wami, tylko uciekłam z bankietu, a kiedy zobaczyłam, że rozmawiasz z przyjacielem, nie chciałam wam przeszkadzać.

- Czyli nie podsłuchiwałaś?

Uderzyła go w ramię.

- Byłam o wiele za daleko, żeby podsłuchiwać! Wiedz też, że gdybym tylko chciała, znalazłabym lepszy sposób. Nie ukrywam jednak, że twój przyjaciel mnie zaciekał.

- Jeżeli przyjdiesz na karty do księżnej Eleny, Balthazar z przyjemnością zaspokoi twoją ciekawość.

Spoważniała gwałtownie.

- Przyjdę do księżnej, ale...

- Tak?

- Czy będę mogła wpaść później do ciebie? - wyszeptała, choć nikt nie mógł ich usłyszeć. - Chciałabym cię prosić o radę w pewnej sprawie.

- Coś się stało? - zaniepokoił się. - Coś jak ta strzała?

- Nie, ale.... Później ci powiem, dobrze?

- Dobrze. - Przyciągnął ją do siebie. - Później.

Rozdział dwudziesty drugi

Marguerite wygładziła list.

Niebezpieczeństwo może się czaić wszędzie.

Co to miało znaczyć? Wiedziała, że ma wrogów. Zresztą kto ich nie miał w jej świecie? Tylko dlaczego ktoś ją ścigał? A teraz ją ostrzega? Co się zmieniło?

Oderwała wzrok od listu i spojrzała przez okno. Było ciemno, nawet księżyc nie odważył się ukazać swego oblicza zza zasłony obłoków. W ogrodach, podobnie jak w pałacu, panowała głęboka cisza. Nawet wszyscy goście księżnej wrócili już do swoich komnat i ciepło opatuleni czekali w łóżkach na świt i na to, co przyniesie im nowy dzień. Czy zostaną podjęte jakieś rezolucje czy wnioski, a może nadal będą dreptać w miejscu, bo tak królowi Henrykowi jest wygodniej? Czy też czeka ich kolejna porcja pustej, fałszywej wesołości?

Nie uważała się za osobę przesadną o zbyt wybujałej wyobraźni, tej nocy jednak miała wrażenie, że coś się czai w ciemnościach, jakaś wroga siła, która pełźnie jak mgła znad Tamizy. Nie mogła jej jednak zobaczyć, a co dopiero z nią walczyć.

Kto przysłał jej ten list? I co wiedział, czego ona nie wiedziała?

Jeden tylko człowiek mógł jej pomóc w uzyskaniu odpowiedzi, bo jako świetny znawca ludzkiej natury umiał słusznie osądzać. A jeżeli to on wysłał jej ostrzeżenie - bez trudu dostrzeże prawdę w jego błękitnych oczach.

Wsunęła list do sakiewki u pasa i sięgnęła po pelerynę, ukrywając jasne włosy pod kapturem. Tonące w ciemnościach korytarze zdawały się pełne złych duchów.

Wśród zimnych przeciągów każde westchnienie brzmiało złowieszczo. Znała jednak tę drogę na pamięć, więc nogi same ją niosły.

Pod drzwiami Mikołaja zatrzymała się na chwilę i przytknęła do nich ucho. Usłyszała cichy szelest papierów, więc wślizgnęła się do środka bez pukania i zsunęła kaptur.

Mikołaj siedział przy biurku pod oknem i czytał przy świecy. Miał na sobie szlafrok z czerwonego brokatu obsyty sobolim futrem.

Uśmiechnął się na jej widok.

- Co czytasz? - zapytała cicho. - Tylko mi nie mów, że o tak późnej godzinie pracujesz nad tym cudacznym widowiskiem.

- Masz rację. Mam już po dziurki w nosie Piękna, Pogardy i całej reszty. Czytam listy przywiezione przez Balthazara.

- Ach tak, ten tajemniczy signor Grattiano... - Oparła ręce na ramionach Mikołaja i spojrzała na dokumenty. Na żadnym z nich nie dostrzegła urzędowej pieczęci. Nie było rozkazów od rosyjskiego cara ani weneckiego doży. - To był bardzo zabawny widok, gdy wszystkie ślicznotki księżnej Eleny flirtowały z nim jak szalone. On z nimi zresztą też, choć bez błysku w oczach. To najbardziej poważny człowiek, jakiego w życiu spotkałam.

- Przygotowuje się do podróży do Indii Zachodnich. Wzywa go Nowy Świat i wątpię, by flirty zajmowały jego myśli w tym samym stopniu, co gromadzenie zapasów na tę długą wyprawę.

- Nowy Świat - powtórzyła w zamyśleniu, przeczesując palcami jego złote włosy. - Słyszałam, że to olbrzymia pusta przestrzeń, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, oceany są tak granatowe i przejrzyste jak szafiry, plaże pokryte są perłami, a wszędzie panuje błoga cisza.

- Chciałabyś tam popłynąć, Marguerite? Przecież tam nie ma dworskich intryg, atlasowych sukien, pierników i małmazji - zażartował Mikołaj.

Roześmiała się.

- Chciałabym uciec jak najdalej od tego wszystkiego! Oczywiście z wyjątkiem wina. Niestety, słyszałam też, że grasują tam zarazy i ludożercy, a poza tym można spotkać zbyt wielu Hiszpanów. Chyba jednak ten Nowy Świat nie jest dla mnie.

- Ani dla mnie, przyznam szczerze, choć dla Balthazara będzie jak znalazł. Może w tych tropikalnych lasach pozbędzie się swoich demonów.

Demony. Tak, właśnie dlatego tu przyszła. Byłaby o tym zapomniała, uwiedziona wizją dalekich krajów. Niestety, jej demony nie dałyby się zgubić na żadnej wyspie ani w mrocznych zamkowych korytarzach. Przysunęła sobie stółek i usiadła obok Mikołaja.

Sięgając po list, zawahała się na moment. Dotąd nikogo nie prosiła o pomoc. Szmaragdowa Lilia nigdy jej nie potrzebowała... ale Marguerite tak!

Zmarszczył brwi, jakby wyczuł jej wahanie, wątpliwości i obawy. Skrzyżował ręce na piersi i spytał cicho:

- Co się dzieje, Marguerite? Czy znów coś złego się stało? Jakiś nowy atak?

- Jeszcze nie, ale zobacz, co dostałam. - Podała list Mikołajowi i utkwiała wzrok w jego twarzy, szukając oznak winy.

Przeczytał go w milczeniu, przyglądając się dużym literom znacznie dłużej, niż wymagała tego krótka treść. Twarz miał kamienną, tylko blady rumieniec gniewu wystąpił mu na policzki. Zmiał papier w dłoni i odezwał się z wyraźnym rosyjskim akcentem:

- Nie wiesz, kto ci to przysłał?

- Przyniósł mi go paż, a kiedy go odszukałam, powiedział, że znalazł list na swoim posłaniu z prośbą, by mi go dostarczyć. Nie znam tego pisma.

- Innych listów nie dostałaś?

- Takich nie. W przeszłości zdarzało mi się dostawać listy z pogroźkami lub wyzwiskami, ale nigdy w formie ostrzeżenia. Przyznam, że jestem zaskoczona.

- Dlatego przyszłaś szukać u mnie pomocy? A może chciałaś sprawdzić, czy to nie ja go wysłałem? - Spojrzał na nią chmurnym wzrokiem.

- A nie ty? - Spojrzała mu twardo w oczy.

- Chyba już mnie na tyle znasz, moja droga. Gdybym chciał ci grozić albo cię ostrzec, powiedziałbym ci to wprost. Niczego przed tobą nie ukrywam.

To prawda, niczego przed nią nie ukrywał. Ona także nie miała już przed nim żadnych sekretów. Ani przed samą sobą.

- Wiem, Mikołaju... Pokiwał głową i oddał jej list.

- Kto oprócz nas dwojga zna prawdziwy cel twojego przyjazdu do Anglii? Biskup? A może hrabia?

- Nikt. - Schowała list do sakiewki. - Król Franciszek dobrze wie, że skuteczność jego szpiegów maleje wraz z każdą osobą, która pozna ich tożsamość. Hrabia i jego małżonka są przekonani, że zostałam wysłana, by towarzyszyć hrabinie, chociaż, prawdę mówiąc, spędzam niewiele czasu w jej towarzystwie. Ona mi nie ufa, bo, jak przypuszczam, podejrzewa mnie o romans z jej mężem.

- A może to ktoś spośród Hiszpanów?

- Od razu by mnie zabili, a ciało wrzucili do rzeki. Sięgnął po jeden z listów na biurku, umoczył pióro w inkauscie i zaczął pisać na odwrotnej, czystej stronie:

1. Hrabia i hrabina de Calonne.

- Kogo jeszcze możemy podejrzewać? Wymień mi wszystkich, choćby najbardziej nieprawdopodobnych.

Długo układali listę, dorzucając kolejne nazwiska, aż w końcu Marguerite zakreśliło się w głowie. Była jak mało kto obeznana z niebezpieczeństwem, przecież taki miała fach, a jednak, widząc to wszystko czarno na białym, poczuła się bardzo nieswojo.

Skołowana zaczęła sobie masować skronie. Noc gęstniała wokół niej, oblepiając coraz ciaśniejszą siecią. Nagle ogarnął ją lęk, że nigdy nie zdoła uciec.

Mikołaj oderwał wzrok od listy.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - zapytał, marszcząc brwi.

- Tak, jestem tylko zmęczona.

- I pewnie też nie do końca zdrowa. Nie powinienem być cię zatrzymywać tak długo. Niepotrzebnie kazałem ci układać tę listę. - Odłożył pióro.

- Ależ musieliśmy ją sporządzić! To bardzo ważne - upierała się, lecz widząc wyciągnięte ręce Mikołaja, wślizgnęła się z wdzięcznością w jego ramiona. Były jak ciepły, bezpieczny azyl, gdzie nie dosięgną jej żadne złe listy i strzały. Usiadła mu na kolanach. - Przyszłam szukać u ciebie pomocy i wykorzystać twoją inteligencję do własnych celów.

- Cieszę się, że to zrobiłaś, choć jestem też trochę zaskoczony.

- Dlaczego?

- Myślałem, że Szmaragdowa Lilia nikomu nie ufa i nikogo nie potrzebuje.

- Bo nie potrzebuje. - Odsunęła się, żeby na niego spojrzeć. Dotknęła delikatnie jego policzka i nagle noc jakby się rozstała, a światło prawdy poraziło ją bardziej boleśniej niż wszystkie strzały. - Jednak Marguerite tak. Marguerite ufa tylko tobie.

I tylko jego kocha. Całą sobą. Każdą cząstką swej skalanej duszy. Uosabiał dla niej to wszystko, o czym dotąd nie miała pojęcia - piękno, dobroć, inteligencję i uczciwość. Był wszystkim, czym ona nigdy nie była i na co nie zasługiwała. Mimo to kochała go i potrzebowała, a także mu ufała.

Przypomniała sobie tamtą noc w weneckim burdelu. Na myśl o tym, jak niewiele brakowało, by go straciła, serce głucho zabiło jej w piersi. O mały włos byłaby zabiła swoją miłość! Coś jednak powstrzymało jej rękę i przywiodło ich aż do tego momentu.

Poczuła pod powiekami gorące łzy. Zatkąła usta, aby stłumić szloch. Zbyt wiele nazbierało się przez te lata frustracji, samotności i tęsknot. Ukryła głowę na ramieniu Mikołaja, modląc się w duchu, aby nie zauważył jej słabości.

Dostrzegł ją jednak, bo zawsze wszystko widział, i przygarnął ją mocno do piersi.

- Nie zawiodę cię, Marguerite - zapewnił czule. - I nie pozwolę ci umrzeć. Obiecuję.

Te proste i łagodne słowa przekonały ją, więc go pocałowała, obejmując tak kurczowo, jakby chciała na zawsze przywiązać Mikołaja. Był to pocałunek inny niż wszystkie. Użyła wszelkich zaklęć, by go przy sobie zatrzymać i by nigdy jej nie zapomniał - ani tego, co odnaleźli tutaj na jedną krótką, cudowną chwilę.

Ścisnął ją mocniej, po czym wstał, pociągając za sobą. Świat zawirował wokoło, kiedy zaniósł ją do łóżka i ostrożnie położył na aksamitnych kołdrach.

Uwolnwszy się od jej zachłannych ust, wycisnął rząd drobnych pocałunków od jej policzka aż do szyi, zdejmując z niej jednocześnie ubranie. Nie padło między nimi słowo - patrzyli tylko na siebie w gasnącym blasku świecy, podczas gdy Mikołaj rozbierał ją oraz siebie. Gdy byli już nadzy, wziął ją znów w ramiona i zastygli w niemej, rozpaczliwej nadziei.

Marguerite oparła mu głowę na ramieniu i z zamkniętymi oczami zaczęła wdychać jego zapach. Chciała zapamiętać gładką, rozgrzaną skórę, chłodny oddech oraz pocałunki. Zachowa te drogocenne chwile jak matczyne brylant, by czerpać zeń pociechę i siłę, kiedy znów będzie sama we Francji.

Jej dłonie wędrowały wzdłuż jego pleców. Czują, jak bardzo jest podniecony, więc gdy sama zapłonęła, rozsunęła zachęcająco uda. Gdy w nią wszedł, zaczęli się poruszać w zgodnym tempie, a ich serca biły tym samym rytmem, mówiąc to, czego nie śmieli powiedzieć: „Kocham cię i potrzebuję”.

Zamknęła oczy. Nigdy dotąd nie zaznała takiej czułości, tak idealnego połączenia. Byli jednością. Mikołaj był częścią niej, i tak już na zawsze pozostanie.

Na tę krótką chwilę... i na zawsze.

Siedział na łóżku i wiążąc koszulę, patrzył na śpiącą Marguerite. Wyglądała tak młodo! Jej gładka twarz była leciutko zaróżowiona w blasku świecy, a ręce, tak bezbronne, spoczywały na białym prześcieradle. Była młoda, delikatna i otwarta na

wszystkie możliwości, które stawiało przed nią życie. A także swoje własne możliwości - piękno, inteligencję oraz wrodzoną dobroć.

Na jej twarzy nie znać było śladów tragedii, których nie szczędził jej los. Wystarczy wspomnieć śmierć matki, ojcowskie zaniedbania, pochodzenie z nieprawego łoża czy bezpłodność. Ani tego, że mężczyźni bez skrupulów wykorzystywali jej siłę i urodę dla własnych celów. Tutaj była tylko Marguerite, kobietą inną niż wszystkie, jakie znał dotąd. Jego słodką, twardą jak stal ukochaną.

Kiedy się kochali, pozwalala mu zajrzeć w głąb swego serca. Mogłaby się przy nim otworzyć jak róża zbyt długo stulona w pąk. A jednak ktoś chciał ściąć tę różę, zanim zdąży rozkwitnąć.

Przeszukał jej ubrania, a kiedy znalazł sakiewkę, wyjął z niej list.

Niebezpieczeństwo czai się wszędzie...

Tak więc był tutaj ktoś, kto próbował ją ostrzec. Człowiek ten nie miał widocznie żadnych mocy, skoro napisał anonim. Musiał się obawiać o swoje życie albo stanowisko. Teraz wszystko zależało już tylko od nich. Razem potrafią stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu.

Kiedy Marguerite leżała w gorączce, poprzysiągł sobie, że znajdzie tego, kto do niej strzelał. Że będzie jej bronił. Czas naglił, a niewidzialny wróg był blisko. Muszą być na to gotowi.

Odłożył list i podszedł do stojącej w kącie skrzyni, gdzie wśród koszul i kaftanów spoczywał sztylet Szmaragdowej Lili.

Wyjął go i balansując nim na dłoni, patrzył, jak blask świecy odbija się w pięknym szmaragdzie. Jakże daleko zaszli od tamtej nocy w Wenecji, kiedy próbowała zatopić to ostrze w jego sercu! Czy ktoś mógłby przypuszczać, że pewnego dnia gotów będzie oddać za nią życie? Że niedoszła morderczyni stanie się treścią jego życia?

Wrócił do łóżka. Marguerite spała spokojnie skulona na boku. Potrzebowała snu, żeby nabrać sił do walki. Bał się tego, a zarazem wiedział, że jest zdolna pokonać każdego wroga. Na szczęście nie będzie musiała walczyć sama. Już nigdy więcej.

Ostrożnie, żeby jej nie obudzić, położył sztylet na swojej poduszce. Ostrze zaślśniło na miękkiej pościeli, jakby nareszcie znalazło się na swoim miejscu. Niech jej broni, kiedy on będzie werbował armię i szkicował plany batalii.

Już wkrótce nie tylko to cienkie ostrze będzie stało pomiędzy nią a jej wrogami. Przecież jej to obiecał.

Rozdział dwudziesty trzeci

Marguerite budziła się powoli ze snu. Wypływała z gęstej lodowatej wody na powierzchnię, mimo iż żal jej było opuszczać mroczną głębinę. Zaszyła się pod kołdrą, by znów popaść w błogie zapomnienie, niestety było już za późno i świat ponownie ją osaczył. W pokoju panował chłód - wystający spod kołdry czubek nosa już jej zmarzł. Zwinęła się w kłębek i zirytowana zaczęła się zastanawiać, gdzie podziła się pokojowa i dlaczego nie napaliła w kominku. Claudine przyśle po nią pewnie już niedługo i zacznie się kolejny uciążliwy dzień...

Potem przypomniała sobie, gdzie jest. Nie u siebie, ale w pokoju Mikołaja, gdzie znalazła schronienie.

Rozejrzała się, żeby się upewnić, czy to na pewno jest pokój Mikołaja, była w nim jednak sama. Ogień na kominku zgasł, świece wypaliły się, a niebo za oknem było grafitowe, jak zwykle przed świtem.

Pomyślała, że Mikołaj musiał pójść po nowe świece i zaraz wróci. Mimo to, wślizgując się z powrotem do łóżka, czuła się dziwnie osamotniona, jak rozbitek na bezkresnym oceanie.

Minionej nocy coś się nieodwracalnie zmieniło między nią a Mikołajem, a także w niej samej. Zaufała mu, pokazała list, opowiedziała o swoich obawach, a przecież dotąd polegała tylko na sobie. I tylko sobie ufała - choć też nie zawsze. A jednak opowiedziała mu o wszystkim, czując, że postąpiła słusznie. Że tak właśnie powinno się dziać.

Potem się kochali. Na wspomnienie tych cudownych chwil serce jej się ścisnęło. Dawno temu nauczyła się oddzielać serce i umysł od ciała. Tymczasem tej nocy, w ramionach Mikołaja, wszystko stopiło się w jedno.

Lecz on gdzieś zniknął i znów osaczyły ją chłód i niepewność. Zobaczyła rozwierającą się pod nią otchłań.

Wtedy przypomniała jej się lina. Tak cienka i ulotna, a jednak przeszła po niej z pomocą Mikołaja i wreszcie poczuła się wolna.

Podsunęła się na łóżku, odgarnęła z twarzy potargane włosy, i wtedy zobaczyła błysk na sąsiedniej poduszce. Jej sztylet, ten utracony, skradziony przez Mikołaja w Wenecji!

Sięgnęła po niego ostrożnie, jakby się bała, że rękojeść poparzy jej palce. Stał była jednak zimna i idealnie wpasowała się do jej ręki. Jej sztylet - stary, niezawodny przyjaciel.

Lekki, dobrze wyważony szmaragd w rękojeści rozsiewał zielone błyski. Należał do niej, a raczej do Szmaragdowej Lilii. A Szmaragdowa Lilia była jej nieodłączną częścią. Nie pozbędzie się jej, tak jak nie zdoła zapomnieć o lojalności wobec króla i ojczyzny. Szmaragdowa Lilia i Marguerite Dumas to dwie połówki tej samej monety i nie da się ich rozdzielić. Nawet marząc wraz z Mikołajem o innym życiu, będzie ciągnęła za sobą swój cień.

Musi się pozbyć tego cienia, jeśli chce stać się godna Mikołaja, nawet gdyby miało to ją zniszczyć.

Wyskoczyła z łóżka i zaczęła się pośpiesznie ubierać. Zabrała sakiewkę z listem, dorzuciła sztylet i otuliła się peleryną. Przed komnatami Hiszpanów było

pusto, nigdzie nie dostrzegła nawet śladu Mikołaja. Już wkrótce korytarze zaroją się od służby śpieszącej do codziennych obowiązków. Pałac obudzi się do życia na kolejny dzień poświęcony królom oraz ich ziemskim celom.

Wciąż należała do tego świata, czy jej się to podoba, czy nie. Swojemu królowi winna jest lojalność i musi dopilnować wszystkiego do końca. A co będzie potem... Kto to wie...?

Pobiegła przez ogrody, bo wolała zwirowane ścieżki i świeże powietrze od zatechłych pałacowych korytarzy. Chłodny, orzeźwiający wietrzyk szarpał jej peleryną jak niewidzialne palce, próbujące ją zatrzymać. Lubiła noc, bo czuła, że mogłaby się ukryć na zawsze w jej atramentowych zakamarkach nawet przed samą sobą. A najbardziej lubiła tę porę, kiedy było pusto i cicho jak teraz - jakby była ostatnią osobą na tym świecie.

Na moment pożałowała, że nie ma z nią Mikołaja, który by ją trzymał za rękę i podzielał jej zachwyty nad tą piękną, idealną ciszą. Zatańczyłby później wokół uśpionych klombów, a ona śmiałaby się i wlatywała w jego ramionach.

Gdy dotarła do końca wysokiego żywopłotu, zobaczyła jakąś czającą się w mroku postać. Przez moment myślała, że to Mikołaj i serce aż jej podskoczyło z radości, potem jednak dostrzegła, że ten ktoś włosy ma ciemne i krótko ostrzyżone, jest też zbyt chudy, aby mógł być Mikołajem. Cofnęła się więc o krok, przybierając obronną pozę.

- Panno Dumas, niech pani poczeka!

Ojciec Pierre, któż by inny! Uczepił się jej od przyjazdu do Greenwich. Nie, już wcześniej, jeszcze w Fontainebleau. Wciąż ją śledził i czegoś od niej chciał, ale czego, nie mogła zrozumieć. Był jak ponury czarny kruk, zwiastun nieszczęścia.

Sięgnęła do sakiewki ze sztyletem, gotowa rzucić się do ucieczki, kiedy ojciec Pierre powiedział:

- Wiem, że to pani. Widziałem, jak szła pani do hiszpańskich apartamentów i czekałem, aż pani wyjdzie.

- Przyszedł ksiądz za mną aż tutaj? - Pod osłoną peleryny palce jej namacały zimną rękojeść. - A to w jakim celu?

- Pani o tym nie wie, ale obserwowałem panią od początku podróży. - Przysuwając się bliżej, a sztywne szaty zaszeleściły jak krucze skrzydła.

- Trudno było nie zauważyć. - Cofnęła się.

- Musiałem trzymać się blisko, aby panią chronić. - Oczy mu rozbłyły jak gwiazdy w zamierającym świetle księżyca.

- Chronić mnie? A może szpiegować?

- Och nie, nie! To nie ja miałem panią szpiegować. Jestem pani przyjacielem. Prawdziwym przyjacielem.

Przyjacielem?!

- To ksiądz napisał ten list - wyszeptwała.

- Chciałem panią ostrzec przed niebezpieczeństwem, a także uchronić przed Hiszpanami oraz ich zgubnym wpływem. Mimo to pobiegła pani prosto do nich! Nie posłuchała mnie pani! - W jego głosie zabrzmiała nuta desperacji, jakby Marguerite była tępą, oporną uczennicą, która odrzuca jego nauki.

Odetchnęła głęboko, by stłumić gniew, który nic tu teraz nie pomoże.

- Jestem tylko głupiutką kobietką, ojciec - odezwała się miękkim, zalotnym tonem. - Nie zrozumiałam twojego przesłania. To jasne, że chciał ksiądz zostać moim przyjacielem, bo jakże mogło być inaczej.

- Zawsze byłem pani przyjacielem! Zawsze ... była mi pani... bliska. Odkąd ujrzałem pani nieziemską urodę. Wiedziałem, że pani będzie inna, że pani zrozumie. - Cofnął się, potrząsając głową. - Jednak teraz znam już prawdę. Wiem, że jest pani nie tylko... głupiutką kobietką.

Zadrżała smagnięta podmuchem zimnego wiatru.

- Co ksiądz chce przez to powiedzieć?

- Wiem, czym się pani naprawdę zajmuje. Powiedziano mi. Jest pani królewskim szpiegiem.

Poczuła się zdradzona. Co za przykre zaskoczenie. Dlaczego jakiś ksiądz miałby znać jej tożsamość? Spróbowała się roześmiać, jakby powiedział kompletną niedorzeczność.

- Ojczy, skąd ta myśl! Znam się tylko na strojach, fryzurach i perfumach...

- Przestań! - krzyknął, chwytając ją za ramiona. Zachnęła się, próbując wyswobodzić stopę spomiędzy długich spódnic i kopnąć go w krocze, ale trzymał ją w stalowym uścisku.

- Daj spokój - syknął. - Mnie nie okłamiesz, bo znam twoją prawdziwą, grzeszną naturę. Powiedział mi to hrabia de Calonne.

- Hrabia!

- Tak, a co więcej, to on ma cię zabić, a ja miałem mu w tym pomóc. To dlatego do ciebie napisałem i dlatego musisz mnie teraz wysłuchać.

Poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg.

- Kłamiesz!

- Nie, mówię szczerą prawdę. Nie mogę cię już dłużej okłamywać.

Nagle zakręciło jej się w głowie, jakby zaraz miała zemdleć. Głupie zachowanie, gdy właśnie usłyszała wyrok śmierci. A może to tylko trik?

Jak przez mgłę poczuła, że ojciec Pierre prowadzi ją do marmurowej ławeczki i pomaga usiąść. Nachylił się nad nią, ale jej nie dotknął. Mogłaby uciec bez trudu, ale się rozmyśliła, gdy mu się bliżej przyjrzała. Na jego spiętej twarzy i w płonących oczach malowała się prawda. Kochał ją na swój dziwny, niezdarny sposób. Wysłał jej ten list, a potem, walcząc z samym sobą, przyszedł do niej, aby jej o tym powiedzieć.

- To ksiądz jest autorem tego listu... Dlaczego ksiądz po prostu do mnie nie przyszedł, jeśli chciał mnie ostrzec?

- Przecież by mi pani nie uwierzyła.

- Teraz też nie do końca wierzę.

Jego twarz straciła nagle swój surowy wygląd i wtedy zobaczyła, jaki jest młody. Nieszczęśnik był pewnie w jej wieku i jak ona został wciągnięty w tryby tej samej maszyny, zanim zdał sobie sprawę, że jest wykorzystywany.

Czy jednak mówił prawdę? Tego nie mogła być pewna.

- Wiem, że nie ma pani powodów aby mi ufać - powiedział. - Próbowałem dać pani do zrozumienia, że jestem pani przyjacielem, ale robiłem to nieudolnie. Bardzo panią za to przepraszam. A teraz musi mnie pani wysłuchać! Zostało mało czasu. - Z kieszeni sutanny wyjął mały kluczyk, tak lśniący, jakby był świeżo odlaną kopią oryginału. Wsunął go Marguerite do ręki i powiedział cicho: - Po śniadaniu z hrabiną hrabia będzie przez cały ranek u króla Henryka. To klucz do skrzyni ukrytej pod jego łóżkiem. Niech pani do niej zajrzy, a zrozumie pani, że jestem tu, by pani pomóc.

Zacisnęła kluczyk w dłoni, jednak ojciec Pierre nie puszczał jej ręki. Trzymał ją w zimnym uścisku i drżał jak w febrze.

Cofnęła się przezornie. Widziała już wcześniej zdesperowanych mężczyzn, gotowych na wszystko, byle utrzymać to, co mieli - bogactwo, władzę albo nawet życie. O co jednak jemu chodziło?

- Czego ksiądz chce w zamian za tę informację?

Potrząsnął głową, wciąż ściskając jej rękę.

- Dla siebie nie chcę niczego, panno... Marguerite! Chodzi mi tylko o twoje bezpieczeństwo. Nie przeżyłbym tego, gdyby coś ci się stało, kiedy mogłem temu zapobiec. - Jego głos przeszedł w ochryply szept. - Próbowałem z tym walczyć, by dochować wierności swoim słubom, ale jest pani tak piękna, tak cudowna, tak...

Odwrócił się i ukrył twarz w dłoniach, chudymi ramionami wstrząsnął szloch.

Marguerite zalała fala współczucia. Współczucia dla ojca Pierre'a! No cóż, życie jest pełne niespodzianek. Jak mogła być tak głupia, by zapomnieć, że ludzie to skomplikowane istoty i bardzo potrafią zaskakiwać. Nic nie jest takie, jak się wydaje, ani dobro, ani zło.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Proszę, niech się ksiądz tak nie zadrecza z mojego powodu. Właśnie zrobił ksiądz dobry uczynek. Uratował ksiądz życie, nawet jeśli jest tak mało warte jak moje.

- O nie! - Znów chwycił ją za rękę. Na jego policzkach zalśniły świeże łzy. - W oczach Pana nikt nie jest niegodny, Marguerite. Musisz zacząć nowe życie, w którym wykorzystasz w zbożnym celu swą dobroć i urodę.

Pomyślała o Mikołaju i jego słonecznej winnicy pod błękitnym niebem.

- Obiecuję księdzu, że jego dobry uczynek nie pójdzie na marne. Znajdę nową drogę, jeżeli ksiądz też to zrobi.

- Nie wrócę na królewski dwór. Postanowiłem wstąpić do klasztoru. - Gorzki grymas wykrzywił mu twarz. - Mam już dosyć królów i ich obyczajów.

- Wiem. Ja też. - Delikatnie uwolniła dłoń z jego uścisku, schowała kluczyk do sakiewki i wstała.

Jeżeli to jakaś pułapka, już wkrótce się o tym przekona. Wątpiła jednak, by ksiądz był zdolny do takiego oszustwa.

- Dziękuję, ojczy. Dziękuję z całego serca. I przepraszam, że tak źle księdza oceniałam.

Odchodząc, czuła na sobie jego spojrzenie pełne tęsknoty, którą tak dobrze rozumiała. Miała wrażenie, że jej świat wali się w gruzy z ogłuszającym hukiem. Puściła się biegiem, chociaż wiedziała, że nie ma dokąd uciec. Po jej dawnym życiu pozostały tylko popioły i zgliszcza.

Czy da się coś zbudować w jego miejsce? Dostanie drugą szansę - czy też jej los został już przypieczętowany?

Rozdział dwudziesty czwarty

Krażyła po swoim pokoiku. Kilka kroków w jedną, kilka w drugą stronę, wokół łóżka. Miarowy rytm pomagał jej poskromić zamęt, który zapanował w jej myślach i uczuciach po rozstaniu z ojcem Pierre'em. Teraz musiała zaplanować strategię najważniejszej wojny swego życia. A wojen nigdy się nie wygrywa gorączkową pasją, tylko zimną kalkulacją.

Claudine wraz z damami poszła grać w karty z królową Katarzyną. Marguerite została, wymawiając się bólem głowy. Po ich odejściu wykapała się i przebrała w najczarniejszą aksamitną suknię. Jedynym klejnotem, który włożyła, był brylant matki. Nie czas na szkarłatne jedwabie i sznury pereł! Potrzebowała mocnej zbroi.

Następnym krokiem będzie rekonesans. Musi zebrać dowody i upewnić się, że słowa ojca Pierre'a nie były pułapką. Musi się też dowiedzieć, kiedy wrogowie zamierzają uderzyć po raz drugi. Dopiero potem skrzyknie sprzymierzeńców. Jeśli w ogóle ich miała poza jednym udreńczonym, nawiedzonym księdzem.

Roześmiała się, kręcąc głową. Kto by pomyślał, że ojciec Pierre ze szpiega i podglądacza przemieni się w jej przyjaciela? Że gnany pogmatwaną miłością... kto zresztą zrozumie tę skomplikowaną duszę... zdradzi hrabiego i opuści królewski dwór. A jednak nie potrafiła mu bez reszty zaufać. Nawet jeśli powiedział prawdę, trudno przewidzieć jego następny krok. Co będzie, jeśli dreńczony poczuciem winy wyzna wszystko hrabiemu?

Zaś co do hrabiego... Jak to możliwe, że nie dostrzegła, co kryje się za jego urodziwą powierzchownością i ujmującym sposobem bycia? Był świetnym aktorem, trzeba mu przyznać. Mógłby spokojnie rywalizować z Mikołajem, gdyby wybrał scenę. Może więc rozdrażnienie Claudine miało jeszcze inne przyczyny oprócz zaawansowanej ciąży?

A co do niej samej, cóż, zapomniała o ostrożności, ale to już przeszłość. Uprzedzona przez ojca Pierre'a, zdążyła należycie się uzbroić i nie pozwoli się

pokonać. Zwłaszcza teraz, kiedy zaczęło jej zależeć na życiu, bo miała już po co żyć.

Spojrzała na połyskujący w słońcu kluczyk. Klucz do prawdy? A może do przyszłości?

Pośpiesznie przeszła do salonu Claudine. Na stołach walały się resztki porannego posiłku, okruchy chleba i puste kielichy po piwie. Już wkrótce służba przyjdzie posprzątać, tak więc czasu było niewiele.

Drzwi do sypialni hrabiego były uchylone. Pchnęła je ostrożnie i weszła do środka. Łóżko było niepościelone, a na stołkach i skrzyniach walały się ubrania. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, i że w razie czego jest się gdzie ukryć, zajrzała pod łóżko. Rzeczywiście, jak mówił ojciec Pierre, była tam skrzynia. Solidna, z żelaznym okuciem, stworzona po to, by przechowywać w niej najważniejsze dokumenty.

Wyciągnęła ją i kryjąc się za wysokim łóżkiem, usiadła na podłodze, żeby obejrzeć zamek. Był niemieckiej roboty, bardzo skomplikowany i trudny do otwarcia nawet dla eksperta.

Na szczęście Marguerite miała swego stronnika, tego nawiedzonego księdza.

Wsunęła kluczyk i otworzyła skrzynię. Na samym wierzchu leżało kilka ciężkich worków z monetami. Odłożyła je na bok i pod spodem znalazła kasetkę pełną listów i dokumentów. Były tam instrukcje, jak prowadzić rokowania z królem Henrykiem, a także informacje, kto na angielskim dworze sprzyja Francuzom, a kogo trzeba się wystrzegać. Przejrzała je pobieżnie i na koniec znalazła to, czego szukała.

List od króla Franciszka. Niepodpisany, ale znała dobrze to pismo, bo wiele razy dostawała podobne listy.

A co do rzeczonyj damy, jej obecna wyprawa to ostateczny sprawdzian. Po Wenecji nie możemy już być pewni ani jej lojalności, ani kompetencji. Nie spuszcza

jej z oka, a jeżeli uznasz, że zbyt blisko zbliżyła się z naszymi wrogami lub będziesz miał jakiegokolwiek podstawy, by zakwestionować jej wierność tronowi, to wiesz, co robić. Wypadek może się przytrafić każdemu...

Wypadek. Poświęciła swoją młodość, życie i duszę Francji oraz jej królowi, i taka miała być nagroda? Po jednym błędzie w Wenecji? Nieszczęśliwy wypadek. Szybko i bez śladów. Koniec z kłopotliwą kobietą.

Przypomniała sobie niezdarne ostrzeżenia ojca Pierre'a, żeby nie zadawała się z Hiszpanami. Niestety, teraz już wiedziała, że jej przyjaźń z księstwem de Bernaldez miała być tylko pretekstem. Skoro król Franciszek uznał ją za bezużyteczną, musiała zniknąć.

Złożywszy starannie list, odłożyła go z powrotem do skrzynki. Zatrzymując go, hrabia postąpił bardzo nieostrożnie. Ona zawsze paliła takie pisma. Lecz dobrze się stało, bo zobaczyła czarno na białym, że nie ma już powrotu do przeszłości.

Włożyła do skrzyni resztę dokumentów i worki z pieniędzmi, pilnując, aby wszystko było jak poprzednio.

Powinna być wściekła i rozgoryczona, wszak ten jeden list przekreślił wszystko, co dotąd zrobiła i w co wierzyła, a jednak poczuła wielką ulgę. Cudowne uczucie, że ciężkie łańcuchy wreszcie opadły, a ona może wzlecieć w niebo!

Nie ma już Szmaragdowej Lilii. Została tylko Marguerite.

Niestety, Marguerite była w poważnym niebezpieczeństwie. Ktoś o wielkich mocach pragnął jej śmierci. Miałaby teraz zrezygnować z życia, skoro ledwie się zaczęło? Kiedy poczuła się jak nowo narodzona, a na tym nowym świecie wszystko było możliwe? Nawet miłość.

Zamknęła skrzynię i wepchnęła ją z powrotem pod łóżko. By ocalić Marguerite, musiała po raz ostatni wskrzesić Szmaragdową Lilię. W tej walce każda broń będzie jej potrzebna.

Położyła rękę na sercu, czując wypukłość brylantu pod aksamitnym gorsetem. Rozgrzany od jej ciała kamień powiedział, że nie jest sama i już nigdy nie będzie. Czuwają nad nią jej rodzice, a teraz ma też Mikołaja.

- Mamo... - wyszeptała, choć ostatni raz wymówiła to słowo jako mała dziewczynka, stęskniona za matką, której nigdy nie poznała, lecz widziała ją w postaci opiekuńczego anioła. - Pomóż mi. Chroń mnie swoją miłością i dobrocią. A jeśli możesz, ześlij mi armię sprzymierzeńców uzbrojonych w miecze i armaty.

Jednak i tak się nie podda, nawet jeśli żadna armia nie przybędzie z pomocą. Nawet jeżeli znowu będzie musiała walczyć samotnie. Bo teraz naprawdę miała coś, dla czego warto żyć.

- Widzę, że zardzewiałeś w tym zimnym angielskim klimacie - dogadywał Mikołajowi Balthazar, atakując go tępym teatralnym mieczem. - Te uczyty i dziewczki wysłały z ciebie wszystkie siły.

Mikołaj odparował ze śmiechem jego cios. Ostrze zadźwięczało o ostrze.

- Kto jak kto, ale ty wiesz najlepiej, jak niebezpiecznie jest zadawać się z dziewczkami, signor Grattiano.

- Co mam robić, skoro żadna nie potrafi mi się oprzeć? Przy żadnej jednak nie zapomniałem się aż tak, jak ty przy tym twoim francuskim blond aniele - zarechotał Balthazar po czym z przekleństwem runął na podłogę, bo Mikołaj kopnął go w kolano - Parszywy oszust! - wykrzyknął, a potem wybuchnął śmiechem. - Z drugiej strony, czego można się spodziewać po jakimś nędznym wędrownym aktorzyńce?

- Albo po zdraдлиwym weneckim patrycjuszu - odciął się Mikołaj, po czym odrzucił broń i wyciągnął rękę do przyjaciela, żeby pomóc mu wstać.

Zasiedli przed skończonym już Zielonym Zamkiem, żeby się napić piwa.

- To prawda - przytaknął Balthazar. - My, Wenecjanie, od kolebki uczymy się kłamstwa i oszustwa. Jak mówić jedno, a robić drugie. Jesteśmy jak te nasze kanały: lśniące i gładkie na zewnątrz, a zgniłe i cuchnące od środka.

- A jednak zdecydowałeś się porzucić to wszystko - powiedział Mikołaj, dolewając sobie piwa. - Płyniesz za horyzont, do Nowego Świata.

- Tylko na pewien czas.

- Więc nie zostaniesz na jakiejś słonecznej wyspie? Mówią, że tamtejsze kobiety są warte grzechu. Mają śniadą skórę i są bardzo chętne.

- I noszą tylko przepaskę na biodrach. - Balthazar roześmiał się. - Słyszałem te opowieści. Marc nie musiał mnie długo namawiać na podróż.

Mikołaj rozmyślał o tym, jak bardzo różny był obecny Balthazar od tego młodego, odzianego w atłasy weneckiego patrycjusza, którego poznał w nader dziwnych okolicznościach. Tak pełnego gniewu i rozpacz, tak nieszczęśliwego pomimo swego bogactwa. Dawny blichtr zniknął, zastąpiony przez zwykłą czerń i skórzane kaftany, ale gniew pozostał. Ściśle kontrolowany, lecz nadal ten sam.

Czy przyjaciel odnajdzie spokój w tropikach? Mikołaj, który szukał go na włoskiej farmie, zaczynał podejrzewać, że prawdziwego ukojenia nie znajdzie się w żadnym zakątku tej ziemi, lecz we własnym sercu.

Tymczasem wszystko wskazywało na to, że jego serce już wkrótce powędruje do Francji, ale bez niego, unoszone w białych dłoniach kobiety, którą pokochał - jeśli nie zdoła jej zatrzymać.

- Prawdę mówiąc, Marc nie musiał mnie przekonywać - powiedział cicho Balthazar. - Byłem gotów go błagać, żeby mnie wysłał w tę podróż.

- Co takiego spodziewasz się znaleźć za morzem?

Balthazar milczał przez chwilę, spoglądając na zielone baszty zamku.

- Nie chodzi o to, co spodziewam się znaleźć, ale co mam nadzieję zgubić.

Mikołaj pokiwał głową.

- No cóż, życzę ci pomyślnych wiatrów i owocnej podróży. - Unosząc kielich, dodał: - Obyś wrócił z ładunkiem hiszpańskiego srebra.

- Żebym był jeszcze bogatszy niż przedtem? - Roześmiał się gorzko.

- Bogactwo to nic złego, jeśli się go mądrze używa.

Nagle przez uchylone drzwi Mikołaj zobaczył Marguerite, która wyłoniła się z cienia. Sama też wyglądała jak cień w czarnej sukni, takimż czepku i welonie, a jednak od razu wiedział, że to ona. Żadna dama nie poruszała się z taką lekkością i wdziękiem. Nawet kiedy się zawahała i zerknęła przez ramię, jakby się bała, że ktoś ją śledzi, zrobiła to z gracją. Balthazar także ją zobaczył i zmrużył oczy.

- Rzeczywiście, bogactwo to nic złego, jeśli można za nie kupić tak rzadki klejnot.

- Och, mój przyjacielu! - Mikołaj pokręcił głową. - Bogactwo to za mało, aby go kupić.

- Jeżeli we Francji jest więcej takich, rezygnuję z wyspy i jadę do Paryża.

Marguerite podeszła do drzwi, lecz się cofnęła i pobladła na widok Balthazara. Zrobiła ruch, jakby chciała rzucić się do ucieczki. Mikołaj patrzył na to z niepokojem.

- Nie wiedziałam, że jesteś zajęty - powiedziała. - Przyjdę później...

- Marguerite, wejdź, proszę. - Nagle przeraził się, że jeśli mu teraz ucieknie, już jej nigdy nie znajdzie. Podeszedł szybko i wyciągnął rękę.

Patrzyła na nią przez chwilę, jakby się wahała, a potem wsunęła dłoń w jego dłoń.

- Tylko jeżeli jesteś pewny, że wam nie przeszkadzam.

- Ani trochę. Poznałaś już mojego przyjaciela, signora Grattiana. Balthazar obiecał, że pomoże mi odświeżyć moje umiejętności szermiercze. - Wskazał na porzucone miecze.

Uśmiechnęła się blado.

- Nie musisz ich specjalnie odświeżać, kochany. I bez tego jesteś przeciwnikiem, z którym trzeba się liczyć. Cieszę się jednak, że jeszcze nas pan nie opuścił, signor Grattiano.

Balthazar skłonił się z gracją.

- Wyjadę po widowisku i wielkim turnieju króla Henryka. Ciekaw jestem, jak to wygląda u tych barbarzyńskich Anglików.

- Och, założę się, że nie można tego porównać z festiwalem weneckim. Za to damy będą uszczęśliwione, że jeszcze pana zobaczą. Wszystkie mademoiselles i señority wychwalają pana pod niebiosy.

- Słyszałeś, Balthazarze? - zapytał Mikołaj. - Złamałeś już tyle serc w Wenecji i Veneto, więc teraz możesz zaczynać w Londynie, Paryżu i Madrycie, że już nie wspomnę o tropikach.

- To poważne zadanie - stwierdził Balthazar. - Myślę, że muszę od razu brać się do roboty, bo czas nagli. Pozwoli pani, że ją pożegnaj, panno Dumas...

Pocałował ją w rękę, mrugnawszy przy tym znacząco do przyjaciela.

- Istny skarb - wyszeptał bezgłośnie, po czym zniknął, zostawiając przyjaciela z ukochaną.

Marguerite była głęboko czymś poruszona. Mikołaj od razu to zauważył. Krążyła bez celu między dekoracjami, biurkiem i stosem kostiumów, to gładząc biały atlas, to badając ostrze miecza.

- A więc signor Grattiano zostaje aż do turnieju. I potem na widowisko?

- Musi się najęść i nacieszyć pięknymi kobietami, bo czekają go długie tygodnie na morzu.

- Aż mi się nie chce wierzyć, że już niedługo będzie po wszystkim. Mam wrażenie, jakbyśmy dopiero co przyjechali do Anglii! Boję się, że mieliśmy za mało prób.

- Zostało nam jeszcze kilka dni. Takie przedsięwzięcia zawsze się dopinają w ostatnim momencie. - Oparł się o ścianę z rękami skrzyżowanymi na piersi. - Jednak to nie nasze widowisko jest powodem twojego zdenerwowania.

- Niestety nie. - Uśmiechnęła się smętnie.

- Powiesz mi, o co chodzi?

Usiadła na taborecie z rękami na podołku, jakby chciała opanować wewnętrzny dygot.

- Dowiedziałam się, kto przysłał mi to ostrzeżenie.

Mikołaj spał się, jakby już był gotów do ataku.

- Kto?

- Ojciec Pierre.

- Ten ksiądz?!

- Nie jego podejrzewaliśmy, prawda? Zaczepił mnie, kiedy wychodziłam od ciebie nad ranem, i wszystko mi powiedział.

- Więc to on do ciebie strzelał?! Przecież...

- Nie, nie! Wręcz przeciwnie... Powiedział mi, że stałam się mu... bliska, a list wysłał, żeby mnie ostrzec, bo chciał mnie chronić.

- Wierzysz mu?

- Teraz już tak. Mikołaju, on mi powiedział, kto próbował mnie zabić i gdzie mogę znaleźć dowody. - Zaciśnęła pięści, w oczach miała udramę, a na jej pobladłej twarzy malowały się gniew i strach. - To był hrabia de Calonne. Działał z rozkazu króla Franciszka.

Chwycił ją za rękę i mocno ścisnął.

- Mój Boże... Twój król wydał na ciebie wyrok śmierci?!

- Po wpadce w Wenecji uznał mnie za bezużyteczną - wyszeptwała, patrząc na ich splecione ręce. - Pretekstem miała być moja... przyjaźń z tobą i z Hiszpanami. To ma wyglądać na nieszczęśliwy wypadek. Więc najpierw była strzała, a co będzie następne...

Zatrząsł się z furii. Biała mgła przesłoniła mu oczy.

- Co za podłość! Wiernie służyłaś królowi i ojczyźnie, płacąc za to wysoką cenę. Jak mógł...

- Mylisz się, mój kochany! - Oswobodziła rękę i otoczyła jego twarz, zmuszając, by spojrział jej w oczy. Były pełne łez - ale łez radości, znajdujących odbicie w jej promiennym uśmiechu. Nigdy nie widział jej tak rozradowanej.

Nagle przeraził się, że oszalała. Że zdrada króla zmaćla jej umysł.

- Och, mój kochany, nic nie rozumiesz! Jestem wolna! Mogę porzucić Szmaragdową Lilię i zostać, kim tylko zechcę. Nie wiąże mnie już żadne poczucie lojalności... tak jednostronnej, jak się okazało. Mogę nareszcie stać się zwykłą Marguerite, kimkolwiek miałyby być!

Osunął się na klęczki u jej stóp. Rozumiał już teraz i podzielał jej radość. Była wolna, nareszcie wolna, podobnie jak on. Wystarczyła jedna zdradziecka strzała, by pękły wszelkie więzy z przeszłością.

Ucałował dłoń Marguerite. Jej śmiech zabrzmiał w jego uszach jak najśłodsza muzyka.

- Może więc zechcesz zostać żoną farmera?

- Och, Mikołaju - wyszeptała. - Naprawdę?

- Jeżeli uważasz, że uprawa winorośli cię uszczęśliwi... Nawet nie śmiałem marzyć, że moglibyśmy razem zacząć nowe życie.

- Tak! - Zarzuciła mu ręce na szyję i obsypała go pocałunkami. - Mikołaju, mój kochany, będziemy robić najlepsze wino w całym Veneto! Wino godne bogów! I wszystko będzie nasze, będziemy mieli dom, będziemy odpowiadali tylko przed sobą i...

Nagle zamarła w jego ramionach. Cień padł na jej rozpromienioną twarz. Ścisnęła go kurczowo za szyję. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

- Co takiego, moja kochana?

- Jeśli chcę zamieszkać w naszym domu, muszę przeżyć. Muszę stąd uciec.

- Marguerite - powiedział z naciskiem, obejmując ją jeszcze mocniej. - Skoro ktoś ma tu zostać żywy, to kto, jeśli nie ty i ja? Już niejedną raz wymknęłaś się

śmierci, a ja umknąłem budzącej powszechną grozę Szmaragdowej Lilii. Nie tak było?

- Masz rację...

- Twój zdradziecki król cię nie docenił, lecz pomylił się srodze. Mamy przyjaciół, a to wielka siła. Księżnę Elenę i jej męża, i Balthazara, który nie mógł się zjawić w bardziej fortunnym momencie. Mamy też siebie. Nie umrzesz, moja ukochana - wyszeptał jej żarliwie do ucha. - Nie możesz umrzeć, kiedy cię odnalazłem.

- A ja ciebie. Wiem, że może nam się udać. Jesteśmy nie tylko winiarzami, ale i żołnierzami, czyż nie? Jak to jednak zrobić? Jeśli uciekniemy, hrabia łatwo nas wytropi, bo przykazano mu mnie śledzić.

Przysiadł na piętach. W głowie mu wirowało. To było właśnie to, po co żył przez te wszystkie lata. Kiedyś kochał te intrygi i przygody, bitewny szal i podniecenie. Te wszystkie fortele i przemyślne gry. Teraz jednak chciał to już mieć jak najszybciej za sobą. Chciał żyć blisko ziemi i słońca z Marguerite u boku. Mieć swoją rodzinę, swoją winnicę.

By to osiągnąć, musiał rozegrać jeszcze jedną śmiertelną batalię. W tej grze stawką było życie ukochanej kobiety oraz ich wspólna przyszłość..

- Opowiem ci bajkę, moja najdroższa - powiedział. - Bajkę o Wenecji, o Marcu i Julietcie, którzy się kochali, lecz znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. A jednak wyszli z tego cało dzięki pewnemu przedstawieniu, maskaradzie...

Rozdział dwudziesty piąty

Dzień był wprost wymarzony na turniej.

Chmury rozstały się, odsłaniając nad głowami jasnoniebieskie sklepienie. Bładożółte słońce oświetlało skonstruowane pośpiesznie trybuny przystrojone zielonymi i złotymi chorągwiami i transparentami. Henryk, który poprzedniego dnia zranił się w stopę podczas gry w tenisa i musiał zrezygnować z udziału w turnieju, zasiadł pod złotym baldachimem odziany w królewską purpurę i miękkie czarne pantofle. Obok niego siedziała królowa Katarzyna, jak zawsze pogodnie uśmiechnięta. Wśród rozgadanego tłumu krążyli paziowie, roznosząc grzane wino i kandyzowane migdały.

Marguerite spoglądała na to ze swego miejsca usytuowanego za Claudine. Co za radosna scena, te śmiechy zmieszane z dźwiękami lutni i tamburinów, którym wtórował łopot chorągwi na wietrze. Czy ktoś mógłby podejrzewać, że pod tą bogatą, pozłacaną skorupą, kryją się zdradzieckie wiry i prądy?

Za przykładem królowej Katarzyny złożyła ręce na podołku i rozsyłała pogodne uśmiechy. Nikt nie miał prawa się domyślić, jak bardzo jest spięta, lub podejrzewać, że jest kimś innym niż tylko zwykłą damą dworu uwielbiającą flirty i turnieje.

Hrabia de Calonne zniknął jej z oczu w jednym z namiotów, gdzie przygotowywał się do walki. Ojca Pierre'a także nie było na widowni, mimo to w uszach wciąż dźwięczały jej jego słowa: „Musisz zacząć nowe życie”. Przed oczyma wciąż miała jego udręczoną, zmizerowaną twarz.

Bała się, że jeśli nie zmobilizuje wszystkich swoich zdolności aktorskich, jeśli znów nie przywdzieje dawnej maski, sama zacznie wyglądać jak ten przerażony, nieszczęśliwie zakochany ksiądz.

Czy to się dzieje naprawdę? Czy to możliwe, że wreszcie będzie wolna? A może to tylko złoty sen, jedno z tych ulotnych marzeń, które latami od siebie

odpychała? Wolność, miłość i rodzina, tylko ona z Mikołajem. Takie rzeczy nigdy nie były dla niej, biednej Marguerite Dumas, nieślubnej córki, ubogiej sieroty. A teraz wszystko to znalazło się na wyciągnięcie ręki.

Lecz tylko na wyciągnięcie ręki. By to pochwycić, musiała wygrać jeszcze jedną bitwę.

Powoli, niby mimochodem, zwróciła wzrok na Mikołaja. Siedział z księżną Eleną na końcu trybuny, a przy nich, niczym czarny cień, Balthazar Grattiano. Śmiali się, jak wszyscy wokół zadowoleni z ładnej pogody i z turnieju. A jednak Marguerite wydało się, że dostrzega oznaki napięcia w pochyleniu Jego ramion i radosnym na pozór uśmiechu.

Ta noc miała być dla nich decydująca. Początek nowego życia - lub powrót do starego. Nie ma pośredniego wyjścia. Wszystko, czego się dotąd nauczyła i co zrobiła, doprowadziło ją do tego właśnie dnia.

Przycisnęła palce do brylantowego wisiora ukrytego pod szkarłatnym stanikiem. Spoczywał tam ciepły i bezpieczny na jej sercu, dodając otuchy. Poczula, że postępuje słusznie. Że każde ryzyko warte jest wspólnej przyszłości z Mikołajem.

Bryła lodu w jej piersi rosła, mroząc ją i paraliżując wolę. Wiedziała, że jeśli chce zgarnąć główną nagrodę, musi raz jeszcze stać się Szmaragdową Lilią.

Wrota rozwarły się przy dźwięku fanfar, sztandary załopotwały, błysnęły ostrza kopii. Wśród radosnych okrzyków sir Nicholas Carew wjechał w szranki na czele swego orszaku. Jego przeciwnik, Roger Tilney, nadjechał z przeciwnej strony z czerwoną wstążką panny Dumas zawiązaną na kopii.

Marguerite przyłączyła się do ogólnej radości, klaszcząc w ręce i krzycząc zalotnie „hura!”. Pod haftowaną spódnicą czuła jednak ciężar zdobnego w szmaragd sztyletu przypasanego do uda.

Walka toczyła się przy trzaskach łamanych kopii i pękających tarcz. Mikołaj wymknął się w którymś momencie i skierował do teatru. Ciemne, ciche sale

zdawały się czekać na nowy dramat, na nową opowieść o miłości, niebezpieczeństwie i tragicznej śmierci.

Opowieść tę Mikołaj odgrywał niezliczoną ilość razy na dziedzińcach i w salach bankietowych całej Europy. Znał te emocje, znał każdy ruch na pamięć, niczym własną dłoń. Pasję, strach, wściekłość, zimną rzeczywistość śmierci. Jednak dzisiejsze przedstawienie było aż nazbyt prawdziwe.

Miłość okazała się tak głęboka, że przekroczyła jego najśmielsze wyobrażenia. Gdy spoglądał w szmaragdowe oczy Marguerite Dumas, świata poza nią nie widział. Była jak piękny zraniony ptak o żelaznych nerwach, gotowa walczyć do upadłego o to, na czym jej zależało i czego pragnęła. Widział jej urodę, owszem, ale widział także serce i duszę, tak podobną do jego duszy. A także nieśmiałą nadzieję, kiedy objęci rozmawiali o nowym życiu.

Była jego drugą połówką. Szukał jej tak długo, że nie może jej teraz utracić.

Poszedł do swego pokoju na tyłach teatru, gdzie kochali się z Marguerite po raz pierwszy i gdzie patrzył na jej wreszcie uwolnioną srebrzystą poświatę, kiedy balansowała na linie; na deszcz ognistych gwiazd, od których świat stanął w płomieniach. To właśnie wtedy w cudownym przebłysku pojął, że jego serce należy do niej już na wieki. Był jej rycerzem, a ona jego damą.

Już tylko krok dzielił ich od tego, by kruche marzenia się ziściły.

Obejrzał starannie Zielony Zamek w całej jego okazałości, z haftowanymi proporcami wywieszonymi na basztach. Tej nocy, po turnieju i ucztach, Piękno oraz jego dwór zajmą miejsca na tych wieżach i zostaną wniesione do teatru. Ośmiu lordów w błękitnych atłasach i złotych płaszczach pod dowództwem odzianego w szkarłat Płomiennego Pożądania przystąpi do oblężenia, mając za oręż daktyle i pomarańcze. Damy będą lały na nich z góry wodę różaną i rzucały słodycze, ale oczywiście wszystko się dobrze skończy. Ubrane na czarno Niebezpieczeństwo, Pogarda etc. uciekną, reszta zaś się podda, po czym rozpocznie się noc tańców.

Mikołaj dokładnie przećwiczył całą choreografię, tak by każda scena, każdy pościg i ucieczka, symbolizowały dworską miłość. Udało mu się zapanować nad rozchichotanym stadem dam dworu i nauczyć je tanecznych pozycji i układów, by żadna z nich nie pomyliła kroków. A jednak nie będzie mu dane tego oglądać.

Wszystko było już gotowe, złożone w tak precyzyjną całość jak sam Zielony Zamek, którego tandetna fasada i sztuczny blichtr miały przetrwać tylko kilka godzin. Każdy krok, każdy szczegół miał istotne znaczenie. Klamka zapadła. Nie było już odwrotu.

Nagle coś zaszeleściło w progu. Mikołaj odwrócił się, sięgając po sztylet u pasa. Był to jednak Balthazar, który zaglądał do pokoju.

- Wszystko gotowe? - zapytał cicho Mikołaj.

- Tak. „Elena Maria” czeka na nas w Londynie. Wraz z porannym odpływem możemy wyruszyć do Calais. Łódź o umówionej godzinie będzie czekać przy najdalszym zejściu do wody. Wszyscy znają swoje role.

Mikołaj roześmiał się.

- Czy mi się tylko zdaje, czy też widzę szatański błysk w twoich poważnych oczach, Balthazarze?

- Obawiam się, że w domu mego ojca straciłem wszelki zapał do polityki - odparł z uśmiechem. - Jednak romantyczna intryga to już inna sprawa. Oczywiście, dopóki nie chodzi o mnie - dodał pośpiesznie.

- Wszystkim nam się wydaje, że jesteśmy odporni na miłość. My, cyniczni światowcy, uważamy się za zbyt mądrych, by dać się schwytać w tę pułapkę, ale zdradzę ci, przyjacielu, że miłość jest znacznie bardziej przebiegła niż można przypuszczać. Dopadnie cię w najmniej spodziewanej chwili i miejscu i w jednej sekundzie powali na ziemię.

- Nie, nie. Miłość nie odważy zacząć się tam, dokąd jadę. Jestem tego pewny. No i mam zbyt twarde serce, aby je mogły ugodzić strzały Amora.

- Czy nie to samo i ja kiedyś mówiłem? I my wszyscy? Przysięgam ci jednak, Balthazarze, że nawet ty dasz się któregoś dnia zaskoczyć...

Rozdział dwudziesty szósty

- Wiesz, co robić, prawda? - zapytała señoritę Alvę Marguerite, po czym cofnęła się, aby obejrzeć jej kostium i upewnić się, że czarne włosy są dobrze ukryte pod złotym czepkiem.

- Och tak! - Oczy ślicznej Hiszpanki rozbłysły. Były ciemne, co stanowiło pewien kłopot, jednak kiedy señorita Alva włoży maskę i zasiądzie na szczycie baszty Zielonego Zamku, nikt tego nie zauważy. - Mam rzucić cukierki na mężczyznę w czerwonym aksamicie i wraz z innymi damami odegrać pantomimę poddania. A potem zatańczę pawanę.

- Tylko z nikim nie rozmawiaj! - powiedziała księżna Elena, sznurując na niej biały kostium. - I z nikim nie wychodź, tylko ze mną lub z don Carlosem. Przyjdę po ciebie, jak tylko skończy się taniec, i przebiorę cię w twój strój.

- Przecież znam to wszystko na pamięć! - Señorita Alva poczuła się dotknięta. - Nie jestem dzieckiem. Och, panno Dumas, jakie to romantyczne! Czuję się zaszczycona, że poprosiła mnie pani o pomoc.

Marguerite uśmiechnęła się. Miała nadzieję, że wygląda na zdenerwowaną z radości, a nie ze strachu. Señoricie Alvie powiedziano, że w obawie przed protestami Francuzów postanowiła uciec z Mikołajem, by potajemnie wziąć ślub.

Brała udział w tylu maskaradach i oszustwach, by uwolnić Francję od jej wrogów, nigdy jednak nie miała aż tak wiele do stracenia.

Ostrożnie, żeby nie pognieść atlasów, uściskała señoritę Alvę. Owszem, było to nawet w jakiś dziwny sposób romantyczne. Ucieczka z ukochanym, choć wcześniej w jej życiu nie był miejsca na słowo „kochać”. Nabierała pewności, że musi im się udać.

Señorita Alva podeszła do lustra, aby zawiązać złotą maskę i raz jeszcze się obejrzeć. Była mniej więcej tego samego wzrostu co Marguerite, miała też jak ona jasną cerę i szczupłą figurę. W przebraniu i z daleka można je było pomylić. Marguerite tymczasem poprawiła swój własny strój - ciemne męskie spodnie i kaftan, płócienną koszulę, pelerynę z kapturem i wysokie buty. Nic z sobą nie wzięła oprócz brylantu matki oraz przypiętego u pasa sztyletu Szmaragdowej Lilii.

- Jest pani pewna, że ona będzie bezpieczna? - zwróciła się szeptem do księżnej Eleny. - Nigdy bym sobie nie darowała, gdyby komuś coś się stało z mojego powodu.

Księżna uśmiechnęła się do niej krzepiąco i powiedziała:

- Carlos i ja będziemy jej przez cały czas pilnować, ani na chwilę nie zostanie sama. A ty skup się na tym, by stąd zniknąć, querida. To wszystko.

Marguerite nie miała pojęcia, jak wiele tak naprawdę księżna wiedziała. Mikołaj opowiedział jej swoją bajeczkę, że są zakochani i chcą się pobrać, lecz Francuzi byli temu przeciwni. Marguerite podejrzewała jednak, że księżna była znacznie mądrzejsza, niż się mogło wydawać, i potrafiła przejrzeć ludzi na wylot.

Uścisnęła jej rękę. Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzy tę szlachetną damę, ale na pewno zachowa ją w sercu.

- Była pani bardzo dobra dla mnie, księżno. Nie wiem, jak pani dziękować i czy zdołam się pani odwdzińczyć.

- Oczywiście, że możesz mi się odwdzińczyć. - Uśmiechnęła się ciepło. - Wyjdź za Mikołaja i daj mu szczęście. Robiłam, co mogłam, żeby mu znaleźć dobrą żonę, lecz sam ją sobie znalazł. To prawda, że wybrałabym mu raczej Hiszpankę, ale widzę, jak bardzo się kochacie i jak do siebie pasujecie. Zupełnie jak Carlos i ja. Czekają was szczęśliwe długie lata.

Marguerite także się uśmiechnęła, ale gardło miała ściśnięte od łez.

- O ile uda nam się uciec, żeby rozpocząć to życie...

- Och, to już zostawcie nam. Urocze, dyplomatyczne zawirowania to specjalność Carlosa, więc zatrzyma Francuzów. Nawet się nie zorientują, że cię nie ma, kiedy Maria-Carolina zajmie twoje miejsce. Możesz też bez obaw zaufać Balthazarowi Grattianowi. Wprawdzie kapitanem został dopiero niedawno, ale mój syn mówi, że jest jednym z najlepszych.

Ach tak, ten tajemniczy signor Grattiano.

- Kim on tak naprawdę jest, jeśli wolno mi spytać? Księżna uśmiechnęła się enigmatycznie.

- Dużo by można o tym mówić. Wiedz w każdym razie, że jest przyrodnim bratem mego syna.

- Chce pani powiedzieć...?

- Nie, nie moim synem, choć byłabym z tego dumna. Naprawdę możecie na nim polegać. Wiem, że was stąd bezpiecznie wywiezie. Jest Wenecjaninem, a oni zamiast krwi mają w żyłach wodę morską. Oczywiście wolałabym, żeby został tu trochę dłużej, bo wtedy znalazłabym mu odpowiednią żonę! Masz może siostrę, *querida*? Albo kuzynkę?

Tym razem śmiech Marguerite zabrzmiał naprawdę radośnie. Uściskała księżnę Elenę.

- Będę za panią tęsknić.

- A ja za tobą i Mikołajem.. - Poklepała ją po ramieniu. - Jestem jednak pewna, że się jeszcze spotkamy.

Señorita Alva, już w masce, odwróciła się.

- Jestem gotowa! Jak wyglądam? Jak Francuzka?

- Uchowaj Boże! - powiedziała księżna. - Za to bardzo przypominasz pannę Dumas. A teraz musimy już iść. Pora zaczynać.

Otulona czarną peleryną Marguerite przykucnęła za cokołem marmurowej fontanny. Zimny, przeszywający wiatr mobilizował ją i przypominał, co ma robić.

Widowisko na pewno już się zaczęło i do teatru wniesiono Zielony Zamek z Pięknem na szczycie najwyższej baszty.

Hrabia de Calonne z małżonką i wszyscy Francuzi będą myśleli, że to ona stoi przed nimi, dzięki czemu zyska czas na ucieczkę. Jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, kiedy podniesie się alarm, będzie już bezpieczna na łodzi Balthazara.

Położyła dłoń na rękojeści sztyletu. Już wkrótce przestanie jej być potrzebny, a jedyną jej bronią będzie mały nożyk do cięcia winogron.

Usłyszała za sobą jakiś szmer.

To Mikołaj śpieszył ku niej. Też miał ciemne ubranie i włosy ukryte pod kapturem. Poznała go od razu po zwinnych ruchach. Światło księżycy odbijało się od miecza. Tym razem nie był to jednak sceniczny rekwizyt.

Podszedł do niej, pomógł jej wstać i mocno pocałował. Usta miał gorące, a jego pocałunek pokrzepił ją, a zarazem uspokoił. Pomyślała, że ich miłość warta jest każdego ryzyka.

- Czy wszystko gotowe? - zapytała szeptem.

- Tak. Widowisko już się zaczęło. Señorita Alva wygląda na zadowoloną, że może być twoją dublerką.

Marguerite, choć zdenerwowana, uśmiechnęła się.

- Założę się, że w roli Piękna jest lepsza ode mnie.

- Nikt cię nie będzie szukał przez co najmniej godzinę czy dwie. Chodź, Balthazar czeka na nas nad rzeką.

Trzymając się za ręce, popędzili przez uśpione ogrody, omijając strażę. Gdy dotarli nad rzekę, Marguerite zobaczyła w oddali Balthazara i małą łódź przycumowaną do niewidocznych z pałacu schodów, używanych przez służbę i dostawców. Pomachał im ręką, aby ich ponaglić.

Jak blisko już do celu, do tej małej łodzi, która oznaczała wolność! W duszy Marguerite zakiełkowało ziarenko nadziei. Czuła już niemal jej smak, równie słodki jak pocałunki Mikołaja. Jeszcze tylko kilka kroków...

- Stać!

Zastygła bez ruchu. Promień nadziei zgasł jak pęk róży ścięty w środku zimy. O tak, wszystko było o wiele za proste i poszło zbyt łatwo. Nigdy, przenigdy nie powinna była nikomu ufać.

Odwróciła się. Czas wokół niej jakby zwolnił tempa. Miała wrażenie, że dusi się w gęstym, lepkim syropie, schwyтана w pułapkę. Krew huczała jej w uszach. Mikołaj wyjął miecz, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Jej armia, jej rycerz, jej wybawca.

Jednak nie była jedną z tych bezradnych dziewczec. Wspiąwszy się na palce, spojrzała ponad ramieniem Mikołaja i wyciągnęła sztylet.

To był hrabia de Calonne, ale takim go jeszcze nie widziała. Dotąd jawił się sympatycznym człowiekiem, spokojnym i zrównoważonym, raczej nijakim. Obarczony wiecznie niezadowoloną żoną, wysłany został do Anglii jedynie dzięki staremu nazwisku i rodzinnym koneksjom. Sekretny rozkaz króla, nakazujący zamordowanie Szmaragdowej Lilii, zdawać by się mogło, został wydany całkiem niewłaściwej osobie.

Jakże się myliła i jak go nie doceniała. Dlaczego aż tak bardzo się pomyliła? Przecież jej życie zawsze zależało od właściwej oceny ludzi. Ojciec Pierre miał rację. Pochłonięta własnymi sprawami, nie rozpoznała wroga. Jak wiele błędów popełniła w tej podróży?

Teraz zobaczyła jego prawdziwe oblicze. Zatrzymał się o kilka kroków od nich, w rękę dzierżył miecz. Wyglądało na to, że przyszedł sam, bo wokół nie było widać straży, ale nie potrzebował pomocników. Z kamienną twarzą, jak wykutą w marmurze, przypominał walecznego Achillesa z zabójczą bronią w dłoni. W niczym nie przypominał miłego bufona i pantoflarza. Teraz był żołnierzem, królewskim posłańcem śmierci.

- Panie Ostrowski - rzekł ze spokojem. - Nie mam nic przeciwko panu, ale jeśli będzie mi pan stał na drodze, zgładzę i pana. Lub też pozwoli mi pan bez zbędnego zamieszania wykonać rozkaz mojego króla.

Mikołaj uniósł miecz.

- Marguerite zostanie moją żoną. Jeżeli masz coś przeciwko niej, hrabio, to także przeciwko mnie.

- Pański wybór, panie Ostrowski - z westchnieniem oznajmił hrabia de Calonne. - A miałem pana za człowieka rozsądnego, chociaż trzymał pan z Hiszpanami. Teraz widzę, że niczym się pan nie różni od innych. Wystarczy ładna buzia, a już nie myśli pan głową, lecz czymś zupełnie innym. Wielu mężczyzn straciło z jej powodu życie. Niech pan nie pcha się w ten szereg. Oddaj mi ją, to się wyzwolisz spod jej uroku.

Marguerite z furią zacisnęła palce na rękojeści sztyletu. Jak on śmie obrażać Mikołaja? Jak śmie rzucać obelgi na nią i na jej przeszłość, skoro sam jest niczym więcej, jak najemnym zbirzem? Płatnym mordercą, który stanął między nią a wszystkim, czego pragnęła i co pokochała.

Podeszła do Mikołaja i zaparła się, kiedy chciał ją odepchnąć, a potem obróciła powoli sztylet w dłoń, jakby chciała przetestować hrabiego. Czekwała na cień wahania, odwrócony na moment wzrok, cokolwiek, co by wskazywało na szczelinę w jego zbroi.

- Ma pan rację, hrabio - odezwała się miękko, zalotnym tonem. Zrzuciła pelerynę, która opadła u jej stóp, i rozcięła sztyletem zapięcie kaftana. - Nie ma pan żadnych powodów do scysji z panem Ostrowskim, bo wykonywał tylko moje instrukcje. Można powiedzieć, że był moim narzędziem, zresztą wielce pomocnym w wypełnieniu misji. Mężczyźni są jak głupiutkie baranki, czyż nie? - Wolną ręką zrzuciła kaftan i rozwiązawszy tasiemki koszuli, odsłoniła białą pierś. - Są tak podatni na kobiece wdzięki...

- Marguerite! - krzyknął Mikołaj. Spiorunowała go spojrzeniem, modląc się, by właściwie odczytał przesłanie. Przyłączy się do gry, błagała go w myślach, rób to co ja. - Ty nędzna ladacznico! - Upuścił miecz i rzucił się na nią, jakby chciał ją chwycić za gardło. Trzasnęła go w twarz, jednocześnie przysunęła się bliżej do hrabiego, a zarazem do rzeki toczącej obok ciemne fale. Kątem oka dostrzegła zbliżającego się Balthazara, jednak Mikołaj dał mu znak, żeby się cofnął.

Dobrze było wiedzieć, że ktoś czuwa z tyłu, bo z hrabią nie pójdzie im tak łatwo. Poznała to po jego surowym spojrzeniu i dzierzącej miecz dłoni. Hrabia de Calonne był takim samym fanatykiem jak ona - aż do chwili, gdy nie spadły jej łuski z oczu. Oboje byli oddani sprawie króla Francji, który okazał się jednak cynikiem i przeniwiercą. Nie tylko wobec niej czy hrabiego, ale nawet wobec własnych synów, których wysłał jako zakładników do Madrytu. Rzecz w tym, że Marguerite już o tym widziała, a hrabia jeszcze nie.

- Chyba pan sobie nie wyobrażał, że darzę pana prawdziwym uczuciem, panie Ostrowski - rzuciła szyderczym tonem, przesuając się niepostrzeżenie ku hrabiemu. - Co za głupota! Mnie była potrzebna tylko pańska przyjaźń z Hiszpanami, bo chciałam się do nich zbliżyć i poznać ich sekrety.

Uśmiechnęła się do de Calonne'a, roztaczając przed nim cały wachlarz swych uroków. Po raz kolejny w życiu posłużyła się swoją urodą, aby rozproszyć uwagę wroga. Nigdy nie była bardziej wdzięczna matce za to, że przekazała jej w spadku swoją prześliczną twarz.

- Jak pan widzi, panie hrabio, mamy w gruncie rzeczy ten sam cel, to znaczy doprowadzić do podpisania traktatu z Anglią. Tyle tylko, że każde z nas posługiwało się w tym celu inną bronią. - Udało się! Ręka mu drgnęła nieznacznie. Zaczynał mieć wątpliwości, czy rzeczywiście była ich wrogiem. A może jednak nie? - Pan Ostrowski okazał się nadzwyczaj uczynnym i gadatliwym informatorem - ciągnęła dalej. - Zrobił swoje, więc można go już zlikwidować. Zjawił się pan w samą porę, panie hrabio. Jaki pan mądry!

Mikołaj ryknął z furją i rzucił się w jej stronę jak niezdarny niedźwiedź. Gdzie się podziały jego zwinność i gracia? Był naprawdę świetnym aktorem! Uchyliła się i dała susa w kierunku hrabiego. Przypomniała sobie, jak chodziła po linie, skupiona wyłącznie na tym, żeby nie spaść. Teraz też nie może sobie na to pozwolić, aby cokolwiek odwróciło jej uwagę - ani Mikołaj, ani strach, ani świadomość, jak wiele ma do stracenia. Musi uwolnić ich od de Calonne'a!

Wylądowała tuż przed hrabią i skuliła się błyskawicznie w uniku przed morderczym ciosem miecza. Bo de Calonne już się nie wahał. Przejrzał grę i wiedział, że Marguerite jest jego wrogiem. Jednak moment rozterki wiele go kosztował. Ramię nie było już takie pewne, a umysł tak jasny, więc jej nie trafił. Poderwała się i walnęła go barkiem w żołądek, tak że zatoczył się do tyłu, a sztylet wycelowwała w jego ramię. Szmaragd zaśnił w ciemnościach - stary przyjaciel i sojusznik kobiety, którą niegdyś była. Czas, który na chwilę zwolnił, teraz znów przyspieszył.

Już miała wbić ostrze w pierś de Calonne'a, gdy kopnął ją w zranioną nogę. Ból przeszył jej ciało tysiącem rozpalonych igieł. Z jękiem się zatoczyła, straciła równowagę.

Usłyszała krzyk Mikołaja i tupot jego nóg. Upadając, zahaczyła sztyletem o kaftan hrabiego, rozcinając atłas i płótno, by na koniec zadrasnąć naskórek. Próbowwała stanąć pewnie na nogach, ale ziemia była coraz bliżej i bliżej...

- Nie! - rozległ się przenikliwy krzyk. - Nie rób tego!

Hrabia odwrócił się na ułamek sekundy, to jednak wystarczyło, by Mikołaj podrzucił nogą leżący na ziemi miecz, złapał go i jednym płynnym ruchem zatopił ostrze w piersi de Calonne'a.

Marguerite wylądowała wreszcie na ziemi, lecz nie zważając na piekielny ból, poderwała się, ściskając w rękę sztylet. Omal przy tym nie wpadła do wody, na szczęście ktoś chwycił ją za rękę i odciągnął od brzegu.

Był to Mikołaj, który obejmował ją w talii, żeby znów nie upadła. Potrząsnęła mocno głową, żeby odpędzić mgłę przesłaniającą oczy. De Calonne leżał na wznak u jej stóp, miecz Mikołaja tkwił w jego piersi. Wokół tworzyła się kałuża krwi, zalewając haftowany kaftan lepką ciecżą.

Ojciec Pierre stał nad hrabią, w osłupieniu spoglądając na niego z góry. To on swoim okrzykiem rozproszył jego uwagę na tę jedną decydującą sekundę, tym samym ratując Marguerite życie.

Za księdzem stał Balthazar Grattiano z mieczem w dłoni i uprzejmym zdumieniem na twarzy, jakby oglądał zajmujące widowisko.

Marguerite spojrzała na ojca Pierre'a. Był blady jak śmierć, rękę wciąż trzymał uniesioną w geście ostrzeżenia. Popatrzył na hrabiego de Calonne, na rąbek sutanny unurzany we krwi, i wyszeptał:

- *Merde!* Czyżbym go zabił?

Rozdział dwudziesty siódmy

Balthazar ukląkł obok hrabiego i przytknął palce do zimnej szyi.

- Dobra robota, Mikołaju - stwierdził z podziwem.

Marguerite patrzyła, jak ojciec Pierre opuszcza wolno rękę i wyciera ją o sutannę, jakby chciał z niej zetrzeć ślady tego, co się przed chwilą stało.

- Niedobrze mi - powiedział z trudem.

Wcisnęła Mikołajowi do ręki sztylet i podbiegła do księdza. Doskonale pamiętała to uczucie, kiedy po raz pierwszy zabiła, a także widok zakrwawionych zwłok. Pamiętała narastające mdłości i lęk przed nieuchronnym potępieniem. Oczywiście ojciec Pierre nie zabił, to Mikołaj swym mieczem położył kres nędznej egzystencji de Calonne'a. Rozumiała jednak, że ksiądz może czuć się winny, bo krzyknął w decydującym momencie.

Chwyciła go za rękę i odciągnęła od zwłok nad brzeg rzeki, gdzie zwiłtowował w ciemne wody. Kiedy się znów wyprostował, wręczyła mu chusteczkę i uklękła obok, czekając, by otarł oczy. Wtedy dopiero dostrzegła szczegóły, które wcześniej uszły jej uwagi. Twarz księdza była pokryta świeżymi sińcami, które właśnie zaczynały ciemnieć. Z rozciętej wargi i podbródka sączyła się krew, miał też naderwany rękaw sutanny.

- Uratowałeś nam życie - powiedziała w zadumie. Jak mogła tak pogardzać tym człowiekiem? Jego rozpaczliwe uczucie, przed którym tak się opędzała, ocaliło jej życie.

- Popełniłem morderstwo - powiedział nieszczęsny kapłan ochrypłym głosem.

- Nieprawda! Ostrzegłeś nas. Zapobiegłeś zbrodni.

Potrząsnął głową.

- To moja wina, że nie udało wam się uciec. Hrabia nie dał się nabrać na ten numer z dublerką i natychmiast się domyślił, że was ostrzegłem. On... nie chciałem mu nic powiedzieć, ale nie wytrzymałem bólu. Nie byłem wystarczająco twardy.

Delikatnie dotknęła chudego, posiniaczonego policzka. Ojciec Pierre wzdrygnął się, ale nie cofnął.

- Torturował ciebie! Przedstawiciela Kościoła!

- Nie mogłem tego znieść. Powiedziałem mu, że wiesz o jego spisku.

- Co się dalej działo? - zapytała łagodnie. Może jeśli uda się jej skłonić go do mówienia, szybciej otrząśnie się z traumy i inaczej na wszystko spojrzy.

- Kiedy uznał, że nic więcej ze mnie nie wydusi, zamknął mnie w moim pokoju. Wiedziałem jednak, że muszę uciec, by was ostrzec.

- Jesteś bardzo dzielny. Jak nas znalazłeś?

Jego zmasakrowane wargi drgnęły w uśmiechu.

- A jak inaczej można uciec z tego przeklętego pałacu, jeśli nie wodą?
Modliłem się tylko, żebym zdążył na czas.

- I zdążyłeś. Uratowałeś nas. Nigdy nie zdołam ci się odwdzieczyć.

- Już samo to, że pani... że żyjesz, Marguerite, i że rozpoczniesz nowe życie, o którym rozmawialiśmy, najzupełniej mi wystarczy.

Łzy ścisnęły ją za gardło.

- Tak, ojciec... mój drogi Pierre... rozpocnę nowe życie jako przykładna żona. I nigdy nie zapomnę, co dla nas zrobiłeś. - Pocałowała go w policzek. - Z całego serca księdzu dziękuję.

Uśmiechnął się.

- Chętnie bym cię wypowiadał i pobłogosławił na nową drogę życia, niestety brak na to czasu.

- Ksiądz ma rację - wtrącił się Balthazar. - Jeżeli teraz nie wypłyniemy, będziemy mieli przyływ przeciwko sobie.

- Widowisko też się już pewnie skończyło - powiedział Mikołaj. - Za chwilę możemy mieć tu towarzystwo.

- Och, nie! - wykrzyknęła z trwogą Marguerite. Cała ta surrealistyczna scena śmierci de Calonne'a oraz interwencji ojca Pierre'a uspiła jej czujność. Zaczęło jej się wydawać, że są sami na świecie w tym okropnym teatrze. Niestety, lada chwila ogrody zaroją się od tłumów. Mieli i tak szczęście, że dotąd nie natknęli się na strażę. Czasu było rzeczywiście bardzo mało.

Poderwała się i pomogła wstać obolałemu ojcu Pierre'owi.

- Co z nim zrobimy? - zapytała, wskazując hrabiego.

- Myślę, że trzeba zadbać o odpowiednią scenerię - powiedział Mikołaj, jakby chodziło o jeszcze jedno przedstawienie. Wziął pelerynę Marguerite, oddał jej sztylet i napiął materiał. - Tnij. Tu i tu. Szarp. Ma wyglądać, jakby się o coś zahaczyła. - Zamoczył podartą pelerynę i artystycznie udrapował ją na brzegu.

W tym samym momencie ojciec Pierre ocknął się z zamroczenia. Wzrok mu załśnił, pokiwał głową i dorzucił chusteczkę z wyhaftowanym monogramem Marguerite: „MD”.

- Co wy robicie? - zapytała.

- Utonęłaś, najdroższa - powiedział Mikołaj. - Jakie to potwornie smutne.

Hrabina de Calonne pomyśli, że chodziło o kłótnię kochanków!

- Hrabia także później utonął, próbując uratować kochankę, prawda, monsieur Ostrowski? - dorzucił ojciec Pierre. - Widziałem z daleka to tragiczne zajście, ale nie zdążyłem dobiec na czas.

- Mimo to ksiądz próbował uratować was z nurtów rzeki. Stąd te zadrapania i sińce. Przyznam, że ma ksiądz niezłe pomysły.

- Cóż, wyreżyserowałem kilka religijnych misterii - odparł z nikłym uśmiechem.

- Wobec tego rozumiesz cud Zmartwychwstania - skomentowała Marguerite, patrząc, jak Mikołaj z Balthazarem wyciągają miecz z piersi hrabiego i spychają ciało do rzeki.

- Gdy go znajdą, rana nie wzbudzi podejrzeń? - zapytał Mikołaj.

- Jeśli w ogóle go znajdą, rzeka zdąży już zrobić swoje - powiedział Balthazar.

- Rana od miecza będzie wyglądała, jakby nadgryzły go ryby. Dostyc się napatrzyłem na takie rzeczy w Wenecji. Tam codziennie wyławiają trupy z kanałów. A teraz naprawdę musimy już odpływać.

Mikołaj poklepał ojca Pierre'a po plecach.

- Jestem księdzu dozgonnie wdzięczny - powiedział serdecznie.

- Dla panny Dumas zrobiłbym to po raz drugi.

- Mamy więc z sobą wiele wspólnego. - Mikołaj z uśmiechem ujął ją za rękę.

- Rozumiem, że za chwilę narobisz alarmu i mój smutny koniec zostanie odkryty - zwróciła się Marguerite do księdza.

- Co później zamierzasz?

- Porzucę służbę u biskupa i udam się do tego klasztoru, o którym ci wspominałem. To klasztor kontemplacyjny w Bordeaux. Mój kuzyn jest tam opatem i przyjmie mnie z ochotą.

- Mam nadzieję, że znajdziesz tam spokój.

- A ja będę się modlił, żebyś i ty go znalazła.

Mikołaj pociągnął ją w stronę łodzi. Gdy weszła na pokład, zostawiając za sobą swą przeszłość, odwróciła się, by po raz ostatni spojrzeć na ojca Pierre'a. Książd zniknął jednak, tylko na brzegu leżała jej poszarpana peleryna. To wszystko, co pozostało po biednej Marguerite Dumas, która utonęła w nurtach Tamizy.

Rozdział dwudziesty ósmy

Wybrzeże Anglii roztapiało się we mgle, jakby nigdy nie istniało. Jakby Anglia była tylko fikcyjną krainą, a król Henryk i królowa Katarzyna, Anna Boleyn, Wolsey, Grammont oraz hrabia i hrabina de Calonne byli bohaterami romantycznej opowieści. Postaciami ze snu - a może koszmaru? - który nareszcie się skończył. Teraz pozostało już tylko morze i niebo, słony wiatr, pokład statku pod stopami - i Marguerite.

Siedzieli na zwoju liny na pokładzie „Eleny Marii”, Marguerite z głową opartą na ramieniu Mikołaja. Wyczerpana zapadła w głęboki sen, kiedy wreszcie wypłynęli na morze. Włosy miała potargane, cerę ziemistą, a ubranie poplamione i podarte. Była najpiękniejszą istotą, jaką Mikołaj w życiu widział. Nie wyobrażał sobie nawet, że może istnieć takie piękno. Każdy jej oddech, każdy ciepły dotyk miały dla niego nieskończenie wielką wartość.

Otulił ją szczelniej peleryną, a ona mruknęła coś przez sen i wtuliła się w Mikołaja. Brylant na jej szyi zalśnił w słońcu.

Poczuł, jak jej palce zaciskają się na jego ramieniu. Marguerite westchnęła, poruszyła się, zamrugła nieprzytomnie, a potem jej zielone oczy, zamglone resztkami snu i dawnych lęków, otworzyły się szeroko.

- Gdzie jesteśmy? - wyszeptała.

- Nie bój się, kochanie. - Przygarnął ją na powrót do piersi. - Jesteśmy na morzu.

- Na morzu? Naprawdę? - Rozejrzała się niespokojnie. - Więc opuściliśmy już Anglię?

- Raz na zawsze.

- Och, dzięki Bogu! - Jej dźwięczny śmiech wydał się Mikołajowi słodszy niż kościelne dzwony i wszelka muzyka. Nie był to jej dawny zalotny, gardłowy śmiech pozbawiony humoru, lecz radosny śmiech młodej dziewczyny. Triumfalny śpiew ptaka, który wyrwał się z klatki. - Mikołaju, jesteśmy wolni! Nie mówi ci tego wiatr? Wolni!

- Owszem - powiedział rozpromieniony. Lata wędrówki bez celu, maskarady i kłamstwa, gonitwy nie wiadomo za czym, dobiegły już kresu.

Wszystko, do czego dążył, spoczywało teraz w jego ramionach. Marguerite była jego wymarzonym domem, ukochaną rodziną.

- Czy to możliwe, że przeszłość zniknęła, ot, tak? - zapytała. - Z jednym łopotem żagla? Że to wszystko już za nami?

- Mam cię ochrzcić w morzu? - zażartował. - Może być trochę zimno, ale...

Udał, że chce wziąć ją na ręce, a ona zaczęła się bronić ze śmiechem.

- Nie, nie! Już czuję się jak świeżo ochrzczona, słowo daję. Mam wrażenie, że mogłabym przenosić góry i być, kim tylko zechcę.

- Bo tak jest. Anglia została za nami, a także Francja. Więc kim chcesz być?

- Chcę być Marguerite... Marguerite Ostrowski. Szacowną mężatką, która za dnia pracuje w winnicy, a noce spędza na tańcach.

- Więc nią będziesz. Jak tylko dopłyniemy do Calais, znajdziemy księdza, który da nam ślub, a potem poszukamy transportu do Wenecji. Chyba że wolisz popłynąć dalej z Balthazarem, do Indii Zachodnich...

- Nie! Miałam już dość przygód jak na jedno życie. Podobnie jak ty. Głosuję za Wenecją, nie za Nowym Światem. - Wtuliła się w jego ramiona. - Sądziłam, że już nigdy więcej nie zobaczę Wenecji, po... no wiesz, po tym ostatnim razie...

- Ten ostatni raz... Żałujesz, że nie dokończyłaś roboty tamtej nocy?

- Nie wolno ci tak mówić nawet w żartach! Zabraniam! - krzyknęła. - Nasz Anioł Stróż powstrzymał wówczas moją rękę. - Dotknęła delikatnie brylantu. - Jestem pewna, że to ona ocaliła nam obojgu życie. Moja matka.

- Tak... - Zadumał się na moment. - Wiesz, kiedy będziemy już u siebie, postawimy kapliczkę Matce Boskiej od Sztyletów.

- O tak! Ze świeczkami i niebieskimi szybkami w oknach. Za każdym razem, kiedy będę się tam modlić, będę dziękowała Bogu za łaski, którymi mnie obdarzył mimo moich grzechów.

- Nas. Nas oboje.

Pocałowała go czule. Ten pełen słodkiej tęsknoty pocałunek niósł w sobie zapowiedź jasnych, nowych dni.

- Kocham cię, Mikołaju - wyszeptała. - Kocham cię ponad wszystko.

- I ja cię kocham, i zawsze będę kochał, Marguerite. I niech się dzieje, co chce!

Jej palce zaczęły delikatnie błądzić po jego twarzy, policzkach, podbródku, ustach, by wreszcie zanurzyć się we włosach. Wpatrywała się w niego oczami pełnymi zachwytu, jakby chciała zapamiętać każdy cal jego ciała.

Nagle cień smutku zmaćił jej czuły, radosny uśmiech. Wysunęła się z objęć Mikołaja, wstała i podeszła do burty.

Zdjęty trwogą, że chce się rzucić do morza, poderwał się, by ją powstrzymać. Mógł zrozumieć brzemień jej przeszłości i potworne wyrzuty sumienia, ale...

- Marguerite! - krzyknął.

Spojrzała przez ramię.

- Wszystko porządku, mój kochany. - Gdy wyjęła sztylet z pochwy u pasa, drobny szmaragd zaśnił w dziennym świetle. Patrzyła na niego przez chwilę jak zafascynowana.

Czyżby przeszłość okazała się silniejsza niż ta szmaragdowa więź, która łączyła ich od chwili, gdy po raz pierwszy spojrzeli na siebie w weneckim burdelu?

Nie! Marguerite przecięła ostrzem powietrze, odcinając się raz na zawsze od tego, co minęło, a potem z całej siły rzuciła sztylet. Leciał przez chwilę, rozsiewając błyski, zanim pochłonęły go zimne fale.

Patrzyła w ślad za nim wsparta o burtę. Mikołaj podszedł i objął ją ramieniem.

- Teraz już Szmaragdowa Lilia naprawdę umarła - powiedziała cicho. -

Nareszcie jestem wolna.

- Więc od dziś będzie już tylko Marguerite Ostrowski?

- Tak, Marguerite i Mikołaj Ostrowski, ekscentryczni winiarze.

Odwróciła się w jego ramionach, żeby go znów pocałować. Śmiali się i całowali na przemian, tuląc się do siebie wśród podmuchów zimnego wiatru.

- Mąż i żona całujący się publicznie jak para zakochanych wieśniaków.

- Którzy kochają się w blasku słońca i śpiewają przez całą noc! - wykrzyknęła.

- Będziemy mieli piękne życie, prawda, Mikołaju?

- O tak, najdroższa - zapewnił ją solennie. - Najpiękniejsze ze wszystkich.

Epilog

W jaskrawych promieniach słońca rzędy winnych krzewów rzucały szmaragdowe i ametystowe cienie, tworzące spiralne kręgi. Ciężki zapach żyznej gleby mieszał się ze słodkim aromatem rozgrzanych winogron.

Marguerite klęczała przed jednym z krzaków, oglądając młode pędy i przycinając liście. Zbiory zapowiadały się pomyślnie tego lata. Deszczu spadło akurat tyle, ile trzeba, grona były więc dorodne i soczyste. Za kilka tygodni, po urodzajnych żniwach, zaczną z Mikołajem tłoczyć dobre wina na nadchodzący sezon. Wina o smaku deszczu, słońca i tej ziemi. Jej ziemi!

Jej ziemia. Jej wino. Jej dom i rodzina.

Odcięła nożykiem jedną z mniejszych gałązek i przysiadła na piętach, żeby obejrzeć owoce swego trudu - grona o purpurowej, jakby oszronionej skórce nabrzmiałej cukrem. Wzięła jedno do ust - miało słodko-kwaśny smak.

Nieopodal, pod grubym baldachimem z liści, Aleksandra, zdrobniale Szura, siedziała na kocyku, kołysząc się w przód i w tył, jakby spieszno jej było wstać i pobiec przed siebie na malutkich stópkach. Już niedługo, pomyślała z dumą Marguerite, bo dziewczynka raczkowała jak szalona.

Maleńka Szura była podrzutkiem zostawionym jako noworodek pod bramą miejscowego klasztoru. Przeorysza przyniosła ją do nich, przepełniona współczuciem, kiedy się dowiedziała, że po ponad dwóch latach małżeństwa wciąż byli bezdzietni. Teraz Szura miała już prawie rok i była pięknym, upartym dzieckiem o jasnych włosach i ciemnych, aksamitnych oczach, najśłodszym uśmiechu i najmniejszych małych rączkach. Już wkrótce zacznie biegać z psami po polach, ciągnąc za sobą złotą wstążkę śmiechu.

Na razie jednak musiały jej wystarczyć kołderka i mały, śpiący obok Szczeniaczek.

- Mamaaa! - zawołała, gdy Margeurite uśmiechnęła się do niej, i wyciągnęła pulchną rączkę.

Marguerite roześmiała się i usiadłszy obok córeczki, wsunęła jej do buzi dorodne grono. Szura obróciła je w ustach z poważną miną, jakby badała smak i oceniała gatunek. Jak prawdziwy fachowiec!

U stóp stoku, poniżej winnicy, Marguerite widziała czerwony dach i białe ściany willi. Wszystkie okiennice były otwarte na oścież, a służące rozwieszały czyste płótna, żeby na słońcu wybielały. W cieniu cyprysów ustawiono długi stół, przy którym będą jedli. Nieco dalej znajdowała się kapliczka pod wezwaniem Matki Boskiej od Sztyletów. Lśniące niebieskozielone szybki małego okienka miały kolor morza.

Jej dom. Jej rodzina.

- Mamaaa!

Marguerite otrzepała płócienny fartuch i spojrzała na Szurę, która znów wyciągała rączki po winogrona. Roześmiała się, wzięła córeczkę na kolana i zaczęła wdychać jej ciepły, mydlany zapach.

- Ty łakomczuszkę. - Wsunęła w różane usteczka jeszcze jedno grono.

Nagle przed oczyma stanęła jej Francja. Nie Paryż, nie królewski dwór, ale zamek jej ojca. Pamiętała, jak ojciec brał ją za rękę, kiedy była dzieckiem, i oprowadzał po winnicy, przekazując wiedzę, która teraz jej się przydała. Jak ją brał na rękę, żeby mogła obejrzeć ich posiadłość. To wtedy w jej sercu zrodziła się miłość do domu, do rodzinnej ziemi.

Wszystko to przepadło w czasach, które przyszły później. Myślała, że już nigdy tego nie odnajdzie, straciła wszelką nadzieję. Przestała być Marguerite Dumas i stała się Szmaragdową Lilią, a wszelka myśl o domu sprawiała jej tylko ból.

Teraz jednak miała wreszcie to, o czym zawsze marzyła. Własny dom, winnicę, dziecko, męża.

- Czy to tylko sen, Szura? - wyszeptała, całując jedwabiste włoski córeczki. Dziewczynka zachichotała i lepką rączką chwyciła ją za zwisający kosmyk. - Czy ty jesteś tylko snem?

Czasami ogarniał ją lęk, że tak właśnie jest, zwłaszcza kiedy budziła się w środku nocy pełna strachu, że znów znajduje się w Fontainebleau albo Greenwich, schwytna w sieć królewskich intryg, spisków i niekończących się śmierci.

Potem jednak wzrok jej padał na Mikołaja śpiącego u jej boku ze złotymi włosami rozrzuconymi na poduszce. Słyszała, jak w sąsiednim pokoju Szura wierci się w łóżeczku, widziała za oknami winnicę w blasku księżyca i już wiedziała, że to nie sen. Że miłość istnieje i nigdy jej nie zawiedzie.

Mikołaj dał jej wszystko, co obiecał tamtego dnia, na statku Balthazara Grattiana. Pocałunki na widoku publicznym, całonocne tańce, miłość w biały dzień. Rodzinę, dom i życie w zgodzie z naturą, na ich własnych warunkach. Dał jej również siebie.

- Jak się mają moje piękne panie w tak piękny dzień? - usłyszała głos męża. Wstała z Szurą w ramionach i odwróciła się, żeby go powitać.

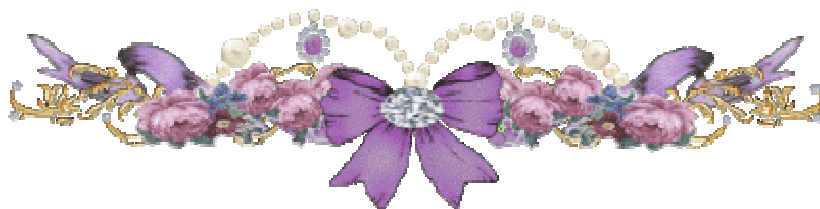
Pracował tego ranka na polach w dolinie. Miał na sobie białą płócienną koszulę, skórzane spodnie i zabłocone buty. Widać było, że umył się, zanim do nich przyszedł, bo koszula była mokra, a na związanym z tyłu włosach połyskiwały kropelki wody. W promieniach słońca był cały jak ze złota, a szeroki uśmiech jak zwykle okazał się zaraźliwy.

- Tataaaa! - wykrzyknęła Szura, wyciągając rączki.

- Moja malutka! - Mikołaj wziął ją na ręce i zaczął podrzucać, a ona piszcziała z radości. - Jesteś jeszcze ładniejsza niż rankiem.

- Była całkiem szczęśliwa z mamą, dopóki tata nie przyszedł i z miejsca jej nie oczarował. - Marguerite wspięła się na palce, żeby pocałować męża w opalony policzek. - Tak samo jak mnie.

Mikołaj pocałował ją. W jego pocałunku kryła się obietnica tego dnia, a także tych wszystkich dni, które miały nadejść. Posadził sobie Szurę na ramionach, ujął Marguerite za rękę i poszli do domu na kolację pod magicznym sklepieniem jasnego nieba.



RS